

بِسْمِ اللَّهِ الرَّحْمَنِ الرَّحِيمِ  
مَسْجِدُ الْمَدِينَةِ  
صَلِّوا

BOLESŁAW LEŚMIAN

## Klechdy sezamowe

  
wolnelektury.pl



FUNDACJA  
nowoczesna  
Polska

BOLESŁAW LEŚMIAN

## Klechdy sezamowe

### Ali-Baba i czterdziestu zbójców

W jednym z pomniejszych miast perskich mieszkali dwaj bracia. Starszy nazywał się Kassim, a młodszy — Ali-Baba. Ojciec, umierając, zostawił im w spadku szmat ziemi niewielki dla równego podziału<sup>1</sup>. Każdy z braci swoją część otrzymał i na niej osiadł, aby ziemię uprawiać i na kawałek chleba żmudnie, w pocie czoła pracować. Obydwaj żyli w ubóstwie i wspomagali siebie nawzajem. Ale nie długo trwała miłość pomiędzy braćmi. Odmienny bowiem mieli charakter i różne dusze. Kassim był zły, pochmurny, zawistny i na dukaty łakomy, Ali-Baba zaś był łagodny, wesoły, nikomu bogactw nie zazdrościł i nie pragnął złota. Kassim narzekał na los, na ludzi i na swoje ubóstwo, Ali-Baba zaś na los nie narzekał, ludzi kochał i nie wstydził się swego ubóstwa. Kassim pomalował swoją chałupę na czarno i rzekł do Ali-Baby:

— Życie jest czarne, los jest czarny i dusze ludzkie są czarne, więc niechże i moja chałupa będzie czarna jak noc.

Ali-Baba zaś swoją chałupę pięknie i jasno pobielił i rzekł do Kassima:

— Życie jest białe, los jest biały i dusze ludzkie są białe, więc niechże i moja chałupa będzie biała jak dzień o świcie.

I każdy miał taką chałupę, jakiej sam zapragnął.

Kiedy Kassim ze swojej czarnej chałupy wchodził do białej chaty swego brata, wzruszał ramionami i mówił z zazdrością:

— Jakże tu jasno i biało i wesoło! Widocznie Bóg się tobą bardziej, niż mną, opiekuje... O mnie zupełnie zapomniał. Smutno mi na świecie i czarno i markotnie.

Na to Ali-Baba odpowiadał:

— Nie składaj winy na Boga, bo to nie Jego, lecz twoja własna wina. Bóg ci nie kazał chałupy na czarno malować i smuć się w jej wnętrzu. Przemaluj ją na biało, a zobaczysz, jak się oczy twoje rozweselą.

Ale Kassim nie usłuchał rady młodszego brata i nadal mieszkał w czarnej chałupie.

Pewnego poranku postanowili obydwaj bracia ożenić się i tegoż dnia wieczorem już byli żonaci. Ali-Baba wziął za żonę ubogą Zobeidę, córkę swego sąsiada, Kassim zaś wziął za żonę bogatą Aminę, córkę słynnego w mieście kupca. Natychmiast Kassim spalił swoją czarną chałupę, która mu tak obrzydła, i zamieszkał razem z piękną Aminą w olbrzymim pałacu w samym środku miasta.

Ali-Baba udał się wraz ze swoją ubogą Zobeidą do pałacu Kassima, żeby mu powinszować bogatego ożenku. Drzwi pałacu były zamknięte, więc Ali-Baba laską do drzwi puknął. Kassim usłyszał pukanie i domyślił się, że to Ali-Baba przyszedł w odwiedziny. Nie kazał jednak drzwi otworzyć, jeno<sup>2</sup> sam wybiegł na krużganek pałacu i stamtąd dumnie i wyniośle spojrzął na Ali-Babę, który wraz z żoną stał na ulicy i, radośnie uśmiechnięty, witał brata pokłonem.

Obraz świata, Bieda, Dom

Pycha

<sup>1</sup>dla równego podziału — dziś popr.: do równego podziału. [przypis edytorski]

<sup>2</sup>jeno (daw.) — tylko. [przypis edytorski]

Nie odklonił mu się Kassim, jeno się sztywnie wyprostował, pusząc się i nadymając od nadmiernej pychy.

— Kassimie, bracie kochany! — zawołał Ali-Baba, podnosząc ku niemu głowę — przychodzę wraz z moją żoną Zobeidą, aby ci powinszować bogatego ożenku i życzyć szczęścia i powodzenia!

— Jak śmiesz nazywać mnie bratem? — krzyknął gniewnie Kassim. — Nie znam ani ciebie, ani twojej żony! Chodzisz w lachmanach i masz minę nędzarza, więc nie możesz być bratem takiego, jak ja, bogacza!

— Kassimie, bracie rodzony! — zawołał znowu Ali-Baba — Czy ci się rozum pomieszal? Czy też udajesz tylko, że mnie nie poznałeś? Nie żądam od ciebie złotych dukatów, jeno pragnę miłości braterskiej! Nie przychodzę z prośbą o wsparcie, lecz z życzeniami szczęścia i powodzenia! Czemu ze wstrętem odwracasz się od moich lachmanów? Przecież te lachmany starannie i przychylnie osłaniają cię od deszczu i chłodu! Więc powinieneś szanować i cenić moje lachmany za to, że są dla mnie tak przyjazne i tak opiekuńczo przylegają do mego ciała.

Zaśmiał się na to Kassim — i śmiech natychmiast rozweselił, rozpogodził i rozjaśnił jego duszę. Udobruchany śmiechem, rzekł Kassim z kruźganka do Ali-Baby:

— Śmieję się z tego, że tak szczerze wychwalasz swoje lachmany. Ponieważ widzę, że mnie naprawdę kochasz, więc ustępuję twoim żądaniom. Pozwalam ci odwiedzać siebie, ale bardzo rzadko i tylko wieczorem. Wieczorem bowiem świat się ściemnia i ściemniają się postacie przechodniów. W zmierzchu wieczornym możesz niepostrzeżenie wejść do mego pałacu. Nie chcę, aby ktokolwiek zauważył, że taki jak ty nędzarz odwiedza mnie w moim pałacu. I w tej chwili nie mogę cię przyjąć, bo mam bogatych gości. Wstyd by mi było, gdyby goście moi dowiedzieli się, że mam brata nędzarza. Wracaj więc razem z swoją żoną Zobeidą do chałupy. Odwiedzisz mnie kiedy indziej, w czasie odpowiedniejszym.

Pokłonił się Kassimowi Ali-Baba i pokłoniła się Zobeida. Wzięli się oboje za ręce i podybali<sup>3</sup> do swojej białej chałupy. Odtąd Kassim spędzał życie w pałacu, na ucztach nieustannych. Ali-Baba zaś co dzień pędził do lasu dwa muły, rąbał w lesie drwa, narąbanym drzewem objuczał swoje muły, wracał z nimi do miasta i sprzedawał drzewo na targu. W ten sposób zarabiał na kawałek chleba. Lecz ów ciężko zarobiony chleb przyjemnie mu było spożywać w białej, jasnej, wesołej chałupie.

Smakował chleb Ali-Babie i smakował Zobeidzie. Oboje byli szczęśliwi i wieczorem po ukończonej pracy śpiewali pieśni rozmaite. Kassim jadł dużo i spał na łożu puchowym, ale żadnych pieśni nie śpiewał.

\*

Razu pewnego popędził Ali-Baba swe muły do lasu, aby swoim zwyczajem wiązkami narąbanego drzewa objuczyć ich pracowite grzbiety. Dzień był pogodny. Słońce świeciło tak jasno i złościście, że trzeba było mrużyć oczy. Ali-Babie się zdawało, że ptaki, śpiewając, też mrużą na słońcu swoje błękitne i czerwone oczy w żółtych i czarnych obwódkach. A w lesie roiło się od ptaków.

Papugi pąsowe, zielone i białe napelniały powietrze krzykiem, podobnym do szczenia.

Jedna olbrzymia papuga pąsowa, zwana Arą pąsową, mówiła w języku papuzim do swojej zielonej sąsiadki:

— Jak możesz ciągle chodzić w zielonej sukni! Ja bym za żadne skarby świata nie przywdziała nie tylko zielonej sukni, lecz nawet zielonego stanika. Nie znoszę koloru zielonego. Najładniejsza jest suknia pąsowa z pąsowym ogonem. — I, mówiąc to, poruszyła z lekka swoim pąsowym ogonem.

Na to rzekła zielona papuga:

— Nie znoszę koloru pąsowego! Ani moja matka, ani moja babka, ani moja prababka nie nosiły sukien pąsowych. Kolor pąsowy od dawna wyszedł z mody, przynajmniej w naszej rodzinie. Kto mieszka w lesie, powinien być zielony, jak las! Najładniejsza jest

<sup>3</sup>podybać (reg.) — pójść, udać się. [przypis edytorski]

suknia zielona z zielonym ogonem. — I, mówiąc to, poruszyła z lekka swoim zielonym ogonem.

Wówczas jedna z białych papug wtrącała się do rozmowy.

— Nie kłóćcie się, moje kochane! — zawołała ze śmiechem. — Boję się, że kłótnia pobudzi was do złości, a złość może odmienić wasze kolory!... Sama na własne oczy widziałam miesiąc temu, jak jedna pąsowa papuga ze złości zzieleniała, a druga zielona — spąsowiała. Co do mnie, nie znoszę ani pąsowej, ani zielonej sukni. W mojej rodzinie istnieje przysłowie:

W życiu jeden tylko cel:  
Białym być i kochać biel.

Tak, moje pąsowe i zielone kumoszki! Najładniejsza jest suknia biała z białym ogonem. — I, mówiąc to, z lekka poruszyła swoim białym ogonem.

Ali-Baba nie rozumiał języka papuziego. Zdawało mu się, że papugi tylko szczełają bez sensu i bez związku. Szedł dalej, poganiając swe muły. W oczach migaly mu co chwila kolibry — ptaszki małe, jak chrabąszcze, z dziobkami cienkimi, niby igły. Na gałęziach tu i ówdzie siedziały małpki drobne i płochliwe. Małpki te w dziób układały swe pyszczki i głośno gwizdały, zupełnie, jak kanarki. Gdyby Ali-Baba znał język tych małpek, zrozumiałby piosenkę, którą gwizdały:

„Las dokoła szumi, gwarzy,  
Opowiada bajki-straszki.  
Choć nam nie brak małpiej twarzy,  
Chcemy gwizdać, niby ptaszki.  
Po jeziorze płynie woda,  
Śpiew nasz płynie hen — po świecie.  
Co za szkoda, co za szkoda,  
Że nam skrzydeł brak na grzbiecie!”

Tak śpiewały małpki.

Słońce świeciło coraz mocniej. Cienie od gałęzi padały na ziemię i poruszały się na niej, niby żywe. Kwiaty, zagrzane słońcem, pachniały. Ali-Baba szedł dalej, pędząc przed sobą swoje muły.

W ten sposób zaszedł w głąb lasu — w najdalsze szумы i gąszcze. Tam ujrzał skałę olbrzymią. Od skały cień padał na polanę leśną. Lecz cień skały nie poruszał się za wiatrem, jak cienie drzew. Leżał nieruchomo i zasłaniał trawę i kwiaty. A że cień skały był błękitny, więc i trawa i kwiaty nabrały od tego cienia błękitnawej barwy.

— Odpocznę sobie w cieniu tej skały — pomyślał Ali-Baba — a potem zabiorę się do rąbania drzewa.

Ali-Baba przysiadł w cieniu skały. Obydwa muły przystanąły obok Ali-Baby i zaczęły szczytać soczystą, wysoką, wonną trawę.

Ali-Baba patrzył na słońce, na drzewa, na ptaki i mówił:

— Żaden pałac nie jest tak piękny, jak las. W pałacu płoną świece albo lampy, a w lesie płonie samo słońce. W pałacu stoją martwe meble, piętują się martwe ściany, a nad nimi trwa zawsze jednaki martwy sufit. W lesie zaś szumią żywe drzewa, śpiewają żywe ptaki, brzęczą żywe owady, pachną żywe kwiaty — i ponad tym wszystkim, zamiast martwego sufitu, jaśnieje żywe niebo, które się wiecznie zmienia, napełniając się coraz to nowymi blaskami i obłokami. Żaden ptak, żaden obłok, żaden wicher nie zamieszkałby nawet w najpiękniejszym pałacu. Tylko człowiek lubi więzić siebie w czterech ścianach. I jeżeli te ściany są złote, wówczas nazywa swoje więzienie pałacem. Im więzienie jest mniejsze, tym mniej zabiera miejsca na świecie. A świat jest piękny i dla każdego dostępny. Pełno na świecie bajek — ale najpiękniejsze bajki kryją się w lesie. Bajki czają się w gęstych krzakach, szumią w rozchwianych gałęziach, dzwonią w powietrzu wtedy właśnie, kiedy i cisza dzwoni. Bo kto się ciszy długo przysłuchiwał, ten wie, że cisza w uszach dzwoni.

Mówiąc te słowa, Ali-Baba zaczął się tak długo przysłuchiwać ciszy leśnej, aż zadzwoniła mu w uszach. Potem Ali-Baba ukląkł i szepnął:

Las

Wieżenie

Cisza, Tajemnica, Modlitwa

— Boże! Zrób tak, żeby mnie w lesie zaskoczyła nagle i niespodziana bajka! Niech ta bajka będzie straszna i groźna, byleby była ciekawa i piękna.

Muły, widząc, że Ali-Baba kłęczący, też poklękały na przednich nogach, jakby modliły się o bajkę.

W tej chwili w gęstwinie leśnej coś zaszumiało, zachrzęściło, zatętniło i zadudniło.

Obydwa muły jednocześnie podniosły się z ziemi i, złęknione, przytuliły się nawzajem do siebie. Ali-Baba przypadł uchem do ziemi i nasłuchiwał... Ponieważ Ali-Baba przywykł do wsłuchiwania się w ciszę leśną, więc miał ucho wprawne i czujne na wszelkie odgłosy. Toteż natychmiast rozróżnił tętent kopyt końskich. Tętent zbliżał się i zbliżał, i zbliżał... Ali-Babie zdawało się na razie, że pędzą dwa konie. Potem zgadywał, że jest ich dziesięć. Potem zrozumiał, że tak głośny tętent może pochodzić co najmniej od dwudziestu albo i więcej, niż dwudziestu, rumaków. Wówczas skoczył na równe nogi i pomyślał, że lepiej się ukryć, bo nie wiadomo, kto na tych rumakach nadjeżdża. Przede wszystkim ukrył obydwie swoje muły w krzaku i przywiązał do krzaka tak, aby się nie mogły poruszyć. Następnie sam wdrapał się na drzewo, które rosło obok skały. Drzewo było tak gęste, że zasłoniło Ali-Babę swymi gałęzmi. Mógł więc spokojnie siedzieć na drzewie i patrzeć poprzez liście na polanę.

Tętent koński wciąż się zbliżał. Ziemia drżała i grzmiała od tego tętentu, a echo niesło go po lesie. Wreszcie z gęstwy leśnej wynurzyła się jedna morda końska, za nią druga i trzecia... Po chwili kilkudziesięciu jeźdźców wpadło na polanę. Wszyscy byli brodaci i wąsaci. Wszyscy byli zbrojni w miecze, siekiery i łuki. Wszyscy, pochyleni na koniach, strasznie i groźnie mruczeli pod wąsami:

— Jest nas czterdziestu... jest nas czterdziestu... jest nas czterdziestu!

Ten zaś, co jechał na przedzie, jeszcze straszniej i jeszcze groźniej pomrukiwał:

— Jam jest<sup>4</sup> kapitan zbójów... jam jest kapitan zbójów... jam jest kapitan zbójów!...

Ali-Baba poprzez liście szumiącego drzewa policzył zbójów — i rzeczywiście było ich czterdziestu. Oczy ich błyszczwały, jak rozżarzone węgle, a sumiaste wąsy poruszały się od ciągłego gniewu. Wszyscy podjechali do skały i zsiadli z rumaków. Wówczas Ali-Baba zauważył, że rumaki zbójeckie były objuczone kuframi, napełnionymi po brzegi niezliczoną ilością dukatów. Zbójcy bowiem grabili ludzi po drogach i po rozstajach i zagrabionym złotem ładowali swoje kufry.

— Ciekawy jestem, gdzie oni pochowają swoje skarby? — pomyślał Ali-Baba na drzewie.

Tymczasem kapitan, trzymając konia za uzdę, spojrzał surowo na swoich podwładnych i zapytał:

— Czy wszyscy jesteście? Czy żadnego z was nie brak?

— Jest nas czterdziestu wraz z tobą! Żadnego nie brak — żadnego nie brak — żadnego nie brak! — zawołali chórem zbójcy.

Wówczas kapitan zbliżył się do skały i rzekł głosem grzmiącym:

„Jest tu brama w skale,  
I są czary w bramie!  
Ku swej własnej chwale  
Otwórz się, Sezamie!”

Pod wpływem tych słów magicznych i zaklętych na gładkiej ścianie skalnej zjawiała się brama, jakby ją narysowała nagle ręka niewidzialna. Rysunek bramy stawał się coraz wyraźniejszy, aż wreszcie zgrzytnęły zawiasy, i brama rozwarła się na oścież. Kapitan stanął u wejścia, a zbójcy, dźwigając swe kufry, kolejno wchodzili przez bramę do wnętrza skały. Gdy wszedł ostatni zbójca, kapitan za nim wsunął się do wnętrza. Wówczas brama się zamknęła i zaczęła się stawać coraz mniej wyraźna, coraz bardziej mglista, aż wreszcie pozostał na skale zaledwo widoczny rysunek bramy. Po chwili i rysunek zniknął bez śladu. Nikt by teraz nie poznał, patrząc na skałę, że tai się w niej czarodziejska brama. Skała wyglądała jak dawniej, niby zwykła i wcale nie zaklęta skała.

<sup>4</sup>jam jest — dziś: ja jestem. [przypis edytorski]

Ali-Baba siedział na drzewie, pełen strachu, podziwu i ciekawości. Teraz zrozumiał, że zbójcy ukrywają swoje skarby we wnętrzu skały, zwanej Sezamem. I zrozumiał, że Sezam otwiera swą bramę tylko przed tym, kto zaklęty czterowiersz w głos<sup>5</sup> powie. Słowa zaklętego czterowiersza brzmiały mu w myśli raz po raz i tak je często powtarzał, aż wreszcie nauczył się ich na pamięć.

Nie schodził jednak z drzewa, gdyż bał się, że zbójcy co chwila<sup>6</sup> mogą wyjść z wnętrza skały na polaną. Siedział więc cierpliwie wśród gałęzi, pomiędzy ptakami, które wprost do ucha śpiewały mu swoje pieśni.

Upłynęło czasu ani mało, ani wiele, jeno tyle właśnie, ile upłynęło. Naraz zgrzytnęły niewidzialne zawiasy i skała znowu się rozwarła na oścież. Zbójcy wyszli z jej wnętrza kolejno, jeden po drugim. Każdy dźwigał pusty kufer, aby go w ponownych grabieżach napelnić dukatami. Na ostatku wynurzył się z rozwartej bramy sam kapitan i brama natychmiast za nim się zamknęła. Miała ona bowiem od wieków taki zwyczaj, że zamykała się sama w chwili, gdy właśnie powinna się być zamknięta. Lecz otwierała się tylko pod tajemniczym nakazem zaklętego czterowiersza.

Kapitan spojrzał groźnie na swych podwładnych, zmarszczył brwi, błysnął oczami, zgrzytnął zębami, poruszył wąsem, tupnął nogą o ziemię i zawołał:

— Czy gotowi jesteście do nowych grabieży, do nowych napadów i do nowych czynów krwiożerczych?

— Jesteśmy gotowi — jesteśmy gotowi — jesteśmy gotowi! — odkrzyknęli chórem zbójcy.

— Czy żadnego z was nie brak? — zapytał znowu kapitan.

— Żadnego nie brak — żadnego nie brak — żadnego nie brak! — odkrzyknęli chórem zbójcy.

Wówczas kapitan skinął dłonią — i wszyscy natychmiast i jednocześnie dosiedli swych rumaków. Rumaki ruszyły z kopyta, ziemia zadudniła, las zahuczał, echo rozległo się po lesie. Zbójcy, odjeżdżając, mruzcili strasznie i groźnie pod wąsem:

— Jest nas czterdziestu — jest nas czterdziestu — jest nas czterdziestu!

A kapitan pomrukiwał jeszcze straszniej i groźniej:

— Jam jest kapitan zbójów — jam jest kapitan zbójów — jam jest kapitan zbójów!

Po chwili wszyscy zanurzyli się w gęstwą leśną i tętent kopyt końskich zaczął się oddalać. Oddalał się i oddalał, aż wreszcie zamilkł i ucichł zupełnie.

Wówczas dopiero Ali-Baba zsunął się z drzewa na ziemię, odwiązał muły, wywiódł je z krzaków i wraz z nimi zbliżył się do skały.

— Nigdy nie wiadomo, gdzie się bajka kryje! — zawołał Ali-Baba, oglądając skałę. — Zdawało mi się dotąd, że bajki najczęściej kryją się w strumieniach, kwiatach, gwiazdach i w obłokach. Na skały zaś patrzyłem zazwyczaj jak na rzeczy martwe, puste i bez bajek. Tymczasem pierwsza bajka, do której w życiu się zbliżam, ukryła się w skale.

Powiedziawszy te słowa, Ali-Baba pogłaskał ręką skałę twardą i zimną i zawołał.

„Jest tu brama w skale,  
I są czary w bramie!  
Ku swej własnej chwale  
Otwórz się, Sezamie!”

Natychmiast na gładkiej ścianie skalnej zjawił się niejasny i mglisty rysunek bramy. Rysunek stawał się coraz wyraźniejszy i dokładniejszy. W końcu rysunek zamienił się w prawdziwą olbrzymią bramę. Wówczas zgrzytnęły zawiasy i brama rozwarła się na oścież. Ali-Baba stanął w bramie i zajrzał do wnętrza jaskini. Spodziewał się zobaczyć ciemność zupełną — ale się omylił. Jaskinia wcale nie była ciemna, lecz, przeciwnie — jasna, a nawet bardzo jasna.

— Nigdy nie wiadomo, gdzie panuje ciemność, a gdzie jasność! — pomyślał Ali-Baba. — Byłem pewien, że właśnie we wnętrzu tej skały panuje ciemność, i już żałowałem, że nie mam przy sobie latarni albo świecy. Tymczasem nigdy jeszcze nie oglądałem takiej dziwnej, cudownej i tajemniczej jasności jak w głębi tej jaskini.

<sup>5</sup>w głos — dziś: na głos. [przypis edytorski]

<sup>6</sup>co chwila — tu: w każdej chwili. [przypis edytorski]

Przyroda nieożywiona,  
Czary

Czary, Cud

Mówiąc to, popędził przed siebie muły do wnętrza jaskini i sam wszedł za mułami. Brama natychmiast zamknęła się za nim. Co za cuda, co za dziwy ujrzał Ali-Baba we wnętrzu zakłętej jaskini! Ujrzał kufry, napełnione dukatami; ujrzał całe stopy kamieni drogocennych; ujrzał drzewa koralowe i olbrzymie pnie zielonego malachitu. Ale to wszystko żyło i poruszało się nieustannie. Brylanty same przesypywały się z brzękiem i szmerem z jednej szkatuły do drugiej. Turkusy, niby krówki boże, zręcznie i zwinnie wpełzały na drzewa koralowe i sfruwały potem z gałązki na gałązkę. Rubiny razem z topazami kręciły się i wirowały po ziemi w jakimś dziwnym rubinowo-topazowym tańcu. Dukaty, dzwoniąc w kufkach, bawiły się nawzajem w orla i reszkę: same podrzucały się w górę i same spadały do swoich kufków, ukazując orla albo reszkę. Olbrzymie zaś pnie zielonego malachitu mówiły do siebie basem:

— Jaka szkoda, że i my nie możemy się bawić w orla i reszkę albo wirować po ziemi w tańcu rubinowo-topazowym, albo na kształt turkusów wpełzać na drzewa koralowe, albo wreszcie przesypywać się z brzękiem i szmerem ze szkatuły do szkatuły, jak brylanty! Możemy za to wyrzucić się i toczyć po ziemi, niby beczki.

I pnie malachitowe, wyrzuciwszy się z trudem, potoczyły się natychmiast po ziemi, niby beczki.

Teraz dopiero pojął Ali-Baba, skąd taka jasność panuje w jaskini. Brylanty, turkusy, topazy, korale i dukaty, rozgrzane tańcem i zabawą, iskrzyły się i płonęły oślepiającym blaskiem. Z brylantów wydobywał się blask brylantowy, z turkusów — turkusowy, z topazów — topazowy, z koralu — koralowy, a z dukatów — dukatowy. I wszystkie te blaski napełniały jaskinię. Widno tu było i tęczowo, i złociście, i cudownie! Nawet pnie malachitowe, tocząc się aż do zmęczenia po ziemi, nabrały zielonego połysku i też rozjaśniały wnętrze jaskini słabym zielonawym światłem.

Długo stał w miejscu Ali-Baba, olśniony widokiem tych dziwów i cudów. I dwa jego muły też stały nieruchome i wpatrzone w tęczowe światła tajemnicznej jaskini.

Upłynęło czasu ani mało, ani wiele, jeno tyle, ile właśnie upłynęło. Ocknął się Ali-Baba ze swego zachwyty i oczarowania i pomyślał, że, póki czas, trzeba jaskinię opuścić, bo zbójcy każdej chwili<sup>7</sup> mogą powrócić i zastać go wśród swoich skarbów. Ponieważ te skarby stały się już zakłęte i zamieniły w bajkę, więc należały do każdego, ktokolwiek do bajki zbliżyć się i przedostać potrafił. Toteż Ali-Baba postanowił część tych skarbów zabrać z sobą do swojej ubogiej chaty. Znalazł w jaskini dwa worki, napełnił je dukatami, objuczył workami swe muły, skierował się ku wyjściu jaskini i znów zawołał:

„Jest tu brama w skale,  
I są czary w bramie!  
Ku swej własnej chwale  
Otwórz się, Sezamie!”

Sezam się natychmiast otworzył. Ali-Baba wraz z mułami wyszedł z jaskini na polaną leśną. Sezam sam zamknął się za nim.

Był już wieczór. Chłodnawy wieczorny wiatr wiał po lesie. Wiał i pachniał kwiatami i wilgotną ziemią. Słońce zachodziło, a ponieważ słońce zachodzące świeci purpurowo, więc pomiędzy pniami drzewnymi widać było purpurowe blaski zachodzącego słońca.

Ali-Baba zerwał kilka gęstych gałęzi i zasłonił nimi worki na grzbietach mułów. Nikt by teraz nie zgadł, że muły dźwigają worki, pełne dukatów. Każdy by pomyślał, że Ali-Baba wraca do domu z wiązkami chrustu na podpałki.

Słońce zachodziło coraz szybciej. Na świecie było coraz ciemniej i coraz wieczorniej. Roje komarów krążyły w powietrzu i tak nieustannie brzęczały, jak gdyby grały na bardzo małych, lilipucich skrzypcach.

Ali-Baba, wesoło pogwizdując, wracał do domu. Gdy się zbliżył do swojej białej chatki, wziął na plecy obydwa worki, pełne dukatów. Z jednego worka garść dukatów wysypała mu się na ziemię. Ali-Baba pozbierał dukaty i, nie mogąc sobie inaczej poradzić, włożył je wszystkie do ust, tak że mu się policzki odeły<sup>8</sup>. Z odeętymi policzkami wszedł

<sup>7</sup>każdej chwili — dziś: w każdej chwili. [przypis edytorski]

<sup>8</sup>odęć — dziś częściej: wydać. [przypis edytorski]

Ali-Baba do chałupy. Zobeida była właśnie zajęta gotowaniem wieczerzy. W chałupie płonąła lampa oliwna i światło od lampy migało na białych ścianach i na białym suficie. Zobeida, ujrawszy swego męża z dwoma workami na plecach, zawołała:

— Pewno kartofle w workach przywiozłeś? Zaraz je ugotuję na wieczerzę, bo mi właśnie kartofli zabrakło.

Ponieważ Ali-Baba miał gębę pełną dukatów, więc nic nie mógł Zobeidzie odpowiedzieć. Zsunął obydwie worki z pleców na ziemię i patrzył na żonę z uśmiechem.

Zobeida przyjrzała mu się uważniej, klasnęła w dłonie i zawołała:

— Policzki ci spuchły! Trzeba wody zimnej przyłożyć!

Ali-Baba uśmiechał się, lecz nie odpowiadał, tylko dłonią poklepał swoje odęte policzki. Zniecierpliwiło to Zobeidę, że Ali-Baba nic nie mówi, tylko uśmiecha się i odyma policzki, więc rzekła:

— Czemu się tak uśmiechasz, jakbyś miał gębę pełną dukatów?

Ponieważ Ali-Baba naprawdę miał gębę pełną dukatów, więc nie mógł się powstrzymać od śmiechu, słysząc, jak żona niechcący odgadła powód jego milczenia. Nozdrza mu zadrgały, wargi zaczęły się rozchyłać i rozszerzać, i parsknął nagle tak głośnym śmiechem, że wszystkie dukaty wyskoczyły mu z gęby na ziemię i z brzękiem potoczyły się po izbie.

Zdziwiła się Zobeida na widok dukatów i natychmiast zajrzała do worków. Blask złota oślepił ją i oszołomił.

— Skąd wzięłeś tyle dukatów? — spytała uśmiechniętego Ali-Babę.

Ali-Baba opowiedział jej wszystko, co mu się w lesie przytrafiło, a potem dodał:

— Zachowaj to wszystko w tajemnicy i przed nikim słówkiem się jednym nie przegadaj<sup>9</sup>! Gdyby się ludzie dowiedzieli o obecności w naszej ubogiej chałupie tylu dukatów, posądziłiby mnie o kradzież i wtrącili do więzienia.

Na to rzekła Zobeida:

— Muszę policzyć nasze dukaty.

Przykucnęła na ziemi przy workach i zabrała się do liczenia dukatów.

— Kobieto! — zawołał zrozpaczony Ali-Baba. — Czyż nie masz nic lepszego do roboty? Przecież może kto wejść do naszej chaty i zastać cię przy liczeniu dukatów! Na domiar złego nie znasz rachunku i umiesz liczyć tylko do stu!

Zobeida załamała dłonie i rzekła:

— Jestem nieszczęśliwa! Zapomniałam, że umiem liczyć tylko do stu, więc nie mogę nawet policzyć wszystkich dukatów, które do mnie należą!... Ale wiem, co zrobię! Jest właśnie wieczór, a wieczorem wolno mi wejść do pałacu Kassima. Pójdę do pałacu i pożyczę od Aminy garnca do mierzenia zboża. Garncem potrafię zmierzyć ilość dukatów. Będzie to dla mnie radość nie lada, gdy się dowiem, ile garnców złota mam w swojej chałupie!

I Zobeida pobiegła do pałacu.

Kassima w domu nie było, bo wyszedł na miasto, żeby sobie kupić nowego konia, nową fajkę i nową lunetę, gdyż Kassim lubił z krużganku swego pałacu patrzeć przez lunetę na miasto.

Zobeida zastała tylko Aminę.

— Amino! — rzekła — mąż mój przyniósł dzisiaj do chałupy dwa worki zboża, ale nie mam garnca, aby zmierzyć ilość zboża. Pożycz mi swego garnca, a będę ci za to bardzo wdzięczna.

Amina podejrzliwie spojrzała na Zobeidę i odparła:

— To dziwna<sup>10</sup>, że tak późnym wieczorem przychodzisz po garniec. Czyś nie mogła do jutra rana zaczekać?

— Nie mogłam — odrzekła Zobeida.

— Śpieszno ci widać i pilno? — spytała znowu Amina.

— Śpieszno mi i pilno — odpowiedziała Zobeida.

— Niecierpliwisz się i cała płoniesz na twarzy — zauważyła Amina.

— Niecierpliwię się i cała płonę na twarzy — powtórzyła Zobeida.

— Dlaczego? — spytała znowu Amina.

<sup>9</sup>przegadać się — dziś raczej: wygadać się. [przypis edytorski]

<sup>10</sup>to dziwna (daw.) — to dziwne. [przypis edytorski]



— Dlatego, że mi śpieszno — odrzekła Zobeida.  
— A dlaczego ci śpieszno? — pytała dalej Amina.  
— Dlatego, że mi pilno — odpowiedziała Zobeida.

Amina uśmiechnęła się podejrzliwie i rzekła:

— Zaczekaj tu chwilę w pokoju, zaraz ci sama garniec przyniosę.

Amina poszła sama do kuchni po garniec. Zdjęła garniec z półki i posmarowała spód smołą. Smarując zaś spód smołą, mówiła:

„Cokolwiek w tym garncu dziś ma być i będzie,  
Niech zaraz od spodu na smole osiedzie”.

Po czym wróciła do pokoju i oddała garniec Zobeidzie.

Zobeida pochwyciła radośnie garniec i rzekła:

— Dziękuję ci, Aminu, za pożyczenie garnca! Jak tylko zboże swoje odmierzę, natychmiast ci garniec odniosę.

— Odnieś mi dziś jeszcze, bo mi jest potrzebny — odparła Amina.

Zobeida wróciła do chałupy i poczęła garncem dukaty z worów wygarniać. Co wygarnęła z wora, to wysypała na podłogę. Wysypując zaś, liczyła: „jeden garniec — drugi garniec — trzeci garniec”. — I naliczyła Zobeida garnców ani mało, ani wiele, jeno tyle, ile właśnie było.

Worki już były puste, a cały stos dukatów leżał na ziemi. Zobeida, zmęczona swoją robotą, postawiła garniec na stosie dukatów. Wówczas jeden dukat przylgnął do smoły od spodu.

— Wróć do pałacu — rzekł Ali-Baba — i oddaj Aminie garniec, boś dziś jeszcze oddać przyrzekła, a ja tymczasem dwa doły w naszym ogrodzie wykopię i worki z dukatami w tych dołach pochowam.

Pobiegła Zobeida znowu do pałacu, oddała Aminie garniec i wróciła do chałupy. Ali-Baba tymczasem zdążył worki z dukatami w ogrodzie ukryć.

\*

Amina, otrzymawszy garniec z powrotem, natychmiast spodem go do góry odwróciła i aż krzyknęła z podziwu! Na czarnej smole złościł się i połyskiwał okrągły wspaniały dukat. Właśnie w tej chwili Kassim wrócił do domu z nowym koniem, z nową fajką i z nową lunetą. Konia zostawił na podwórzu, a sam wszedł do pałacu, trzymając w jednej ręce fajkę, w drugiej — lunetę. Amina pokazała mu garniec z dukatem, przylepionym do smoły i zawołała:

— Twój brat Ali-Baba udaje tylko nędzarza, a w rzeczy samej jest daleko bogatszy od nas! Ty swoje dukaty tylko liczysz, a on swoje dukaty mierzy na garnce!

Słyszając to, Kassim zbladł ze zdumienia, poczerwieniał ze złości i pozieleniał z zazdrości. Zadrżał mu podbródek, zachwiały się pod nim nogi i zatrzęsły mu się ręce. Nowa fajka i nowa luneta wypadły mu z rąk na ziemię. Zgrzytnął zębami i zawołał:

— Jak śmie nędzarz Ali-Baba być bogatszym ode mnie? Pójdę natychmiast do niego i zmuszę go, aby się przyznał, skąd ma owe dukaty.

I Kassim pobiegł do białej chałupy swego brata.

Zdziwił się Ali-Baba, ujrawszy Kassima, wchodzącego do chałupy. Zobeida wyszła przed chwilą do ogrodu, więc Kassim mógł sam na sam z Ali-Babą się rozmówić. Tupnął od razu nogą o ziemię i zawołał:

— Gdzieś ukrył swoje dukaty?

Ali-Baba odpowiedział:

— Nie mam żadnych dukatów.

— Wiem, że masz! — odparł Kassim. — Żona moja posmarowała spód garnca smołą i jeden dukat przylgnął do smoły. Masz tyle dukatów, że je na garnce mierzysz.

— Żona twoja jest mądra, a moja — głupia! — odpowiedział Ali-Baba. — Widać i ja jestem głupszy od ciebie, bom nie potrafił<sup>11</sup> tajemnicy zachować. Trudna rada! Muszę ci wyznać, że mam dukaty i że mierzę je na garnce.

<sup>11</sup>bom nie potrafił — dziś: bo nie potrafiłem. [przypis edytorski]

— To za mało! — wołał dalej Kassim. — Musisz jeszcze wyznać, skąd masz dukaty.  
 — Znikąd — odrzekł Ali-Baba.  
 — Jak to: znikąd? — spytał Kassim.  
 — Jeśli ci się nie podoba słowo: znikąd, to w takim razie powiem, że mam dukaty skądciś — rzekł Ali-Baba.  
 — Nie baw się w głupie słówka, lecz mów wyraźnie! — wrzasnął Kassim.  
 — Otóż mówię ci wyraźnie, że nie wyznam, skąd mam dukaty — odpowiedział Ali-Baba.

Wówczas Kassim, rozgniewany, krzyknął:

— Jeśli mi natychmiast nie wyznasz wszystkiego, to zaskarżę cię do sądu! Sąd dukaty odbierze, a ciebie, jako złodzieja, wtrąci do więzienia!

Przestraszyły te groźby Ali-Babę i wyznał wszystko przed Kassimem. Opowiedział mu nie tylko o czterdziestu zbójcach i o skarbach, ukrytych w Sezamie, ale nawet nauczył go zaklętego czterowersza, pod którego wpływem skała czarodziejska otwierała na oścież swoją bramę. Kassim kilka razy z rzędu kazał Ali-Babie ów czterowersz zaklęty powtarzać, ażeby go dobrze zapamiętać; po czym, nie pożegnawszy się nawet z Ali-Babą, wybiegł z chałupy i wrócił do swego pałacu.

Ali-Baba po wyjściu Kassima wychylił głowę przez okno do ogrodu i zawołał:

— Zobeido, Zobeido!

Zobeida na wołanie męża podeszła do okna i spytała:

— Czemu tak głośno wykrzykujesz moje imię?

Ali-Baba chwycił się oburącz za głowę i znowu zawołał:

— Kobieto! Nieszczęście ściągnęłaś na moją głowę, którą właśnie trzymam oburącz, żeby mi czasem z karku nie spadła! Kassim i Amina wykryli naszą tajemnicę dzięki twojej niecierpliwości i chęci zliczenia dukatów! — I Ali-Baba opowiedział Zobeidzie wszystko, co przed chwilą w chałupie pomiędzy nim a Kassimem zaszło.

— Co teraz będzie? — spytała zatrwożona Zobeida, gdy Ali-Baba skończył swe opowiadanie.

— Albo ja wiem? — rzekł Ali-Baba zrozpaczony. — W każdym razie stokroć lepiej byś zrobiła, ucząc się rachunku, którego nie umiesz, niż rachując złoto, które posiadasz. Kto zna dodawanie, ten przy liczeniu dukatów obejdzie się bez garnca, posmarowanego od spodu zdradliwą smołą.

Zobeida bardzo się zawstydzila i rzekła cichym głosem:

— Natychmiast wróć do chaty i dziś jeszcze w nocy zacznę się uczyć dodawania. Umieć już liczyć do stu, więc mi nauka pójdzie łatwo.

I rzeczywiście Zobeida całą noc uczyła się dodawania, a nad ranem umiała już liczyć do dwustu.

\*

Kassim przez noc całą nie spał. Wciąż rozmyślał o dniu jutrzejszym, bo postanowił z rana pójść do lasu po skarby zaklęte.

Skoro tylko świt rozjaśnił obłoki i pierwszy ptak, poruszywszy się w gnieździe nad oknem, zaczął śpiewać, Kassim wstał i wyszedł na podwórze. Sam wyprowadził ze stajni dziesięć mułów, na każdego muła dwa puste worki zarzucił i pośpieszył do lasu, pędząc muły przed sobą. Ponieważ Ali-Baba dokładnie mu drogę do Sezamu opisał, więc Kassim drogę znalazł i wkrótce, opętany żądzą złota, zbliżył się do skały. Nie czekając ani chwili, z okiem w skałę zawistnie utkwionym zawołał szybko i niecierpliwie:

„Jest tu brama w skałe,  
 I są czary w bramie!  
 Ku swej własnej chwale  
 Otwórz się, Sezamie!”

Sezam otworzył się na oścież. Kassim worki z mułów pościągał i z dwudziestoma workami pod pachą wbiegł do wnętrza Sezamu, zostawiając swoje muły na polanie leśnej pod skałą.

Kassim wcale się nie przyglądał tańcowi i zabawom turkusów, topazów, rubinów i koralu. Nie czarowało go tęcze światło które nappełniało jaskinię. Myślał tylko o tym, żeby jak najprędzej napchać swoje wory dukatami i wrócić do domu.

Obojętność Kassima na cuda i na czary bardzo się nie podobała pniom malachitowym. Jeden z tych pni, najgrubszy i najsilniejszy, tak się oburzył, że potoczył się gniewnie ku Kassimowi i z całych sił uderzył go w nogi. Kassim jęknął z bólu i upadł na ziemię. Ale wnet z ziemi powstał, podszedł do kufrów z dukatami, zanurzył w nich obydwie dłonie i chciwie poczał dukaty garściami wygarniać, aby je do swoich worków przesytać. Wówczas dukaty przestały bawić się w orla i reszkę, rubiny i topazy zaniechały swego topazowo-rubinowego tańca, turkusy znieruchomiały i nie chciały już na kształt bożych krówek pełzać po drzewach koralowych, a pnie malachitowe, gniewnie mruczając, pochowały się po kątach. Wszystkie czary i cuda Sezamu obraziły się na Kassima za to, że nie umie patrzeć na nie z zachwytem, tylko z chciwością. Wszystko posmutniało, pociemniało i przygasło. Jaskinia nappełniła się zmierzchem. Kassim musiał niemal po ciemku wygarniać dukaty.

Gdy już po brzegi naładował dukatami worki, przypomniał sobie, że zostawił muły na polanie. Postanowił wprowadzić muły do wnętrza Sezamu, objuczyć je ciężkimi workami i wyruszyć natychmiast w drogę powrotną. W tym celu zbliżył się do wyjścia jaskini i znów zawołał:

„Jest tu brama w skale,  
I są czary w bramie!  
Ku swej własnej chwale  
Otwórz się ...”

W tym miejscu Kassim nagle zamilkł i zbladł, bo nie mógł sobie przypomnieć ostatniego słowa, a było to właśnie najważniejsze słowo zaklętego czterowiersza. Uderzył się dłonią w czoło raz i drugi i trzeci i wreszcie zawołał z radością:

— Już wiem! Ta skała nazywa się Rezam!  
I, uszczęśliwiony, znowu wygłosił zaklęty czterowiersz:

„Jest tu brama w skale,  
I są czary w bramie!  
Ku swej własnej chwale  
Otwórz się, Rezame!”

Ale Sezam, nazwany mylnie Rezame, nie otworzył przed Kassimem swej bramy czarodziejskiej.

Kassim znów się w czoło dłonią uderzył i rzekł:

— Teraz już przypominam sobie doskonale, że ta skała nazywa się Bezam!

Ale Sezam, po raz wtóry mylnie nazwany Bezame, pozostał zamknięty przed złęczonym Kassimem.

I raz po raz Kassim w czoło się dłonią uderzał i przezywał Sezam Kezame, Nezame, Lezame, lecz nie nazwał go ani razu Sezame. Z rozpaczą patrzył na swoje wory, pełne złota, i na niewzruszoną ścianę zamkniętej skały. Pnie malachitowe śmiały się po kątach jaskini, a dukaty same wyskakiwały z worków i z powrotem wpadały do swoich kufrów. Wreszcie pamięć Kassima tak się zmąciła, że w końcu zapomniał wszystkich słów zaklętego czterowiersza. Stał błądliwy i drżący z przerażenia.

\*

Tymczasem zbójcy wrócili ze swojej wędrówki po rozmaitych krajach. Wjeżdżając na polanę, spostrzegli dziesięć mułów obok skały. Muły, spłoszone tętentem koni, puciekały do lasu. Zbójcy posiadali z rumaków, a kapitan rzekł do nich:

— Panowie zbójcy! Nie wiem, do kogo należą te muły, ale domyślam się, że ich właściciel znajduje się w pobliżu Sezamu. Może się ukrył w jakimś krzaku, żeby nas podpatrzeć i podsłuchać. Zanim więc wejdziemy do naszej jaskini, musimy wszystkie krzaki dokładnie obszukać.

Zbójcy natychmiast obszukali wszystkie krzaki, ale nie znaleźli nikogo.

— Panie kapitanie — rzekli chórem — w krzakach nie ma nikogo.

Kapitan zasmucił się i rzekł:

— Mam złe przecucia i czuję, że mi się wąsy zaczynają od gniewu poruszać. Musimy jednak zagrabione w nowej podróży skarby ukryć w naszej jaskini.

To powiedziawszy, kapitan podszedł do skały i zawołał:

„Jest tu brama w skale,  
I są czary w bramie!  
Ku swej własnej chwale  
Otwórz się, Sezamie!”

Natychmiast na skale zjawił się niewyraźny rysunek bramy. Rysunek stawał się coraz wyraźniejszy, aż wreszcie zamienił się w prawdziwą bramę. Zawiasy zgrzytnęły i brama roztwarła<sup>12</sup> się na oścież.

Kapitan zajrzał do wnętrza jaskini i poczerwieniał z gniewu. W bramie stał błdy i drżący Kassim. Stał i przypomniał nagle słowa czterowersza, wygłoszonego przed chwilą przez kapitana, uderzył się dłonią w czoło i powtarzał po niewczasie:

— Otwórz się, Sezamie, Sezamie, Sezamie!

Ujrawszy przed sobą strasznego kapitana, Kassim wyskoczył z Sezamu i rzucił się w tłum zbójców. Myślał, że mu się uda prześlizgnąć pomiędzy czterdziestoma zbójcami i uciec do domu. Ale kapitan uderzył go mieczem w głowę i Kassim padł martwy na ziemię.

Zbójcy, gniewnie poruszając wąsami, weszli po kolei do wnętrza jaskini. Za ostatnim zbójcą wsunął się do jaskini sam kapitan i brama Sezamu natychmiast się za nimi zamknęła.

Wówczas kapitan postawił nogę na zwłokach Kassima i rzekł do swoich podwładnych:

— Panowie zbójcy! Nie wiem, jakim sposobem człowiek, którego stopa moja w tej chwili depcze, przedostał się do wnętrza naszej jaskini. Zapewne, ukryty w krzakach obok skały, podsłuchał słów zaklętego czterowersza. Możemy przypuszczać, że komukolwiek ze swoich przyjaciół lub krewnych powierzył tajemnicę Sezamu wraz z zaklętym czterowerszem. Dlatego też postanowiłem zwłoki tego człowieka pokrajać na cztery części i złożyć u samego wejścia do jaskini. Ktokolwiek odważy się w naszej nieobecności do wnętrza jaskini przedostać, ten zaraz na wstępie zobaczy, jaka kara spada na nieogłędnych śmiałków. Może go przerazi widok zwłok, na cztery części pociętych i zamiast okradać nasze skarby, cofnie się i co prędzej wróci do domu.

Kapitan groźnie spojrział na worki Kassima, leżące na ziemi. Ponieważ nie wszystkie dukaty zdążyły z worków powyskakiwać, więc worki do połowy pełne były dukatów. Zbójcy przesykali resztę dukatów do kufrów, a kapitan tymczasem rozciął mieczem zwłoki Kassima na cztery części i złożył je u wyjścia, po dwie części z każdej strony.

Kapitanowi śpieszno było wyruszyć w drogę na nowe grabieże, więc donośnym głosem wypowiedział zaklęty czterowersz. Sezam otworzył swą bramę, zbójcy wyszli na polanę, i brama się natychmiast zamknęła.

Po chwili zbójcy już siedzieli na swych rumakach, a kapitan na czele groźnie poruszał wąsem i dał znak do odjazdu. Konie ruszyły z kopyta i cała armia zbójców znikła w gęstwinie leśnej.

\*

Długo czekała Amina na powrót swego męża. Czekala daremnie. Kassim nie wracał. Aminę ogarnął niepokój i złe przecucie. Już wieczór zapadał, już pierwsza gwiazda zapłonęła w ciemnych niebiosach, a Kassim do domu nie wracał. Amina posłała swoją służącą, mądrą i piękną Morganę, do Ali-Baby z prośbą, ażeby Ali-Baba natychmiast przyszedł do pałacu.

Ali-Baba przyszedł i Amina doń<sup>13</sup> rzekła:

<sup>12</sup>roztwarła się — dziś raczej: otworzyła się (a. otwarła się). [przypis edytorski]

<sup>13</sup>doń (daw.) — do niego. [przypis edytorski]

— Dzisiaj z rana Kassim poszedł do lasu po skarby zakłete. Dotąd nie wrócił do domu. Boję się, że mu się coś złego przytrafiło. Jestem bezradna i nie wiem, co robić. Może ty mi dasz dobrą radę.

Ali-Baba odpowiedział:

— Zaczekajmy do rana. Jeżeli jutro z rana Kassim do domu nie wróci, pójdę sam do lasu na zwiady.

Nazajutrz z rana Kassim, ma się rozumieć, nie wrócił. Wówczas Ali-Baba z dwoma mułami pośpieszył do lasu. Szedł ani długo, ani krótko, jeno tyle, ile mu właśnie iść wypadło. Z niepokojem w sercu zbliżył się do skały i czterowersz zakłety w głos<sup>14</sup> wypowiedział. Brama Sezamu roztwarza się na oścież i Ali-Baba wraz z mułami wszedł do wnętrza. Jakże się przeraził, gdy tuż u wejścia w tęczowym świetle jaskini ujrzał zwłoki swego brata, rozcięte mieczem na czworo! Ali-Baba załamał ręce i długo stał nad zwłokami brata, smutny i nieruchomy. Trzeba jednak było śpieszyć się z powrotem do niespokojnej Aminy. Ali-Baba wszystkie cztery części zwłok nieszczęśliwego Kassima ukrył w czterech workach, objuczył workami swe muły i wyszedł z Sezamu. Po drodze narwał gałęzi i gałęźmi worki zastonił. Wkrótce przybył do pałacu Kassima. Morgana otworzyła mu drzwi i rzekła:

— Czy bez Kassima wracasz?

— Bez Kassima — odpowiedział Ali-Baba.

— A co masz w oczach? — spytała Morgana, przyglądając się zapłakanyom oczom Ali-Baby.

— Łzy — rzekł Ali-Baba.

— A co masz w ustach? — spytała znowu Morgana.

— Złe wieści — odparł Ali-Baba.

— A co masz w workach? — spytała wreszcie Morgana.

— Zwłoki mego brata — szepnął Ali-Baba.

Morgana smutnie spojrzała na worki i rzekła:

— Muszę swoją panią zawiadomić o śmierci jej męża.

Ali-Baba na to powiedział:

— Uprzedź Aminę, żeby nie płakała głośno po stracie męża, bo mogą posądzić albo ją, albo mnie o zamordowanie Kassima. Nikt bowiem nie domyśla się, z jakiego powodu Kassim tak nagle i niespodzianie utracił życie. A chociaż według naszych perskich zwyczajów żona, której mąż umarł, powinna bardzo głośno płakać, zawodzić i krzyczeć, wszakże prawdziwy smutek nie wymaga głośnych skarg, zawodzeń i krzyków. Niech więc płacze po cichu, tak, jak ja płakałem.

Morgana poszła do Aminy i powtórzyła jej słowa Ali-Baby, a potem wróciła do drzwi i rzekła:

— Już uprzedziłam o wszystkim moją panią. Możesz więc wejść do pałacu ze zwłokami Kassima.

Ali-Baba wziął na plecy dwa worki, a dwa drugie wzięła Morgana i oboje w milczeniu weszli do pałacu. W pałacu był jeden pokój zupełnie ciemny, bez okien. Morgana w tym ciemnym pokoju złożyła zwłoki Kassima i rzekła:

— Słońce należy się żywym, a ciemność umarłym. Niech pan mój spoczywa w ciemności dopóty, dopóki nie pochowamy go na cmentarzu. Tam będą mu śpiewały ptaki i szumiały drzewa, bo i umarli lubią szum drzew i śpiew ptaków.

Amina weszła do ciemnego pokoju i, pochyliwszy się nad zwłokami męża, płakała po cichu, aby jej nikt, prócz Boga, nie słyszał.

Ponieważ Morgana była mądra, więc postanowiła uchronić Aminę i Ali-Babę od podejrzeń ludzkich i wytłumaczyć ludziom nagłą i niespodziewaną śmierć Kassima. W tym celu pobiegła zaraz do apteki i rzekła do aptekarza:

— Panie aptekarzu, przychodzę po pigułki, które się daje ludziom beznadziejnie chorym.

— A któż to jest beznadziejnie chory? — spytał aptekarz.

— Mój pan, Kassim — odparła Morgana.

Aptekarz dał jej pigułki i, kiwając głową, rzekł:

Śmierć, Żaloba, Łzy

Ciemność, Żaloba

Podstęp

<sup>14</sup>w głos — dziś: na głos. [przypis edytorski]

— Niech pan twój zażyje tych pigulek, ale wątpię, aby mu pomogły. Kto jest beznadziejnie chory, temu żadne pigułki nie pomogą.

Morgana wzięła pigułki i wyszła z apteki. W kilka godzin potem znów do apteki wróciła.

— Panie aptekarzu — rzekła, płacząc — przychodzę po proszki, które się daje konającym.

— A któż to jest konający? — spytał aptekarz.

— Mój pan, Kassim — rzekła Morgana.

Aptekarz dał jej proszki i, kiwając głową, powiedział:

— Niech twój pan zażyje tych proszków, ale wątpię, aby mu pomogły. Kto jest konający, temu żadne proszki nie pomogą.

Morgana wzięła proszki i wyszła z apteki.

Tymczasem po całym mieście zaczęły krążyć pogłoski, że Kassim jest beznadziejnie chory. Potem rozeszły się nowe wieści, że Kassim jest konający. Wszyscy wyczekiwali śmierci Kassima. Toteż nikt się nie zdziwił, gdy wieczorem Amina i Morgana zjawiły się na krużganku pałacowym, głośnym płaczem obwieszczając według obyczajów perskich śmierć Kassima.

W ten sposób dzięki Morganie nikt nie podejrzewał ani Aminy, ani Ali-Baby o morderstwo Kassima. Wszakże zwłoki Kassima były pocięte na czworo. Trzeba więc było tak urządzić, aby podczas pogrzebu nikt tego nie zauważył.

Morgana poszła do Baby-Mustafy, który był łataczem starych butów i miał swój sklepik na samym końcu miasta.

Baba-Mustafa siedział w swym sklepiku z dratwą w ręku i łatał buty. Łatając zaś buty, śpiewał:

„Dratwa moja buty łąta,  
A ja wciąż o skarbach marzę!  
Kto mi w rękę da dukata,  
Temu zrobię, co rozkaże!”

Morgana, słysząc tę piosenkę, podbiegła z tyłu do Baby-Mustafy i zawołała:

— Babo-Mustafu! Nie oglądaj się za siebie, jeno wyciągnij ku mnie rękę.

Baba-Mustafa, nie oglądając się, wyciągnął rękę i rzekł:

— Oto moja ręka!

— A oto mój dukat — odrzekła Morgana, wsuwając mu do ręki dukata.

— Pewno chcesz ode mnie jakiejś tajemniczej i osobliwej przysługi? — spytał Baba-Mustafa.

— Chcę — odpowiedziała Morgana.

— Czy nie wolno mi się odwrócić i spojrzeć na ciebie? — spytał znowu Baba-Mustafa.

— Nie, nie wolno! — zawołała Morgana. — Nie powinienes wiedzieć, kto jestem<sup>15</sup>!

Baba-Mustafa, nie odwracając się, zaśpiewał:

„Dratwa szyje, piosnka dzwoni,  
Świecą gwiazdy, pachną kwiaty!  
Dobry jeden dukat w dłoni,  
Ale lepsze — dwa dukaty!”

I Baba-Mustafa znów wyciągnął rękę.

Morgana włożyła mu do ręki drugiego dukata i rzekła:

— Przyrzecz mi, że zachowasz w tajemnicy to wszystko, o co cię poproszę.

— Przyrzekam — rzekł Baba-Mustafa i zaśpiewał znowu:

„W starym bucie nowe łąty,  
Łata buta nie zeszpeci!  
Kto już dostał dwa dukaty,

<sup>15</sup> *kto jestem* — dziś: kim jestem. [przypis edytorski]

Temu śni się dukat — trzeci!”

— Masz trzeciego dukata — rzekła Morgana, podając dukata Babie-Mustafie.

— Teraz jestem na twoje rozkazy — zawołał Baba-Mustafa.

— Otóż — rzekła Morgana — wstań i idź prosto przed siebie za miasto. Ja zaś pójdę za tobą tak, abyś mnie nie widział. Gdy dojdiesz do pierwszego drzewa za miastem, zatrzymaj się, a ja ci wówczas oczy chustką przewiążę i zaprowadzę do jednego domu. Gdy zaś wejdziemy do wnętrza owego domu, powiem ci, co dalej czynić należy. Nie zapomnij zabrać z sobą dratwy i nici.

Baba-Mustafa wziął dratwę i nici i poszedł prosto przed siebie. Morgana kroczyła w ślad za nim. Baba-Mustafa zatrzymał się w cieniu pierwszego drzewa za miastem. Morgana podeszła do niego z tyłu, zawiązała chustką oczy, wzięła go za rękę i zaprowadziła do pałacu Kassima, do ciemnego pokoju, w którym znajdowały się zwłoki jej pana. Tam Morgana zdjęła chustkę z oczu Baby-Mustafy. Pokój był tak ciemny, że Baba-Mustafa nie widział Morgany i spytał się:

— Co mam teraz czynić?

Morgana zawczasu złożyła w całość wszystkie cztery części zamordowanego Kassima, więc podeszła z Babą-Mustafą do zwłok i powiedziała:

— Zszyj te cztery części w jedną całość.

Baba-Mustafa spełnił jej żądanie. Wtedy Morgana znów mu oczy chustką przewiązała, wyszła z nim z pałacu, odprowadziła go do pierwszego drzewa za miastem i rzekła:

— Stój tu pod drzewem i czekaj, aż odejdę tak daleko, abyś mnie nie mógł zobaczyć. Wówczas ci krzyknę: hop, hop! — na znak, że możesz chustkę zdjąć z oczu.

— Ile razy krzykniesz mi: hop, hop? — spytał Baba-Mustafa.

— Dwa razy — odrzekła Morgana.

— Za każde „hop!” — musisz mi zapłacić dukata — zauważył Baba-Mustafa, który był bardzo chciwy na pieniądze.

Morgana dała mu jeszcze dwa dukaty i pobiegła w stronę pałacu. Gdy była już daleko, zawołała:

— Hop, hop!

Baba-Mustafa zdjął chustkę z oczu, ale już nie zobaczył Morgany. Wrócił natychmiast do swego sklepiku, podzwaniając dukatami.

Nazajutrz z rana odbył się pogrzeb Kassima. Po pogrzebie Amina prosiła Ali-Babę i Zobeidę, aby zamieszkali z nią razem w pałacu, gdyż nie chciała żyć samotnie. W końcu po dniach kilku Amina tak pokochała Ali-Babę i Zobeidę, że podarowała im swój pałac. Ali-Baba stał się bogaczem, bo posiadał pałac i dukaty, które zdobył w czasie pierwszego pobytu w Sezamie.

\*

Pewnego dnia zbójcy wrócili do Sezamu i zatrwożyli się bardzo, nie znalazłszy w swej jaskini zwłok Kassima.

— Panowie zbójcy! — rzekł kapitan, zalany tajemniczym i tęczowym światłem jaskini. — Nieobecność w naszej kryjówce zwłok zabitego przeze mnie człowieka świadczy o tym, że albo jego przyjaciel, albo krewny zna zaklęty czterowiersz. Dzięki znajomości tego czterowiersza wszedł do Sezamu i zabrał te zwłoki, aby je pochować na cmentarzu. Innym sposobem nie mógłby się do Sezamu przedostać. Musimy więc zabić tego człowieka, aby nikt nie posiadał naszej tajemnicy! Dopóty, dopóki on żyje, nie możemy być pewni ani naszych skarbów, ani naszego życia. Jeden z was, panowie zbójcy, powinien odważyć się na udanie się do miasta, ażeby tam odszukać naszego wroga i zawiadomić nas o miejscu jego pobytu. Wówczas wkroczymy do miasta całą zgrają i wroga naszego zabijemy.

Słowa kapitana sprawiły wielkie wrażenie na zbójcach. Sumienie ich było obarczone taką niezliczoną ilością zbrodni i kradzieży, że żaden z nich nie śmiałby wejść do miasta, gdzie zewsząd czyhało niebezpieczeństwo. W mieście mogli wykryć obecność zbójcy, oddać go pod sąd i ukarać.

Ojczyzna, Honor

Dlatego też zbójcy zamyśliли się głęboko i milczeli, poruszając z lekka wąsami i gładząc ręką olbrzymie brody. Nareszcie jeden z nich, młody Alof, wystąpił naprzód, wsparł się łokciem o pień malachitowy i zawołał:

— Bracia zbójcy! Jestem młody i silny. Nie znam strachu ani lęku. Kocham was i kocham Sezam, w którym się wychowałem od dziecka. Sezam jest moją ojczyzną, a wy jesteście moimi braćmi. Chętnie poświęcę swe życie dla was i dla Sezamu. Pójdę do miasta i mam nadzieję, że znajdę naszego wroga. Jeśli nie znajdę — niech sam kapitan głowę mi mieczem odrąbie!

— Jeśli nie znajdziesz — niech sam kapitan głowę ci mieczem odrąbie! — powtórzyli zbójcy chórem.

Kapitan położył dłoń na ramieniu Alofa i rzekł:

— Idź do miasta, Alofie, i wróć do nas z dobrą nowiną. Pamiętaj, że śmierć cię czeka z mej ręki w razie, jeżeli ci się wyprawa nie uda. Właśnie już wieczór zapada, więc łatwiej ci będzie i bezpieczniej wejść do miasta wieczorem, niż przy dziennym świetle.

Alof skłonił się kapitanowi i wyruszył do miasta.

\*

Pierwszym sklepikiem, który Alof, podchodząc do miasta, zobaczył, był sklepik Baby-Mustafy. Baba-Mustafa, jak zazwyczaj, siedział z dratwą w ręku i latał buty.

Alof podszedł do niego i rzekł:

— Co robisz, dobry człowieku?

Baba-Mustafa zaśpiewał w odpowiedzi:

„Łatam obuwie,  
Sam z sobą mówię,  
Sam z sobą gadam  
I piosnki składam”.

Alof pochylił się nad nim i rzekł z udanym współczuciem:

— Już wieczór zapada, a ty wciąż jeszcze ślęczysz nad robotą? Możesz sobie oczy nadwyrężyć. Dziwię się, że pomimo starości, potrafisz po ciemku buty latać.

Baba-Mustafa uśmiechnął się chełpliwie i odpowiedział:

— Nie oddałbym swoich oczu za twoje, chociaż jesteś młodszy. Niedawno w zupełnie ciemnym pokoju zszywałem zwłoki jakiegoś nieszczęśliwca, porąbanego na czworo. Zszyłem tak zręcznie i tak dokładnie, że nikt by nawet szwów nie rozpoznał. Mam oczy sobie, widzę po ciemku!

Posłyszawszy te słowa, zbójca drgnął z radości, ale pohamował swoje wzruszenie i powiedział:

— To bardzo rzadki wypadek, ażeby czyjekolwiek zwłoki były porąbane na czworo. Jakże się nazywał ów nieszczęśliwiec?

— Albo ja wiem? — odparł Baba-Mustafa.

— Przypomnij sobie! — szepnął zbójca i położył przed Babą-Mustafą dukata.

Baba-Mustafa dukata schował do kieszeni i rzekł:

— Kto nie widział nic zgoła, ten przypomnieć nie zdoła! Historia to zaklęta, pamięć jej nie pamięta, wspomnienie nie wspomina! Przyszła do mnie dziewczyna, stanęła za plecami, płaciła — dukatami! Uszy moje ją słyszały, ale oczy nie widziały... Gdy noc błysła na niebie, kazała iść przed siebie. Tuż za miastem, na lewo, gdzie pierwsze stoi drzewo, przewiązała oczy chustą i wiodła mnie w przestrzeń pustą, aż zawiodła po kryjomu do nieznanego domu. W tym zaś domu — mrok głęboki i pocięte w czworo zwłoki. Wziąłem dratwę, wziąłem nić i zacząłem trupa szyć. Szyłem chwacko, z całych sił — ale nie wiem, kto to był?

Alof znów dał dukata Babie-Mustafie i powiedział:

— Jeśli mi nie odmówisz swojej pomocy, nie pożałuję ci dukatów. Tak mnie twoje opowiadanie zaciekało, że chciałbym koniecznie ów dom tajemniczy odnaleźć.

Baba-Mustafa odpowiedział mu na to:

Tajemnica



— Chętnie bym ci w tym dopomógł, bo widzę, że jesteś chojny i dukatów nie żałujesz, ale nie wiem, jak to uczynić. Nie znam ani dziewczyny, która do mnie przyszła, ani drogi, po której mnie prowadziła, ani domu, do którego mnie wwiiodła, ani trupa, którego zsywałem. Wiem tylko, że dziewczyna była przebiegła, droga — krótka, dom — ciemny, a trup — porąbany na czworo.

Zamyślił się Alof i po chwili rzekł:

— Masz słuszność, że dziewczyna była przebiegła. To też powinniśmy być przebieglejsi od niej. Pójdź ze mną za miasto aż do owego drzewa, gdzie przebiegła dziewczyna przewiązała ci oczy chustą. Pod tym samym drzewem przewiążę ci oczy chustą, a może ci się uda w ten sposób po omacku i na oślep dojść do tego samego domu.

Alof znów dał dukata Babie-Mustafie i obydwaj natychmiast wyruszyli w drogę. Doszli wkrótce do pierwszego drzewa za miastem. Alof przewiązał Babie-Mustafie oczy chustą i rzekł:

— Staraj się teraz przypomnieć sobie kierunek, w którym szedłeś razem z dziewczyną.

— Dobrze — odpowiedział Baba-Mustafa. — Ja będę się starał iść w tym samym kierunku, ty zaś, ile razy w drodze przystanę, aby kierunek przypomnieć, kładź mi do ręki dukata dla tym lepszego przypomnienia.

Alof się na to zgodził i Baba-Mustafa z zawiązanymi oczyma zaczął kroczyć po drodze, zgadując coraz wyraźniej kierunek do pałacu Kassima, w którym teraz mieszkał Ali-Baba. Można było pomyśleć, że się bawią w ciuciubabkę. Baba-Mustafa co chwila niemal zatrzymywał się i mówił:

— Znów zapomniałem kierunku! Daj mi prędzej dukata, bo w przeciwnym razie nie przypomnę sobie dalszej drogi.

Otrzymałszy dukata, Baba-Mustafa szedł dalej i w końcu zatrzymał się przed samym pałacem Ali-Baby.

— Zdaje mi się, żeśmy doszli do owego domu — rzekł Baba-Mustafa.

Alof zdjął mu chustkę z oczu i powiedział:

— Wracaj teraz do swego sklepiku i nikomu nic nie mów o tym, co zaszło.

Baba-Mustafa, brzęcząc dukatami, udał się z powrotem do swego sklepiku, a Alof wyjął z kieszeni kredę i kredą naznaczył próg domu, żeby go potem poznać. Zadowolony z udanej wyprawy, wyszedł z miasta i skierował kroki wprost do lasu, ażeby o wszystkim zawiadomić kapitana i swoich towarzyszy.

Gdy Alof się oddalił, Morgana, wracając z miasta do pałacu, spostrzegła na progu biały znak, którego dawniej nie było. Morgana ten znak bardzo zastanowił, a nawet zaniepokoił.

— Kto zrobił ten znak i w jakim celu? — pomyślała mądra Morgana. — Czy dla psoty, czy dla jakich innych zamiarów? Jeśli nie dla psoty, to tylko dlatego, aby dom, naznaczony kredą, od innych domów odróżnić. A w takim razie zrobił to jakiś człowiek obcy, który nie zna miasta ani domów, znajdujących się w naszym mieście. Jeśli zaś dom kredą naznaczył, to z pewnością ma jakieś złe zamiary względem tego domu. Trzeba więc uczynić tak, aby ów obcy człowiek nie mógł domu po znaku kredowym rozpoznać.

I Morgana przykucnęła pod progiem, aby znak kredowy zetrzeć; lecz nagle wstała i rzekła sama do siebie:

— Byle głupiec wpadłby na taką samą myśl, na jaką ja wpadłam przed chwilą. Nic łatwiejszego, jak znak kredowy zetrzeć. Wolę obmyśleć trudniejszy sposób pogmatwania zamiarów owego nieznanego mi człowieka. Oto naznaczę kredą progi kilku innych sąsiednich domów. Wówczas nikt nie potrafi naszego domu od sąsiednich po znaku kredowym odróżnić.

Morgana kupiła natychmiast w sklepie kawałek kredy i wyrysowała na progach domów sąsiednich takie same znaki kredowe.

\*

O północy zbójcy zbliżyli się do miasta z Alofem na czele. Alof miał im wskazać dom Ali-Baby, oni zaś zamierzali wszystkich mieszkańców tego domu wymordować, a dom spalić. Domyślili się bowiem, że w tym właśnie domu mieszka ich wróg, który zna zakłętą czterowiersz i który wyniósł z jaskini Sezamu zwłoki Kassima. Kapitan kazał zbójcom

Podstęp

czekać pod miastem, a sam z Alofem poszedł wprost do owej dzielnicy, gdzie znajdował się dom kredą naznaczony.

Alof szedł przodem, a kapitan za nim. Kapitan rzekł po cichu:

— Jak to dobrze, żeś dom kredą naznaczył! Po znaku kredowym łatwo dom poznać. Szczęśliwa myśl przyszła ci do głowy.

Alof, zadowolony z pochwały kapitana, uśmiechnął się i powiedział:

— Nie jestem zarozumiały, ale każdy mi przyzna, że postąpił<sup>16</sup> mądrze. Łataczowi butów przewiązałem oczy chustą i kazałem mu całą drogę po omacku i na oślepie odnaleźć, dom zaś naszego wroga naznaczyłem kredą, tak że nie możemy teraz pomylić się ani też nie mamy potrzeby długo szukać tego domu.

Byli już właśnie w tej dzielnicy, gdzie stał pałac Ali-Baby. Alof podszedł do jednego z domów, zobaczył znak kredowy na progu i szepnął do kapitana:

— Spójrz, kapitanie — oto jest znak kredowy. Tu w tym domu mieszka nasz wróg!

Kapitan spojrział na znak kredowy i z wdzięcznością ucisnął dłoń Alofa.

— Wróćmy teraz do naszych towarzyszy — rzekł kapitan — i razem z nimi napadniemy na ten dom.

Poszli więc z powrotem, lecz, przechodząc koło następnego domu, kapitan zatrzymał się nagle i zawołał:

— Cóż to znaczy, Alofie? Na progu tego domu widzę taki sam znak kredowy!

Alof spojrział na znak kredowy i sam zbladł, jak kreda.

— Nie rozumiem, skąd się wziął ten drugi znak — szepnął, spuszcżając oczy. — Przysięgam ci, kapitanie, że naznaczył<sup>17</sup> jeden tylko dom!

Kapitan nic nie odpowiedział i poszedł dalej, ale po chwili znów się zatrzymał koło innego domu i znów zawołał:

— Alofie, widzę trzeci znak na progu innego domu!

Alof pochylił głowę i milczał. Wiedział, że go czeka śmierć z ręki kapitana. Kapitan tymczasem spostrzegł inne znaki kredowe na innych domach i rzekł:

— Któryż z tych domów jest domem naszego wroga? Przecież nie możemy tych wszystkich domów spalić i wszystkich mieszkańców wymordować!

— Kapitanie — szepnął Alof — myślałem, że jestem mądry i przebiegły, ale widocznie jest ktoś mądrzejszy i przebieglejszy ode mnie! Nie wiem, kto naznaczył inne domy kredą, to jedno wiem tylko, że<sup>18</sup> obietnicy swojej nie spełnił i wroga naszego nie odnalazłem. Chętnie więc głowę swoją pod miecz oddam, gdyż na karę śmierci zasłużyłem.

Nic kapitan na to nie odpowiedział, jeno kroku przyspieszył, aby jak najprędzej wraz ze zbójcami do Sezamu wrócić.

Zbójcy pod miastem czekali na dalsze rozkazy kapitana i marzyli o tym, że się zemszczą na swoim wrogu. Lecz kapitan zbliżył się do nich ponury, z wielkim marsem na czole. Alof w milczeniu szedł za kapitanem.

— Panowie zbójcy! — rzekł kapitan, groźnie poruszając wąsami. — Wyprawa nasza nie udała się i musimy co prędzej wracać do lasu, ażeby śmiercią ukarać Alofa.

Wszyscy, milcząc, wyruszyli w drogę powrotną do lasu. Późną nocą stanęli przed Sezamem. Kapitan zawołał:

„Jest tu brama w skale,  
I są czary w bramie!  
Ku swej własnej chwale  
Otwórz się, Sezamie!”

Sezam się otworzył i kapitan ręką dał znak Alofowi, ażeby wszedł pierwszy do jaskini. Alof dumnie podniósł głowę, mężnie spojrział na kapitana i wszedł pierwszy. Za nim weszli inni zbójcy — smutni i zamyśleni. Za zbójcami wszedł kapitan i brama Sezamu natychmiast zamknęła się za nimi. We wnętrzu Sezamu, jak zawsze, panowało światło tęcze. Zbójcy ustawili się szeregiem po obu stronach jaskini. Kapitan rozkazał Alofowi

<sup>16</sup>żem postąpił — dziś: że postąpiłem. [przypis edytorski]

<sup>17</sup>żem naznaczył — dziś: że naznaczyłem. [przypis edytorski]

<sup>18</sup>żem nie spełnił — dziś: że nie spełniłem. [przypis edytorski]

stanąć po środku. Alof stanął dumnie i śmiało. Widać było, że nie lęka się ani śmierci, ani miecza. Kapitan właśnie obnażył miecz i zawołał:

— Przrzekliśmy sobie nawzajem, że ten, komu wyprawa na wroga się nie uda, zginie od miecza! Czy pamiętasz, Alofie, to przrzeczenie?

— Pamiętam — odrzekł Alof spokojnie — i chcę zginąć od miecza!

Wówczas zbójcy zaczęli chórem szeptać do kapitana:

— Zlituj się nad Alofem! Przebacz Alofowi.

Alof dumnie się wyprostował i zawołał:

— Nie znoszę litości! Nie przyjmuję przebaczenia! Przrzekliśmy sobie nawzajem ukarać śmiercią tego, kto wroga odnaleźć nie potrafi. Nie tylko ja kapitanowi, lecz i kapitan mnie dał to samo przrzeczenie! Ja obiecałem umrzeć własnowolnie, on zaś obiecał zabić mnie własnoręcznie. Słowa raz danego łamać nie wolno! Niechże więc kapitan spełni swoje przrzeczenie!

Słyszając to, zakłęte brylanty wyskoczyły ze swoich szkatuł i potoczyły się do stóp Alofa, ażeby w ten sposób uczcić jego dumę i odwagę. Topazy i rubiny wpelzły mu na piersi, na ramiona i na ręce i ułożyły się na ramionach i na piersiach w cudowne wzory, a na palcach w drogocenne sygnety, bo chciały go na śmierć przystroić i przyozdobić po królewsku. Pnie malachitowe podbiegły ku niemu, żeby się z bliska przyjrzeć jego odwadze i dumie.

Wówczas kapitan podniósł miecz do góry i rzekł:

— Złóż głowę na pniu malachitowym!

— Żegnaj, kapitanie! Żegnajcie, bracia zbójcy! I ty żegnaj, zakłęty, cudowny, tajemniczy Sezamie!

Tak zawołał Alof i złożył głowę na pniu malachitowym. Miecz błysnął i świsnął w powietrzu — i głowa Alofa stoczyła się z pnia malachitowego na czarodziejską ziemię Sezamu. W tej chwili turkusy, które wdrapały się na sam wierzchołek drzewa koralowego, ażeby stamtąd oglądać śmierć śmiałego Alofa, z brzękiem pospadały na ziemię, niby lzy...

Zbójcy stali w milczeniu. Nikt się nie poruszył, nikt słowa nie śmiał powiedzieć. Kapitan zmarszczył brwi i długo patrzył na własny miecz, krwią ociekający.

Upłynęło czasu ani mało, ani wiele, jeno tyle właśnie, ile upłynęło. Kapitan pierwszy poruszył się i przemówił:

— Panowie zbójcy! Wróg nasz dotąd żyje i każdej chwili może się przedostać do naszej zakłętej jaskini! Jest on przebiegły i trudno dać sobie z nim rady. Z jego to przyczyny Alof zginął od miecza w waszych oczach. Tak zginie każdy, kto nie potrafi spełnić wziętego na siebie obowiązku. Któż z was, panowie zbójcy, odważy się teraz pójść na poszukiwanie wroga?

Wszyscy milczeli, patrząc na ściętą głowę Alofa. Wreszcie wystąpił naprzód jeden ze zbójców, któremu było na imię Achmed, i rzekł:

— Wiem, jaka mnie czeka kara w razie, jeśli mi się wyprawa nie uda. Mimo to chcę iść do miasta, aby wroga wytropić. Kochałem Alofa i pragnę zemścić się na owym człowieku, który był powodem śmierci Alofa.

— Idź więc natychmiast do miasta — rzekł kapitan — i pamiętaj, że miecz mój głowę ci zetnie, jeżeli nie uda ci się twoja wyprawa.

Achmed pokłonił się kapitanowi i wyszedł z Sezamu — wprost do miasta.

\*

Pierwszym sklepikiem, który Achmed, zbliżając się do miasta, zobaczył, był sklepik Baby-Mustafy. Achmed natychmiast podszedł do Baby-Mustafy, dał mu dziesięć dukatów i kazał się prowadzić do owego domu, gdzie Baba-Mustafa zszywał zwłoki człowieka, porąbanego na czworo.

Poszli razem za miasto, do pierwszego drzewa. Achmed przewiązał chustą oczy Babie-Mustafie i Baba-Mustafa znów trafił z przewiązanymi oczyma do domu Ali-Baby.

Achmed naznaczył drzwi domu czerwonym ołówkiem, ale zrobił znak bardzo mały, żeby trudno było go dostrzec. Zadowolony ze swego pomysłu, udał się w drogę powrotną do Sezamu.

Właśnie w tym czasie Morgana, wracając z miasta do pałacu, stanęła przy drzwiach i pomyślała:

— Na pewno ów człowiek, który próg pałacu kredą naznaczył, zobaczył już takie same znaki na innych domach i, żeby uniknąć pomyłki, zrobił teraz inny znak w innym miejscu naszego domu. Domyślam się nawet, że zrobił znak innego koloru i taki mały, żeby go trudno było spostrzec.

Morgana zaczęła uważnie przyglądać się drzwiom pałacu. Po chwili rzeczywiście znalazła na drzwiach mały czerwony znak. Kupiła natychmiast w sklepie czerwony ołówek i zrobiła na drzwiach sąsiednich domów takie same małe czerwone znaki.

\*

Nazajutrz w nocy zbójcy znów przywędrowali do miasta. Wszyscy zatrzymali się pod miastem, kapitan zaś wraz z Achmedem poszli do miasta, aby dom, czerwonym ołówkiem naznaczony, odnaleźć. Achmed szeptem mówił do kapitana:

— Nie jestem zarozumiały, ale każdy mi chyba przyzna, że postąpiłem<sup>19</sup> mądrze i przebiegle. Każdy z łatwością mógł zgadnąć, że Ałof swój znak zrobił kredą, bo kreda się osypuje i nie przylega mocno do drzewa lub do kamienia. Ale chyba nikt nie zgadnie, że ja swój znak czerwony zrobiłem ołówkiem, a nie farbą. To też, gdyby nasz wróg zupełnie podobne znaki farbą na drzwiach innych domów zrobił, zawsze potrafię odróżnić ołówek od farby i w ten sposób poznam naszego wroga.

Kapitan nic mu na to nie odpowiedział, i szli dalej w milczeniu. Wreszcie Achmed zatrzymał się koło jednego domu i szepnął:

— Oto jest dom naszego wroga! Widzę bowiem wyraźnie na drzwiach znak od czerwonego ołówka.

Kapitan nic Achmedowi nie odpowiedział, jeno zbliżył się do sąsiedniego domu i, milcząc, wskazał palcem taki sam znak na drzwiach.

Achmed zaczął się uważnie przyglądać znakowi, a kapitan po chwili rzekł:

— Jakże ci się zdaje, Achmedzie: jestże to znak od farby, czy od czerwonego ołówka?

— Od czerwonego ołówka — szepnął Achmed i poczerwieniał od wstydu i od gniewu.

Tymczasem kapitan po kolei zbliżał się do innych domów i, milcząc, wskazywał Achmedowi na drzwiach takie same znaki, czerwonym ołówkiem zrobione.

Achmed głowę zwiesił na piersi i rzekł:

— Myślałem, że jestem mądry i przebiegły. Widocznie jest ktoś mędrszy<sup>20</sup> i przebiegły ode mnie. Oddam głowę pod miecz tak samo chętnie i tak samo odważnie jak Ałof, którego kochałem najwięcej ze wszystkich braci-zbójców.

Kapitan milczał i tylko wąsami gniewnie poruszał.

Wyprawa znów się nie udała. Zbójcy wrócili do Sezamu, i kapitan własnoręcznie swoim mieczem ścinał głowę Achmedowi.

Zbójcy smutnie patrzyli na dwie głowy swych braci. Liczba ich zmniejszyła się o dwóch śmiałych i odważnych młodzieńców. To też wszyscy chórem mruczeli pod wąsami:

— Jest nas trzydziestu ośmiu... jest nas trzydziestu ośmiu... jest nas trzydziestu ośmiu...

Kapitan spojrzął na zbójców i tak do nich powiedział:

— Widzę, że jesteście odważni, ale brak wam przebiegłości. Potraficie mężnie ginąć, ale nie potraficie chytrze postępować. Już dwóch z was próbowało wysledzić naszego wroga — i żaden nie umiał tego uczynić. Obydwaj zginęli od miecza, jak przystało rycerzom, którzy cenią swój honor i nie chcą słowa raz danego złamać. Nie mogę jednak pozwolić na to, abyście ginęli wszyscy po kolei. Tym więc razem sam pójde do miasta na poszukiwanie wroga. Wy zaś zostańcie w Sezamie i wyczekujcie cierpliwie mego powrotu.

I kapitan sam poszedł do miasta.

<sup>19</sup>żem postąpił — dziś: że postąpiłem. [przypis edytorski]

<sup>20</sup>mędrszy — dziś raczej: mądrzejszy. [przypis edytorski]

Trafił od razu do sklepiku Baby-Mustafy. Dał mu dwadzieścia dukatów i kazał się prowadzić do tajemniczego domu, w którym Baba-Mustafa zszywał zwłoki człowieka porąbanego na czworo.

Baba-Mustafa z zawiązanymi chustą oczami zaprowadził go wprost do pałacu Ali-Baby. Kapitan żadnych znaków ani na progu, ani na drzwiach nie zrobił, lecz za to tak długo przyglądał się pałacowi, że zapamiętał go dokładnie i mógł z łatwością od innych domów odróżnić. Gdy poczuł, że już pałac dość mocno utkwił mu w pamięci, wrócił do Sezamu i rzekł do zbójców:

— Znak, zrobiony kredą lub ołówkiem, może mnie zawieść, ale pamięć nigdy mnie nie zawiedzie. Pałac naszego wroga noszę teraz w pamięci. Nauczyłem się go na pamięć tak dobrze, jak pacierza. Poznam go zawsze: i w dzień, i w nocy, i podczas pogody, i podczas burzy. Ponieważ jednak wróg nasz jest przebiegły, więc i my musimy z nim przebiegle postępować. Długo myślałem nad tym, jakim sposobem mamy wroga w ręce nasze pochwyć, aż wreszcie obmyśliłem sposób najlepszy. Słuchajcie więc uważnie, co wam teraz powiem. Jeden z was pójdzie na targ, przyprowadzi mi dziewiętnaście mułów i każdego muła objuczy dwoma miechami skórzanymi. Wszystkich więc miechów będzie dwa razy po dziewiętnaście, czyli trzydzieści ośm<sup>21</sup>. Są to miechy, w których zazwyczaj kupcy przewożą oliwę z miasta do miasta. Miechy te są tak olbrzymie, że człowiek może się w takim miechu zmieścić, skuliwszy się odpowiednio. Otóż każdy z was ukryje się w takim miechu, a ponieważ jest was beze mnie trzydziestu siedmiu, miechów zaś mamy trzydzieści osiem, więc ostatni miech trzydziesty ósmy napełnię oliwą. Objuczę tymi miechami grzbiety dziewiętnastu mułów, po dwa miechy na każdym mule, i pójdę z nimi do miasta, przebrany za kupca oliwy. Jeżeli ktokolwiek zażąda ode mnie oliwy, pokażę mu trzydziesty ósmy miech, napełniony oliwą. Przechodząc koło pałacu naszego wroga, zatrzymam się, zapukam do drzwi i poproszę o gościnę i nocleg. Ponieważ obyczaj perski nakazuje każdemu przyjmować przechodniów i udzielać im noclegu, więc wróg nasz chętnie mnie wpuści do swego pałacu, a muły każe wprowadzić na podwórze. Gdy wszyscy w pałacu zasną, zbliżę się do okna i rzucę kamykiem przez okno tak, żeby kamyk trafił w miech skórzany. Będzie to znak, abyście z miechów wyszli, wdarli się do domu i zamordowali wszystkich mieszkańców. Potem dom spalimy i uciekniemy do lasu.

Zbójcy byli zachwyceni pomysłem kapitana i podziwiali jego mądrość. Nazajutrz z rana jeden z nich, przebrany za chłopca, poszedł na targ i przyprowadził dziewiętnaście mułów, objuczonych skórzanymi miechami. Gdy wieczór nadszedł, zbójcy ukryli się w miechach. Kapitan trzydziesty ósmy miech napełnił oliwą, przebrał się za kupca i pognął muły do miasta.

Przechodząc koło pałacu Ali-Baby, zatrzymał się i do drzwi zapukał.

Ali-Baba drzwi otworzył i, zobaczywszy nieznanego kupca, zapytał:

— Czego życzysz sobie, dobry człowieku?

Kapitan pokłonił się i odpowiedział:

— Idę z dalekiej krainy, nie odmów mi gościnę! Jestem znużony drogą, ledwo poruszam nogą. Jutro z rana co żywo na targ pójdę z oliwą, a dziś noc już zapada, wicher szumi i gada, strachy chodzą po borze, a zmory po jeziorze. Wszakże jesteś bogaty, wpuść mnie do swej komnaty! Nie zawadzę nikomu, nocując w twoim domu.

— Wejdz do mego domu i przenocuj — rzekł Ali-Baba. — Chętnie udzielę ci gościnę, muły zaś twoje każe wprowadzić na podwórze, tak że przez okno pokoju będziesz mógł pilnować swoich skarbów. Ile mułów masz z sobą?

— Dziewiętnaście — odrzekł zbójca.

— A ile miechów z oliwą? — spytał Ali-Baba.

— Trzydzieści ośm — odpowiedział zbójca.

— Czy wszystkie pełne?

— Pełne.

— Ciężko zapewne było twoim mułom wlec miechy, pełne oliwy. Odpoczniesz więc ty i twoje muły.

<sup>21</sup>ośm — dziś popr.: osiem. [przypis edytorski]

Ali-Baba natychmiast kazał zagnać do podwórza wszystkie muły, a sam z kupcem wszedł do pokoju. Morgana podała jedzenie, aby gościa nakarmić. Ali-Baba zaś rozmawiał z nim o rozmaitych krajach, które kupiec zwiedził.

— Zapewne dużo cudów i dziwów widziałeś w tych krajach?

— Widziałem dziwy niezbadane, widziałem cuda niesłychane! — rzekł zbójca, trafnie udając kupca. — Widziałem ryby śpiewające, widziałem ptaki pływające. Widziałem drzewa, na których, zamiast owoców, rosną ludzkie głowy i gdy ktokolwiek chce je zerwać z gałęzi, wołają: „Nie ruszaj nas, nie tykaj nas, nie zrywaj nas!” Widziałem chałupki na kurzych łapkach. Chałupki te same się przenoszą z miejsca na miejsce, uciekają przed obcymi ludźmi, a do swoich własnych mieszkańców biegną na zawołanie, jak wierne psy. W tych chałupkach mieszkają czarownice z głowami sowimi i gotują w żelaznych kotłach zupę z macierzanek, z kostek nietoperza i z ogonków krecich. Widziałem też zaklętą krainę, gdzie panuje król Sen i król wicz Pólsen. Gdy ludzie tej krainy zasypiają, nad głowami ich widać wyraźnie sny, które im się przyśniły. Sny te są trwałe i nie znikają wcale. Nad ranem, zbudziwszy się, każdy bierze swój sen za rękę i prowadzi do olbrzymiego złotego pałacu. Co noc nowe sny się rodzą i co rano pałac nowymi snami się zapelnia. Sam byłem w tym pałacu i zaznajomiłem się z kilkoma snami. Jeden z nich był zupełnie błękitny i tak mi się podobał, że dotąd śni mi się w nocy i prosi, żebym wrócił do nowego pałacu.

Ali-Baba z zachwytem słuchał opowiadania kapitana i wreszcie powiedział:

— Godzina jest już późna, a ponieważ jesteś zmęczony drogą i oglądaniem tylu cudów, więc nie chcę nadużywać twojej grzeczności i zmuszać cię do nowych opowieści. Życzę ci dobrej nocy i sam też idę spać.

Morgana weszła do pokoju, żeby talerze ze stołu uprzątnąć. Ali-Baba zwrócił się do Morgany.

— Morgano! — rzekł — jutro, skoro świt, chcę iść do kąpieli. Przygotuj mi dziś jeszcze talerz dobrego rosółu, żebym mógł zaraz po kąpieli pokrząć się rosółem.

Ali-Baba wstał, pożegnał gościa i wyszedł. Morgana też wyszła. Kapitan został sam w pokoju. Otworzył okno i wyjrzał na podwórze. Noc była jasna. Księżyc świecił. Muły stały na podwórzu. Światło księżyca połyskiwało na mordach mułów i na skórzanych miechach. Miechy, oświetlone srebrnym blaskiem księżyca, wyglądały na grzbietach mułów jak wielkie srebrzyste garby. Chłodny, nocny wietrzyk chodził po podwórzu. Było cicho dookoła i tajemniczo.

Kapitan długo stał w oknie i czekał, aż wszyscy w domu zasną.

Tymczasem Morgana zajęta była w kuchni gotowaniem rosółu. Pomagał jej w tym służący Ali-Baby, który się nazywał Abdalla. Wkrótce w lampie kuchennej zabrakło oliwy. Płomień pobłękitniał, zachwiał się kilka razy i zgasł. W kuchni zrobiło się ciemno. Morgana rzekła do Abdalli:

— Nie mogę po ciemku gotować rosółu, a w całym domu nie ma oliwy, bo zapomniałam dziś kupić. Jest noc i wszystkie sklepy są już zamknięte. Sama nie wiem, co mam robić?

— Poradzę ci, co masz robić — odpowiedział Abdalla. — W podwórzu stoją muły owego kupca, który u nas nocuje. Na mułach wiszą miechy skórzane. W miechach skórzanych znajduje się oliwa. Weź naczynie, idź na podwórze i zaczerpnij oliwy. Jutro rano powiesz Ali-Babie, ile oliwy zaczerpnęłaś, on zaś zapłaci kupcowi za oliwę.

— Masz słuszność — rzekła Morgana, wzięła natychmiast naczynie i poszła na podwórze.

Kapitan zdruział się długim czekaniem w oknie i położył się w ubraniu do łóżka, żeby, leżąc, wyczekiwać chwili, kiedy wszyscy zasną. Nie widział więc Morgany, która z naczyniem w rękę wybiegła na podwórze. Morgana zbliżyła się do dziewiętnastu mułów i do trzydziestu ośmiu miechów, na których świecił się srebrny blask księżyca.

Już wyciągnęła rękę z naczyniem do pierwszego z brzegu miecha, aby oliwy zeń zaczerpnąć, gdy nagle z miecha wydobył się szept głuchy:

— Czy już czas?

Morgana natychmiast opuściła rękę z naczyniem i odrzekła takim samym szeptem:

— Nie jeszcze.

Morgana zrozumiała, że w miechu znajduje się jakiś zbójca i że kupiec, nocujący w domu, jest też zbójcą, który chce Ali-Babę zamordować. Chciała się jednak przekonać, czy i w innych miechach ukrywają się zbójcy. Domyśliła się bowiem, że zbójcy biorą jej kroki za kroki swego kapitana. Podeszła więc do następnego miecha. Z drugiego miecha też wydobył się głuchy szept:

— Czy już czas?

— Nie jeszcze! — odpowiedziała Morgana.

Podchodziła Morgana po kolei do wszystkich miechów i z każdego miecha wydobywał się szept głuchy.

— Czy już czas?

Morgana zaś wciąż odpowiadała:

— Nie jeszcze.

Tylko ostatni, trzydziesty ósmy miech milczał i nie ozwał się żadnym szepem. Morgana zajrzała do milczącego miecha i zobaczyła, że pełen jest oliwy. Pobiegnęła z powrotem do kuchni i zamiast małego naczynia wzięła duże wiadro. Z wiadrem wróciła po oliwę, napełniła je po brzegi, znów pobiegła do kuchni i zagotowała oliwę na ogniu.

Gdy oliwa kipieć poczęła, Morgana z wiadrem wrzącej oliwy wysunęła się ciszkiem na podwórze i zbliżyła się do pierwszego z brzegu miecha. Podeszła jednak tak cicho, że zbójca w miechu ukryty nie słyszał jej kroków. Morgana uniosła wiadro w górę i wylała wrzącej oliwy do pierwszego miecha. Wrząca oliwa zadusiła pierwszego zbójcę.

Morgana podeszła do drugiego miecha i znowu wylała doń wrzącej oliwy. Drugi zbójca natychmiast skonał. Morgana po kolei wlewała wrzącą oliwę do wszystkich trzydziestu siedmiu miechów, a potem ukryła się w samym kącie podwórza, aby zobaczyć, co teraz kupiec zrobi.

Kupiec, a właściwie kapitan zbójców podszedł właśnie do okna i znów wyjrzał na podwórze. Księżyc świecił coraz mocniej i jaśniej. Muły i miechy skórzane, oświetlone blaskiem księżyca, wyglądały teraz niby wykute ze srebra. Straszno było spojrzeć na muły, bo stały nieruchomo, dźwigając na karkach trzydziestu siedmiu zmarłych. Ale kapitan nie wiedział o tym, co się przed chwilą stało. Ponieważ wszyscy w pałacu posnęli, więc postanowił zbójcom dać znak, aby wyszli z miechów i napadli na śpiących. Wyjął z kieszeni kamyk i rzucił w pierwszy miech. Nie przypuszczał, że rzuca kamykiem w umarłego. Kamyk z głuchym łoskotem o miech uderzył, ale miech pozostał, jak dawniej, bez ruchu. Nikt nie wyszedł z głębi miecha.

Kapitan po chwili cisnął znowu kamykiem w miech drugi. Ale i z drugiego miecha nikt się nie wynurzył.

Kapitan rzucił całą garść kamyków we wszystkie miechy naraz, ale na próżno. Umarli nie słyszeli uderzenia kamyków. Nie obchodziły ich już żadne znaki umówione. Obojętni byli na rozkazy swego kapitana.

Kapitan zdziwił się i pomyślał:

— Pewno moje zuchy śpią tak mocno, że nic nie słyszą. Muszę sam ich obudzić.

Morgana z ciemnego kąta podwórza widziała, jak kapitan wyskoczył na ziemię przez okno i szybko zbliżył się do dziesięciu mułów, oświetlonych księżycem. Nietoperze i ćmy nocne latały w jasnym, przezroczym<sup>22</sup> powietrzu.

Kapitan zajrzał do pierwszego miecha — i zdrętwiał. Zapach wrzącej oliwy owionął jego twarz wąsatą i brodatą. Nietoperze i ćmy nocne latały w jasnym, przezroczym powietrzu.

Kapitan po kolei zajrzał do wszystkich miechów i zrozumiał, że ktoś wrzącą oliwą zadusił wszystkich zbójców. Długo stał kapitan wpośród<sup>23</sup> dziesięciu swoich mułów. Stał nieruchomy i błądliwy. Myślał o tym, co ma teraz uczynić? Postanowił co prędzej wrócić do Sezamu i tam obmyślić plan zemsty. Przeskoczył przez niski płot podwórza i znikł w mroku nocnym.

Muły stały, jak dawniej, bez ruchu. Światło księżyca drgało na miechach skórzanych. Nietoperze i ćmy nocne latały w jasnym, przezroczym powietrzu.

<sup>22</sup>przezroczy (daw.) — przezroczysty. [przypis edytorski]

<sup>23</sup>wpośród — dziś raczej: wśród, pomiędzy. [przypis edytorski]

Morgana widziała, jak kapitan przeskoczył przez płot i szybkim krokiem oddalił się od pałacu. Pomyślała więc, że niebezpieczeństwo, które groziło Ali-Babie i całemu domowi, minęło. Była zmęczona, wróciła do kuchni i, rzuciwszy się na łóżko, zasnęła.

\*

Nazajutrz z rana Ali-Baba wykąpał się w rzece i, wróciwszy do domu, rzekł do Morgany.

— Czyś przygotowała mi rosół, o który cię prosiłem?

— A jakże! — odpowiedziała Morgana, podając mu rosół — właśnie niosę rosół, abys się posilił po kąpieli.

Morgana postawiła wazę rosółu na stole. Ali-Baba zasiadł do stołu i, pijąc rosół, wyjrzał na podwórze przez otwarte okno.

— Czemuż to muły stoją dotąd na podwórzu? — spytał Morgany. — Przecież kupiec miał o świcie wyruszyć na targ ze swoją oliwą?

— Nie każdy kupiec jest kupcem — odrzekła Morgana. — Te miechy skórzane, które widzisz na mułach, są właściwie trumnami. W każdej takiej trumnie skórzanej znajduje się jeden zbójca. Wszystkich więc zbójców było trzydziestu siedmiu. Tylko ostatni trzydziesty ósmy miech zawierał oliwę. Ów zaś kupiec, który u nas nocował, był kapitanem zbójców i na pewno chciał ciebie zabić.

— Wytłumacz mi to wszystko, bo nic nie rozumiem! — zawołał Ali-Baba, przestając jeść rosół.

Morgana opowiedziała mu wszystko, co się tej nocy stało, a potem dodała:

— Nie chciałam ciebie niepokoić, więc dotąd nie opowiadałam ci o tym, że dwa razy ktoś twój dom naznaczył kredą i czerwonym ołówkiem. Zobaczyłam te znaki i zrobiłam podobne na innych domach, aby w ten sposób pomylić tego, co by chciał twój dom po owych znakach poznać. Teraz jestem pewna, że to owi zbójcy twój dom naznaczyli.

— Morgano! — zawołał Ali-Baba. — Uratowałam ci życie! Pragnę cię za to nagrodzić. Ponieważ jesteś niewolnicą, daruję ci wolność. Od tej chwili jesteś mi wolną i równą!

Morgana podniosła oczy, pełne łez, i szepnęła:

— Jam ci uratowała<sup>24</sup> życie. Tyś mnie obdarzył wolnością. Wolność droższa mi jest niż życie. Nagroda, którą mi dałeś, jest większa stokroć niż moje zasługi.

Abdalla sprzątał pokój przyległy i słyszał całą rozmowę. Gdy Ali-Baba wyszedł z pokoju, Abdalla zbliżył się do Morgany ze czcią i z podziwem.

— Wolna jesteś? — zapytał.

— Wolna — odrzekła Morgana głosem wzruszonym.

— Cieszysz się? — pytał dalej Abdalla, który był niewolnikiem.

— Cieszę się — szepnęła Morgana.

— Przyglądam się ja tobie — rzekł Abdalla — i dziwuję się i nadziwować się nie mogę! To jedno słowo: wolność — zmieniło cię nie do poznania. Stałaś się daleko piękniejsza, oczy twoje nabrały blasku, głos twój brzmi śpiewniej, a ramiona wznoszą się co chwila, jakby czuły skrzydła na sobie.

I Abdalla tak się jej zaczął przyglądać, tak ją podziwiał i tak oczy przy tym rozszerzał, że Morgana w końcu zaśmiała się głośno i wesoło.

\*

Tymczasem kapitan wrócił do Sezamu. Czuł się samotny i opuszczony. Kochał bowiem wszystkich zbójców — i wszystkich naraz utracił. Usiadł na pniu malachitowym w głębi jaskini i mówił sam do siebie:

„Samotny muszę kryć się i chować!

Już kapitanem nie jestem wcale,

Bo nie mam zbójców, ukrytych w skale,

I nie mam komu kapitanować!...

<sup>24</sup>jam uratowała — dziś: ja uratowałam. [przypis edytorski]

Mądrość

Wolność, Nagroda



Po dzikich drogach, wśród drzew szelestu,  
Będę się błąkał nocą i ranem!  
Zgromadzę nowych zbójców czterdziestu,  
Aby znów zostać ich kapitanem!

Lecz pierwszej zemstę wykonać muszę,  
A zemsta będzie krwawa i sroga!  
Klnę się na moją zbójczą duszę,  
Że własnoręcznie zabiję wroga!”

Kapitan głęboko zamyslił się nad tym, jak ma teraz zemstę wykonać.  
Po chwili przysła mu do głowy jakaś dobra myśl, bo uśmiechnął się i powiedział:  
— Plan, który teraz obmyśliłem, na pewno mi pozwoli zemścić się za moich trzydziestu siedmiu zuchów.

Kapitan przystąpił natychmiast do wykonania swego planu. Zgolił wąsy i brodę, tak że nikt by go poznać nie mógł. Przebrał się za kupca drogocennych kamieni. Wziął na plecy worek brylantów, topazów, rubinów i turkusów i poszedł do miasta.

Wynajął w mieście sklep na rynku, zappełnił sklep drogocennymi kamieniami i ogłosił w całym mieście, że się nazywa Hussen.

Zdarzyło się tak, że obok sklepu Hussena znajdował się sklep młodego Seffala, siostrzeńca Ali-Baby. Matka i ojciec Seffala od dawna umarli. Ali-Baba bardzo kochał swego siostrzeńca i, zdobywszy bogactwa, zbudował dla niego sklep z dywanami.

Hussen wkrótce zaznajomił się ze swoim sąsiadem i, dowiedziawszy się, że jest siostrzeńcem Ali-Baby, właściciela pałacu, starał się z nim zaprzyjaźnić. Miał bowiem nadzieję, że z pomocą Seffala przedostanie się do pałacu, jako jego przyjaciel.

Obydwaj tak siebie wzajem<sup>25</sup> polubili, że Hussen miał nawet zamiar namówić Seffala, aby został zbójcą. Lecz odłożył ten zamiar na potem, bo chciał przede wszystkim wykonać zemstę.

Nikt nie wiedział o tym, co zaszło w domu Ali-Baby, bo Morgana kazała zwłoki trzydziestu siedmiu zbójców pogrzebać w ogrodzie, wśród gęstych krzaków. Ali-Baba żył więc spokojnie, wdzięczny Morganie za wszystko, co dotąd uczyniła.

Hussen często bardzo zapraszał Seffala do swego mieszkania na ucztę sute i wspaniałe. Seffal chciał w końcu i Hussena w domu swym uczcić, ale pokój, w którym mieszkał, był tak mały, że trudno było w nim ucztować. Dlatego też Seffal poszedł pewnego dnia do pałacu swego wuja — Ali-Baby i rzekł:

— Mam przyjaciela, bogatego i szlachetnego Hussena. Wyprawił dla mnie tyle wspaniałych uczt, że pragnę teraz choćby jedną ucztę z kolei dla niego wyprawić. Pokój mój jest tak mały, że trudno w nim ucztować. To też chciałem cię prosić, abys wyprawił ucztę dla mego przyjaciela w swoim pałacu.

Ali-Baba chętnie się na to zgodził i nazajutrz Seffal z Hussenem przyszli do pałacu.

Gdy wszyscy zasiedli do stołu, Hussen nagle powiedział:

— Przepraszam cię, szlachetny wuju mego przyjaciela, ale nie będę jadł potraw, które dla mnie kazałeś przyrządzić.

— Czemu? — spytał Ali-Baba.

— Nie jadam wcale soli — odparł Hussen — a przypuszczam, że w twoim domu, jak we wszystkich innych, kucharka soli każdą potrawę.

— Łatwo temu zapobiec! — zawołał Ali-Baba. — Pójdę sam do kuchni i powiem kucharce, aby zrobiła dla ciebie potrawy bez soli.

Ali-Baba pobiegł do kuchni i rzekł do Morgany:

— Morgano! Przygotuj dla mego gościa potrawy osobno — bez soli.

— Dlaczego? — spytała Morgana, bardzo zdziwiona tą wiadomością.

— Dlatego, że gość mój soli nie jada — odpowiedział Ali-Baba.

<sup>25</sup>wzajem — dziś raczej: nawzajem. [przypis edytorski]

— Dziwi mnie to bardzo! — zawołała Morgana. — Soli nie jada się tylko w domu swego wroga, nie zaś w domu przyjaciela. Może ten gość uważa ciebie za swego wroga?

— Nie! — odpowiedział Ali-Baba. — Gość mój jest przyjacielem wielkim mego siostrzeńca Seffala. Jest to bogaty i szlachetny kupiec i nadzwyczaj mi się podoba.

— Dobrze — rzekła Morgana — podam mu potrawy bez soli.

Ali-Baba wrócił do pokoju, gdzie czekali na niego Hussen i Seffal. Po chwili Morgana przyniosła półmiski, pełne wonnego i smacznego jedzenia. Jedne potrawy stawiała przed Ali-Babą i Seffalem, a drugie bez soli — przed Hussenem.

Morgana pilnie i badawczo przyglądała się Hussenowi i zauważyła od razu nóż, ukryty na jego piersiach, bo koniec rękojeści tego noża z lekka przedarł mu ubranie i połyskiwał tak, jak mały złoty guzik.

Gdy uczta była skończona, Morgana sprzątnęła ze stołu i wyszła. Wówczas Hussen postanowił zemstę swoją wykonać. Począł więc pić wino i wołał co chwila:

— Kto mnie lubi — ten ze mną wypije.

Chciał bowiem spoić Ali-Babę i Seffala i potem pijanego Seffala zmusić do tego, aby zabił po pijanemu swego wuja. Po zamordowaniu wuja zamierzył zwerbować Seffala na rozbójnika.

Ale w chwili, gdy Ali-Baba i Seffal pili piętnasty czy też szesnasty kielich wina, drzwi pokoju rozwarły się na oścież — i weszła Morgana, a za nią Abdalla z bębenkiem, otoczonym dzwoneczkami.

— Czy pozwolisz mi, Ali-Babo, zatańczyć przed gościem mój najpiękniejszy taniec? — spytała Morgana.

— Tańcz! — zawołał Ali-Baba. — Taniec twój na pewno rozweseli mego gościa.

Abdalla uderzył ręką w bębenek. Bębenek zabębnił, dzwoneczki zadzwoniły. Morgana z lekka zakolysała się w biodrach i uniosła ręce do góry.

Abdalla mocniej w bębenek uderzył i Morgana zaczęła płaść. Przebierając niepostrzeżenie nogami, przeginała się zręcznie to w jedną, to w drugą stronę. Załamywała ręce, to znowu podnosiła je w górę i łączyła nad głową.

Hussen udawał, że jest zachwycony tańcem Morgany, ale w głębi duszy niecierpliwie wyczekiwał chwili, kiedy Morgana przestanie tańczyć i wyjdzie z pokoju. Morgana tymczasem przerwała taniec i rzekła:

— Teraz chcę pokazać naszemu gościowi inny taniec z mieczem, daleko ładniejszy od pierwszego.

— Dobrze! — zawołał Ali-Baba. — Pokaż nam taniec z mieczem, bo jest to najpiękniejszy taniec na świecie.

Abdalla podał Morganie miecz i znów zabębnił i zadzwonił.

Morgana z mieczem w ręku wirowała po pokoju. Potem nagle stanęła, jakby się na kogoś zaciąła. Błyskając mieczem, to zbliżała się do Hussena, to oddalała się od niego. Aż niespodzianie, zbliżywszy się do gościa, uderzyła go mieczem w piersi tak celnie, że Hussen zachwiał się i martwy zsunął się na ziemię.

— Coś uczyniła? — zawołał Ali-Baba. — Jak mogłaś zabić mego gościa?

— I mego najlepszego przyjaciela? — dodał Seffal.

Morgana wyjęła miecz, ukryty na piersi Hussena, pokazała go Ali-Babie i rzekła:

— Nie był to ani gość, ani przyjaciel, ale ten sam zbójca, który niegdyś u nas nocował. Od razu go poznałam, chociaż zgolił wąsy i brodę. Od razu też spostrzegłam miecz, ukryty na jego piersi. Przyszedł tutaj, aby zabić ciebie, Ali-Babo.

— Morgano! — zawołał Ali-Baba. — Po raz wtóry uratowałaś mi życie! Chcę cię znów za to wynagrodzić. Postanowiłem więc, abyś została żoną mego siostrzeńca. Dam wam bogactwa wszelkie, gdyż mam ich pod dostatkiem.

— Wuju! — rzekł Seffal. — Taniec Morgany i jej mądrość tak mnie oczarowały, że będę szczęśliwy, jeśli Morgana zgodzi się zostać moją żoną.

Morgana zgodziła się i nazajutrz odbyło się huczne wesele.

Po weselu Ali-Baba poszedł do Sezamu, aby dla Seffala i Morgany przynieść dwa worki dukatów, dwa worki brylantów i dwa worki turkusów. Długo Ali-Baba nie był już w Sezamie, gdyż bał się zbójców. Teraz, po śmierci trzydziestu siedmiu zbójców i trzydziestego ósmego — Hussena, śmieiej mógł wejść do zakłętej jaskini. Dwóch bowiem

Broń

Broń, Wróg, Taniec

Mądrość

tylko zbójców brakowało do liczby czterdziestu. Właśnie głowy dwóch brakujących zbójców Ali-Baba ujrzał w Sezamie. Odtąd więc mógł swobodnie odwiedzać Sezam i czerpać zeń skarby niezliczone.

Morgana i Seffal żyli szczęśliwie i wesoło.

## *Baśń o Aladynie i o lampie cudownej*

Kto pragnie dowiedzieć się szczegółowo o tym, jakim sposobem Aladyn został właścicielem lampy cudownej, ten niech przeczyta uważnie *Baśń o Aladynie i o lampie cudownej*. Łatwo tę baśń odróżnić od innych baśni, ponieważ zaczyna się od słów: „W pewnym mieście chińskim mieszkał ubogi krawiec Mustafa wraz z żoną Marudą”.

Przepisaliśmy tę baśń dokładnie z olbrzymiej czarodziejskiej księgi, którą pewien czarodziej posiada w swojej bibliotece. Baśń ta była drukowana złotymi literami na czerwonym pergaminie.

Czas jednak baśń tę rozpocząć, gdyż jest nader ciekawa.

\*

W pewnym mieście chińskim mieszkał ubogi krawiec Mustafa wraz z żoną Marudą. Mustafa i Maruda mieli jedynego syna, któremu na imię było Aladyn.

Gdy Aladyn doszedł do dwunastego roku życia, ojciec chciał go kształcić w rzemiośle krawieckim. Próżno jednak zachęcał syna do pracy. Aladyn był tak leniwy, że pracy unikał i dzień cały spędzał na gonitwach i zabawach z ulicznikami. Przez trzy lata Mustafa dokładał wszelkich starań, aby zbudzić w Aladynie zapał do pracy. Wszelkie jednak starania spełzły na niczym. Aladyn co chwila wymykał się z domu na ulicę i włóczył się po mieście z rozmaitymi nicponiami.

Mustafa załamywał dłonie i mówił do Marudy:

— Poradz mi, moja Marudo, co mam robić z tym leniuchem Aladynem? Jak przemówić do jego rozumu? Jesteśmy przecie ubodzy i nie zostawimy mu żadnego spadku. Ma już lat piętnaście, a dotąd nie nauczył się rzemiosła, które by mu pozwoliło zarabiać na kawałek chleba. Włóczy się po mieście z nicponiami i sam się wkrótce stanie takim nicponiem, jak jego towarzysze.

Maruda smętnie kiwała głową i odpowiadała:

— Nie ma rady, mój drogi Mustafu, nie ma żadnej rady. Nikt i nic nie zmusi Aladyna do pracy. Jest to największy leń, jakiego ziemia kiedykolwiek nosiła na sobie. A przy tym posiada tyle uporów i przekory, że ani groźbą, ani prośbą nie można wpłynąć na jego charakter. Gdybym przynajmniej miała drugiego syna, pracowitego, mogłabym wówczas śmiało powiedzieć, że mam dwóch synów, z których jeden jest utrapieniem, lecz za to drugi — pociechą. Wszakże nieogłędny los obdarzył mnie synem jedynakiem, tego zaś jedynaka dotknął lenistwem nieuleczalnym. Mogę więc powiedzieć, że mam jednego tylko syna, a i ten jeden jest moim utrapieniem!

Nieposłuszeństwo i upór Aladyna taką rozpaczą przejęły Mustafę, że dostał dziwnej i niebezpiecznej choroby, od której oczy wyszły mu zgoła na wierzch, a język, boleśnie obrzmiały, bez ustanku trzepotał się w ustach, bełkocąc jakieś niewyraźne i niezrozumiałe słowa.

Przysłuchując się uważniej temu bełkotaniu, można było z trudem rozróżnić, iż biedny Mustafa chorował i obrzmiałym językiem wciąż powtarza: „Aladyn, Aladyn, Aladyn!”

Mustafa chorował trzy dni i trzy noce, a nad ranem dnia czwartego umarł.

Po śmierci Mustafy Maruda została bez środków do życia. Nie miała nadziei na pomoc syna, bo Aladyn nie znał żadnego rzemiosła i nie potrafił zarabiać. Włóczył się wciąż po mieście z ulicznikami i wracał do domu albo późno w nocy, albo dopiero nad ranem. Musiała więc Maruda sprzedawać po kolei rozmaite sprzęty domowe i za osiągnięte

Książka

Lenistwo, Syn, Ojciec,  
Matka

Choroba

ze sprzedaży pieniądze kupowała chleb i mleko, aby wykarmić siebie i swego syna — nicponia.

Lecz wkrótce i sprzętów w domu zabrakło. Nie było co sprzedać ani za co chleba kupić. Nędza i śmierć głodowa czekały Marudę i Aladyna.

Doprawdy nie wiadomo, co by się z nimi stało, gdyby nie wypadek szczególny i niespodziany, który zupełnie odmienił ich życie.

Pewnego poranku przybył wprost do Chin z dalekiej Afryki słynny i potężny czarodziej Roeoender. Był on tak straszny, że nawet imię jego z trudnością można było wymówić. Kto wymawiał to imię: „Roeoender”, ten albo się jąkał, albo ze strachu tracił pamięć i nie mógł przypomnieć sobie tego imienia.

Roeoender znał dobrze czarną i białą magię, posiadał też sztukę zaklęć i wróżb oraz sztukę poszukiwania skarbów podziemnych. Miał on tablicę zaklętą z czarnego marmuru. Tablicę tę posypywał piaskiem — i natychmiast ziarenka piasku układały się na powierzchni tablicy w rozmaite znaki, figury, postaci i kształty. Z tych kształtów, postaci, figur i znaków Roeoender zgadywał wszystko, cokolwiek chciał zgadnąć.

Pewnego razu, siedząc na samym brzegu Afryki, Roeoender posypał piaskiem swoją tablicę, aby się dowiedzieć, gdzie się znajduje lampa cudowna, o której istnieniu opowiedział mu jeden złoty wąż afrykański. Piasek na tablicy zaczął się poruszać, skakać, tańczyć i wirować aż wreszcie ułożył się w kształt chińskiego miasta. Na tablicy zjawiły się małe domki z piasku, a pod domkami — napis też z liter piaskowych. Napis był taki:

LAMPY CUDOWNE ZNAJDUJE SIĘ W MIEŚCIE CHIŃSKIM, W PODZIEMIACH ZA OGRODAMI. WYDOBYĆ JĄ Z PODZIEMI MOŻE TYLKO PEWIEN CHŁOPAK, KTÓRY SIĘ NAZYWA ALADYN. NIKT INNY PRÓCZ ALADYNA NIE MA PRAWA ZEJŚĆ W PODZIEMIA, ABY STAMTĄD WYDOSTAĆ LAMPĘ CUDOWNĄ. KTOKOLWIEK PRÓCZ ALADYNA DOTKNIJE SWĄ DŁONIĄ TEJ LAMPY, TEN UMRZE NATYCHMIAST.

Roeoender przeczytał uważnie napis, zdmuchnął piasek z tablicy zaklętej, schował ją w zanadrze i postanowił zaraz udać się do miasta chińskiego. W tym celu rozpędził się wzdłuż brzegów Afryki i uczynił tak wielki i czarodziejski skok w powietrze, że przeskoczył od razu z Afryki do Chin. W Chinach kupił bystrego rumaka i zaczął konno podróżować z miasta do miasta tak długo, aż wreszcie znalazł miasto podobne do tego, które zjawiło się na tablicy zaklętej.

Było to rzeczywiście miasto rodzinne Aladyna.

Aladyn, jak zazwyczaj, wałęsał się ze swymi towarzyszami po ulicach miasta.

Jeden z towarzyszy rzucił w Aladyna piłką i zawołał:

— Aladynie, Aladynie! Od czasu śmierci twego ojca Mustafy posmutniałeś bardzo. Błąkasz się z nami po mieście, ale nie chcesz bawić się z nami w piłkę. Do domu też nie chcesz wracać, bo czeka cię tam głód i nędza. Czyś widział się dziś ze swoją matką Marudą?

Roeoender przechodził właśnie przez ulicę i posłyszał te słowa.

Zanim Aladyn zdążył odpowiedzieć swemu towarzyszowi, Roeoender zbliżył się do niego i rzekł:

— Mój drogi chłopcze, opuść na chwilę swych towarzyszy i chodź ze mną, bo mam ci coś ważnego do powiedzenia.

Aladyn spojrział na Roeoendra i odrzekł:

— Nie znasz mnie wcale, ani ja nie znam ciebie, więc jakim sposobem masz mi coś ważnego do powiedzenia?

Roeoender uśmiechnął się dobrotliwie, pogłaskał Aladyna po głowie i rzekł głosem łagodnym:

— Mylisz się, mój roztropny chłopcze. Wszak nazywałeś się Aladyn?

— Tak — odparł Aladyn — rzeczywiście jest to moje imię.

— A więc widzisz, że znam cię dobrze — ciągnął dalej Roeoender. — Powiem ci nawet więcej: matka twa ma na imię Maruda, a ojciec twój, który już umarł, nazywał się Mustafa. Byłeś dawniej weselszy, a teraz po śmierci ojca posmutniałeś bardzo.

Czary, Omen

Podstęp, Rodzina, Fałsz

— Wszystko to prawda — rzekł Aladyn. — Widzę teraz, że znasz mnie dobrze, więc chętnie pójdę z tobą. Ciekawy nawet jestem, co masz mi do powiedzenia?

— Zaspokoję twoją ciekawość, gdy będziemy sam na sam — rzekł Roeoender i skierował kroki w boczną ulicę, gdzie było pusto i samotnie.

Aladyn poszedł za nim.

Przystanąli w bocznej ulicy, i Roeoender rzekł do Aladyna:

— Zdziwi cię zapewne to, co ci powiem w tej chwili. Jestem bratem twego ojca Mustafy, a więc twoim stryjem. Dwadzieścia lat temu wywędrowałem z Chin do Afryki i odtąd nie widywałem mego brata Mustafy. Nie wiedziałem nawet, co się z nim dzieje. Zawsze jednak tęskniłem do niego, bom<sup>26</sup> kochał go z całego serca. Pewnego razu przyśnił mi się mój brat Mustafa i powiedział mi we śnie: Jestem chory i wkrótce umrę. Wróć do Chin i zaopiekuj się moją żoną Marudą i moim synem Aladynem. — Sen ten wzruszył mnie bardzo. Natychmiast wyruszyłem z Afryki do Chin, wprost do naszego rodzinnego miasta. Tu, blakając się po ulicach, spostrzegłem ciebie i poznałem od razu, kto jesteś, boś<sup>27</sup> podobny z twarzy, jak dwie krople wody, do mego brata nieboszczyka. Wykapany Mustafa! Te same oczy, ten sam nos, ten sam podbródek! Po tyloletnim pobycie w Afryce, z dala od swoich, ucieszył mnie niezmiernie widok twej twarzy, która mi przypominała twarz mego brata nieboszczyka! Podeszedłem więc do ciebie, aby ci powiedzieć, że jestem twym stryjem. Wiem, że brat mój Mustafa umarł, gdyż osobiście powiadomił mnie o swojej śmierci — we śnie, jeszcze na brzegach Afryki. Tyś mi jeden pozostał na świecie. Wprawdzie pozostała mi nadto twoja matka Maruda, wdowa po moim ukochanym bracie. Wszakże w twarzy jej nie znajdę tego podobieństwa, które znalazłem w twojej. Mimo to kocham twą matkę, ponieważ była żoną mego brata. Idź do niej i powiedz, że odwiedzę ją jutro; a tymczasem daję ci kilka dukatów, bo wiem, że jesteście w potrzebie. A więc — do jutra, mój miły Aladynie!

Roeoender na pożegnanie ucałował Aladyna w czoło, pomiędzy oczy, Aladyn zaś pokłonił mu się i pobiegł do domu, ściskając w garści dukaty, otrzymane od czarodzieja.

\*

Maruda siedziała w chałupie smutna, myśląc nad tym, jak tu i skąd dostać kawałek chleba. Sprzedała już wszystkie niemal sprzęty, i wewnątrz chałupy świeciło pustkami.

Nagle ujrzała przez okno Aladyna, który biegł wesolo, uśmiechając się i podskakując.

Po chwili Aladyn wbiegł do chałupy, stanął przed matką i, oddając jej złote dukaty, zawołał:

— Nie martw się, matko, bo mamy teraz dość pieniędzy. Starczą nam na dni kilka albo i więcej. Kupimy za nie dużo chleba, mleka, mięsa i owoców i nasycimy głód, który nam dokucza.

— Skąd masz te dukaty? — spytała Maruda.

— Dał mi je mój własny stryjasek — odpowiedział Aladyn.

— Jaki stryjasek? — spytała znowu Maruda.

— Rodzony! — zawołał Aladyn. — Rodzony stryjasek z Afryki! Bardzo miły i uczynny stryjasek. Dziś właśnie przybył z Afryki do Chin i spotkał mnie na ulicy. Poznał mnie od razu, bo jestem jak dwie krople wody podobny do mego ojca. Ucieszył się serdecznie, ucałował mnie w czoło, pomiędzy oczy, i dał mi te dukaty, które ci przyniosłem. Obiecał, że jutro odwiedzi ciebie. Z niecierpliwością będę wyczekiwał dnia jutrzejszego, ażeby znów zobaczyć mego stryjaska.

— Opowiadanie twoje dziwi mnie bardzo! — rzekła Maruda. — Ojciec twój nie miał żadnego brata. Prócz tego nie jesteś wcale podobny z twarzy do twego ojca: on miał twarz człowieka poważnego i pracowitego, ty zaś masz twarz lenia i lekkoducha. Ponieważ jednak człowiek, którego przeżywasz stryjaskiem, ma zamiar odwiedzić mnie jutro, więc sama na własne oczy przekonam się, co to za jeden.

Maruda wyszła na miasto, aby kupić chleba, mięsa i owoców za dukaty, które przyniósł Aladyn. Jedli oboje z apetytem, gdyż byli głodni. Potem, gdy noc nadeszła, położyli

<sup>26</sup>bom kochał — dziś: bo kochałem. [przypis edytorski]

<sup>27</sup>boś podobny — dziś: bo jesteś podobny. [przypis edytorski]

się spać, lecz zasnąć nie mogli — tak ich niecierpliwiło wyczekiwanie dnia jutrzejszego i odwiedzin owego człowieka, którego Aladyn nazywał stryjaszkiem, a którego Maruda nie chciała uznać za brata Mustafy.

\*

Wreszcie nastął dzień wyczekiwany.

Maruda sporządziła sute jedzenie, aby gościa uraczyć godnie. Aladyn od rana stał w drzwiach i spoglądał na drogę, by zawczasu wybiec na spotkanie stryjaszka.

Czekali oboje, czekali, aż się w końcu doczekali.

Roeoender ukazał się na zakręcie ulicy. Spostrzegł go natychmiast Aladyn, pobiegł na spotkanie i zawołał:

— Stryjaszku, stryjaszku! Chodź prędzej, bo czekamy na ciebie od rana i już nie mamy sił czekać dłużej. Matka moja aż pobladła z ciekawości, ja zaś aż poczerwieniałem z niecierpliwości.

Roeoender uśmiechnął się dobrotliwie, ucałował Aladyna w czoło i wszedł z nim razem do wnętrza chałupy.

Maruda pokłoniła się Roeoendrowi i nic nie rzekła.

Roeoender pokłonił się Marudzie i rzekł te słowa.

— Droga Marudo, żono mego brata, a moja bratowo! Zapewne Aladyn zdążył ci już powiedzieć, kto jestem, więc tym śmieiej wchodzę do twego domu, jako brat twego męża, a stryj twego syna. Wiadomość o śmierci Mustafy rozpaczą nappełniła moje serce. Bez odpoczynku i bez wytchnienia spieszyłem z Afryki do Chin w tej myśli, że zastanę go jeszcze przy życiu i zdążę się z nim pożegnać! Lecz zawiodły mnie nadzieje moje! Brat mój leży w grobie, i nigdy go już nie zobaczę! Jedynym moim życzeniem było odwiedzić to miejsce, tę ulicę, ten dom i ten pokój w domu, gdzie umarł mój ukochany Mustafa!

— Mamy jeden tylko pokój w chałupie — odrzekła Maruda — toteż mąż mój w tym właśnie pokoju jadł, pracował, spał, rozmyślał i wreszcie umarł. Nie mógł umrzeć w innym pokoju, bo innego nie mamy.

— Więc to w tym właśnie pokoju umarł mój biedny brat Mustafa! — zawołał Roeoender, załamując dłonie. — Pozwól mi, droga Marudo, obejrzeć dokładnie ten pokój, abym go mógł na zawsze przechować w pamięci.

— Owszem! — rzekła Maruda — obejrzyj ten pokój i przechowaj go w pamięci.

Roeoender z przesadną uwagą jęł<sup>28</sup> się przyglądać podłodze, ścianom i sufitowi, a potem rozpląkał się głośnym, przesadnym płaczem.

— O mój bracie, mój biedny bracie! — zawodził chytry Roeoender. — Więc nic lepszego nie miałeś do roboty na tym świecie, jak właśnie umrzeć w tym samym pokoju, gdzie jadł, spał, pracował i rozmyślał! Czemużeś nie dożył przynajmniej tej chwili, gdy ja osobiście przybyłem do Chin, aby cię pożegnać! Spokojniej byś umierał, otrzymawszy ode mnie ostatni pocałunek i ostatnie uściśnienie dłoni. Jaka szkoda, żeś mnie nie widział przed śmiercią i żeś nie zdążył nasycić swych konających oczu drogim ci widokiem mych rysów! Najniezwyklejszym chyba ze wszystkich ludzi na ziemi jest ten, co umiera w Chinach, posiadając brata w Afryce!

Tak zawodził przebiegły Roeoender.

Maruda uwierzyła w szczerść łez Roeoendra i, wzruszona jego zawodzeniami, sama płakać zaczęła.

— O mój szwagrze z Afryki! — jęczała, dławiąc się od płaczu. — Nie wierzyłam dotąd, że jesteś bratem mego męża. Wszakże teraz widzę twoje łzy i ufam ci z całej duszy. Tak płakać potrafi tylko brat rodzony nad grobem rodzonego brata. Wprawdzie mąż mój za życia mówił mi kilka razy, że nie ma brata, ale zapewne rozumiał przez to, że znajdujesz się w Afryce i jesteś tak daleki, jakby cię wcale nie było. Lecz teraz nareszcie wróciłeś do Chin, do swej ojczyzny. Nie wątpię, że jesteś bratem mego męża, stryjem Aladyna i moim szwagrem. Proszę cię, obejrzyj raz jeszcze ten pokój, w którym umarł Mustafa, abyś mógł przechować go w swojej pamięci.

Roeoender raz jeszcze obejrzał pokój i rzekł:

<sup>28</sup>jęłć (daw.) — tu: zacząć. [przypis edytorski]

— Obejrzałem już ten pokój tak dokładnie, że na zawsze mi pozostaną w pamięci jego ściany i sufit, i podłoga. Widzę tu jednak stół, zastawiony sutym jadem. Zasiądźmy tedy do stołu, bo przypuszczam, że, czekając na mnie, nie jedliście dotąd obiadu. Zanim jednak do stołu zasiądziemy, chciałbym się dowiedzieć, na jakim miejscu zwykł był siadywać za życia mój brat Mustafa?

— Mustafa — rzekła Maruda — siadywał zazwyczaj na ławie popod ścianą, ja zaś i Aladyn — po bokach stołu, na zydlach.

— W takim razie — odparł Roeoender — niech ława zostanie pusta, niech nikt z nas na niej nie siada. Wy usiądźcie, jak dawniej, po bokach stołu, ja zaś usiądę naprzeciwko ławy i będę, jedząc, na ławę co chwila spoglądał, aby mieć wrażenie, że na ławie, jak dawniej, siedzi sam Mustafa i patrzy na nas dobrymi oczyma.

Słyszając te słowa, Maruda znów się rozplakała.

Nawet Aladyn zaczął rękawem lzy z oczu ocierać.

Wszyscy, płacząc, zasiedli do stołu.

Wówczas Roeoender rzekł do Marudy:

— Powiedz mi, moja Marudo, jakie właściwie rzemiosło uprawia Aladyn? Jest on już w tym wieku, kiedy każdy młodzieniec samodzielną pracą na chleb zarabia.

Aladyn spuścił zawstydzone oczy, a Maruda odpowiedziała:

— O mój szwagrze! Aladyn jest leniem i nicponiem. Żadnego rzemiosła dotąd się nie nauczył. Jedynym jego zajęciem jest nieustanne wałęsanie się po mieście z ulicznikami. Może ty jednak, jako stryj rodzony potrafisz go nakłonić i zachęcić do jakiegokolwiek pracy.

Roeoender udał, że go bardzo martwi lenistwo Aladyna, i rzekł:

— Mój Aladynie! Jeżeli chcesz żyć ze mną w przyjaźni, musisz sobie obrać jakiegokolwiek zawód. Należę do ludzi dobrych, ale jednocześnie surowych. Nie znoszę uporu i nieposłuszeństwa. Jeśli szlachetna sztuka krawiecka nie odpowiada twoim upodobaniom, zostań kupcem. Sam sklep w mieście założę, napelnę go bogatym i wyborowym towarem, dam dukatów tyle, ile stan kupiecki wymaga — bylebyś tylko zajął się pracą poważną i przestał włóczyć się po mieście z ulicznikami. Kupię ci szaty wspaniałe, abyś wyglądał jak bogaty kupiec, i poznam cię z najsłynniejszymi kupcami naszej ojczyzny. Odpowiedz, czy ci się podoba mój pomysł i czy chcesz zostać kupcem?

— Stryjaszku! — zawołał uradowany Aladyn. — Zawód kupiecki od dawna był moim marzeniem. Włóczęc się z towarzyszami po mieście, przyglądałem się wystawom sklepowym i roilem<sup>29</sup>, że sam kiedyś będę właścicielem sklepu, gdzie pełno dywanów różnowzorych, jedwabi pozłocistych, adamaszków<sup>30</sup> malowanych w kwiaty i kaszmirów<sup>31</sup>, na których kwitną haftowane drzewa, stoją haftowane rumaki, a nad jedwabnym brzegiem haftowanych jezior siedzą haftowani ludzie i zarzucają w głąb jedwabnych fal długie haftowane wędki. Nie sądziłem wszakże, iż marzenie moje spełni się kiedykolwiek, bo ojciec mój był ubogim krawcem i nie mógł założyć dla mnie sklepu ani przystroić mnie w bogate szaty kupieckie. Obiecuję ci, mój stryjaszku, być pilnym i pracowitym kupcem. Pomysł twój podoba mi się tak bardzo, że będę ci posłuszny i przestanę odtąd włóczyć się po mieście z ulicznikami.

Maruda była zachwycona odpowiedzią Aladyna.

— Drogi szwagrze! — rzekła do Roeoendra. — Widzę, że pod twoim dobroczynnym wpływem Aladyn stanie się nareszcie człowiekiem pracowitym. Dobroć twoja i szczodrość raz jeszcze mnie przekonały o tym, że jesteś naprawdę stryjem Aladyna, bratem mego męża i moim szwagrem. Toteż oddaję Aladyna pod wyłączną twoją opiekę i kierownictwo.

— Aladynie! — zawołał Roeoender. — Rodzona twoja matka oddaje ciebie pod moją opiekę i kierownictwo. Odtąd będziesz mi posłuszny i będziesz spełniał wszystko, cokolwiek ci każe. Natychmiast pójdziesz razem ze mną do miasta. Sprawię ci szaty wspaniałe i mam nadzieję, że potrafisz w tych szatach zachowywać się poważnie, jak przystało prawdziwemu kupcowi.

Roeoender wstał od stołu, poklonił się Marudzie i wyszedł z chałupy razem z Aladynem.

<sup>29</sup>roil — tu: marzyć, wyobrażać sobie. [przypis edytorski]

<sup>30</sup>adamaszek — ozdoba tkanina, w której wzór tworzą błyszczące i matowe sploty nitek. [przypis edytorski]

<sup>31</sup>kaszmir — lekka, gładka tkanina z puszystej wełny kóz kaszmirskich. [przypis edytorski]

Praca

Handel

Marzenie

Sztuka

Strój

Udali się wprost na główną ulicę miasta, gdzie były sklepy najwspanialsze i najbogatsze. Roeoender kupił dla Aladyna szaty cudowne, przetykane suto złotem i srebrem. Aladyn przywdział te szaty i, ucieszony, przeglądał się w lustrze. Roeoender zaś powiedział:

— Myślę, że już za długo przeglądasz się w lustrze. Wyjdźmy tedy ze sklepu i wyruszymy na przechadzkę po mieście, ażebyś mógł się pokazać wszystkim w swoim nowym ubraniu. Jutro albo pojutrze wynajmę dla ciebie duży i piękny sklep i zapelnę go dywanami, adamaszkami i kaszmirami. Tymczasem przechadzka po mieście zwróci na ciebie uwagę przechodniów, i staniesz się znany, jako człowiek bogaty i pięknie wystrojony.

Wyszli więc razem na miasto.

Aladyn starał się chodzić poważnie i dumnie. Co chwila przechylał się nieznacznie na strony i umyślnie zawadzał nogą o długą jedwabną szatę, ażeby zmusić ją do szelestu.

Szata szeleściła, a przechodnie z podziwem patrzyli na Aladyna i szeptali:

— Co za szata! Co za jedwab! Co za szelest!

Aladyn udawał, że nie słyszy tych szeptów, lecz coraz dumniej i staranniej szeleścił swoją szatą.

Budząc ogólny podziw i zachwyt, kroczył uroczyście po rozmaitych ulicach wraz z Roeoendrem, aż wreszcie wyszli za miasto. Roeoender bowiem prowadził Aladyna za miasto do tego miejsca, gdzie, według jego obliczeń, znajdowały się podziemia, w których była ukryta lampa cudowna. Chciał przebiegle zmusić Aladyna do wydobywania z podziemi lampy cudownej, potem odebrać mu tę lampę, a samego Aladyna zabić, aby w ten sposób uwolnić się od świadka swych czynów czarnoksiężskich i zachować w tajemnicy posiadanie lampy cudownej.

Za miastem Aladyn ujrzał mnóstwo pięknych i bujnych ogrodów.

— Stryjaszku! — zawołał. — Chciałbym zwiedzić te ogrody, bo lubię kwiaty i drzewa.

— Drogi Aladynie! — odrzekł Roeoender. — Domyśliłem się, że lubisz kwiaty i drzewa, i dlatego też zaprowadziłem cię do miejsca, gdzie są najwspanialsze ogrody. Zwiedzimy zaraz te ogrody, a gdy wrócisz do domu, opowiesz biednej Marudzie, ileś ogrodów zwiedził i jak każdy z nich wyglądał.

Weszli do pierwszego ogrodu, gdzie ptaki o purpurowych dziobach zrywały z kłombów rozmaite kwiaty, układały je w bukiety i chowały te bukiety do swoich obszernych złocistych gniazd.

W drugim ogrodzie białe i żółte motyle bawiły się w kotka i myszkę. Jeden z nich uciekał, a inne goniły go, fruując w powietrzu.

W trzecim ogrodzie rogate i nieruchawe ślimaki jeździły po alejach w małych powozikach z muszli tęczowych, zaprzężonych w sześć złotych bąków. Bąki, hucząc i bzykając, ciągnęły tęczowe powoziki, a leniwe ślimaki poganiały je swymi różkami.

Było dużo jeszcze innych wspaniałych ogrodów.

Roeoender i Aladyn szli z ogrodu do ogrodu, aż wyszli na pustą równinę.

Roeoender zatrzymał się i rzekł:

— Zatrzymamy się tutaj na chwilę i wypoczniemy. Pamiętaj jednak, Aladynie, żeś<sup>32</sup> powinien mi ufać na ślepo i spełniać wszystkie moje życzenia. Jestem już w wieku podeszłym, a ludzie w tym wieku mają zazwyczaj swoje dziwactwa i wybryki. Bądź więc wyrozumiały dla moich dziwactw i wybryków. Oto na przykład i teraz chce mi się uczynić rzecz tak dziwną, że widok jej może cię przerazić. Nie przerażaj się jednak tym, co zobaczysz, lecz bądź mi posłuszny, bo jestem twoim stryjem i pragnę twego szczęścia i dobra.

Roeoender surowo spojrział na Aladyna, a potem raptownie przyłożył ucho do ziemi, ażeby zbadać, w którym miejscu ukrywa się lampa cudowna. Potem wyźłobił palcem w miejscu zbadanym rowek, aby to miejsce naznaczyć. Wreszcie wstał, nazbierał chrustu i rozłożył ognisko dookoła wyźłobionego rowku.

Aladyn patrzył na to wszystko ze zdziwieniem, ale słówka nie śmiał uronić, ażeby stryja nie rozgniewać.

Roeoender wyjął hubkę i krzesiwo, wykrzesał ogień i zapalił ognisko. Gdy chrust zapłonął, Roeoender wyjął z kieszeni jakieś ziło i rzucił je do ognia. Natychmiast dym

<sup>32</sup>żeś powinien — dziś raczej: że powinienes. [przypis edytorski]

Ogród

Zwierzęta

Ptak

Motyl

Czary, Ogień, Piorun



wonny buchnął z ogniska i zakłębił się w powietrzu. Wówczas Roeoender wyciągnął obydwie ręce, przymknął oczy i wyszeptał zakłęcie. Wnet kłęby wonnego dymu pod przymusem zakłęcia, zamiast płynąć w górę, opadły na ziemię i uderzyły w miejsce, które Roeoender rowkiem nazaczył. W tej chwili rozległ się piorun, ziemia w tym miejscu pękła i rozstała się, ukazując otwór szeroki, zasłonięty żelaznymi drzwiami.

Roeoender opuścił ręce i otworzył oczy.

— Drogi Aladynie! — rzekł głosem cichym, lecz stanowczym. — Ponieważ cię kocham, więc chcę ci powierzyć moją tajemnicę. Tu, w podziemiach, pod tymi drzwiami, kryją się skarby zakłęte. Pragnę, abyś się wzbogaciła, i dlatego też przyprowadziłem cię do tego tajemniczego miejsca. Słuchaj teraz uważnie, co masz czynić, aby się do podziemi przedostać. Przede wszystkim otworzysz drzwi żelazne, zjawione w tym miejscu, gdzie ziemia się przed chwilą rozstała. Pod tymi drzwiami zobaczysz schody kamienne, w dół wiodące. Zejdiesz w dół po schodach i trafisz w głębi na drugie drzwi marmurowe. Otworzysz drzwi marmurowe i wejdiesz przez nie do ogrodu podziemnego. Za tym ogrodem znajdziesz drugi, za drugim — trzeci. Miniesz wszystkie trzy ogrody i ujrzysz wówczas za trzecim ogrodem plac niewielki, otoczony murem. W murze znajdziesz wgłębienie. W tym wgłębieniu zobaczysz lampę zapaloną. Zgasisz lampę, wylejesz z niej oliwę, wyjmiesz knot i schowasz zgaszoną lampę na piersiach pod ubraniem. Stara to i zakurzona lampa, nie ma żadnej wartości. Jestem jednak dziwakiem, i dziwactwo moje polega na chęci posiadania tej lampy. Toteż, wracając na powierzchnię ziemi, oddasz mi lampę, w chwili, gdy dostatecznie zbliżysz się do otworu. Nachyłę się nad otworem i wyciągnę ku tobie rękę, abyś mógł lampę do ręki mi wsunąć. Reszta skarbów, które znajdziesz w podziemiach, należy do ciebie. W ogrodach podziemnych kwitną owoce, które wolno ci zrywać. Pamiętaj tylko, abyś ani ręką, ani nogą, ani rąbkiem szaty nie dotknął murów ogrodowych. Dotknięcie takie o śmierć cię natychmiast przyprowadzi. Owiń więc mocno i ściśle swoją szatę jedwabną dookoła siebie, abyś jej połą nie tknął niebezpiecznych murów. Bądź ostrożny i pamiętaj moje rady i przestrogi. Na wszelki przypadek daję ci mój pierścień złoty. Włóż go na palec. Ten pierścień uratuje cię w razie jakiegokolwiek nieszczęścia.

Roeoender zdjął z palca złoty pierścień i podał go Aladynowi. Aladyn wdział pierścień i rzekł:

— Bądź pewny, stryjasku, że zachowam ostrożność i potrafię wykonać wszystko, czego żądasz. Ciekawy jestem niezmiernie tych zakłętych podziemi. Nigdy dotąd nie byłem w podziemiach i nie widziałem ogrodów podziemnych.

— Przestań już gadać, bo nie ma czasu do stracenia! — zawołał surowo Roeoender.

Aladyn zdziwił się bardzo, że stryj do niego tak surowo przemawia i tak srogo spogląda.

Wszakże Roeoender niecierpliwił się, bo mu śpieszno było do posiadania lampy cudownej. Chciał ją odebrać Aladynowi w chwili, gdy Aladyn z powrotem wejdzie na schody, a potem drzwi żelazne nad nim zatrzasnąć i zostawić go na zawsze w podziemiach, aby tam z głodu i strachu umarł w ciemnościach. Musiał jednak stłumić swą surowość i udawać znów łagodnego i dobrotliwego stryja, bo bez pomocy Aladyna nie mógłby zdobyć lampy cudownej.

Roeoender pamiętał dobrze napis, który się zjawiał na tablicy zakłętej. Zgodnie z tym napisem nikt inny, prócz Aladyna, nie mógł zejść do podziemi. Nawet samego Roeoendra czekała śmierć, gdyby się odważył spuścić w podziemne ogrody w celu zdobycia owej lampy. Poglaskał więc Aladyna po głowie i rzekł łagodnie:

— Mój drogi chłopcze! Nie dziw się, że jestem zniecierpliwiony. Chciałbym, żebyś już obładował swe kieszenie skarbami zakłętymi i wrócił na powierzchnię ziemi — zdrowy i cały, gdyż będę się bardzo niepokoił przez czas twego pobytu w podziemiach. Im prędzej tam pójdziesz, tym prędzej wrócisz. Nie marudź więc i idź natychmiast.

Aladyn podeszedł do otworu, spojrzął na drzwi żelazne i zawołał:

— Stryjaszku! Te drzwi są tak duże i ciężkie, że nie zdołam ich podnieść! Sił mi nie starczy!

— Pochyl się tylko ku drzwiom — odpowiedział Roeoender — i powiedz: To ja, Aladyn! — a zobaczysz, że drzwi same się zaraz otworzą.

Aladyn pochylił się ku drzwiom i zawołał:

Pozory

— To ja, Aladyn!

Drzwi się natychmiast otworzyły, i Aladyn ujrzał schody kręte, które wiodły w dół. Zszedł w dół po schodach i trafił na drzwi marmurowe, szczelnie zamknięte. Dotknął drzwi dłonią i znów zawołał:

— To ja, Aladyn!

Drzwi marmurowe wnet się rozwarły.

Aladyn ujrzał za tymi drzwiami ogród podziemny i wbiegł do ogrodu.

Ogród, Klejnot

W ogrodzie tym rosły krępe, karłowate drzewa, pokryte mchem złotym. Na gałęziach zamiast owoców dojrzewały perły tak wielkie, jak orzechy. Perły te napełniały ogród podziemny białym, matowym światłem. W tym świetle ujrzał Aladyn mury ogrodu, porośnięte jadowitymi grzybami i pleśnią. Przypomniawszy sobie przestrożę stryja i owinął się starannie swoją szatą, gdyż po ogrodzie wiał wicher podziemny i rozwiewał rąbki jedwabnej szaty tak, że łatwo mogły o mur zawadzić.

Aladyn nie znał się na wartości pereł, ale podobał mu się ich kształt okrągły, więc nazrywał ich sporo i schował do kieszeni.

Podszedł potem do następnych drzwi hebanowych i zawołał:

— To ja, Aladyn!

Hebanowe drzwi otworzyły się na oścież, i Aladyn wszedł przez nie do drugiego ogrodu.

Klejnot

W drugim ogrodzie kwitły na drzewach szmaragdy<sup>33</sup>, turkusy<sup>34</sup>, topazy<sup>35</sup>, rubiny<sup>36</sup> i chryzolity<sup>37</sup> i napełniały ogród światłem błękitnym, żółtym, czerwonym i fioletowym. Wszystkie te światła mieszały się nawzajem, aż mżyły w oczach. Aladyn nie wiedział, że są to kamienie drogocenne, ale podobały mu się barwy tych dziwnych owoców, więc nazrywał ich pod dostatkiem i napełnił nimi kieszenie.

Zbliżył się wreszcie do następnych drzwi miedzianych. Ponieważ i te drzwi były zamknięte, więc Aladyn znów zawołał:

— To ja, Aladyn!

Drzwi miedziane otworzyły się, i Aladyn wszedł do ogrodu trzeciego.

Klejnot

W trzecim ogrodzie kwitły na drzewach same brylanty tak wielkie, jak jabłka. Kwitły i migotały i połyskiwały tak mocno, że cały ogród podziemny zdawał się płonąć. Aladyn musiał dłonią oczy od tego blasku przesłonić. Nie znał się na wartości brylantów, ale podobały mu się ich połyski i migoty, więc nazrywał ich bardzo dużo i poszedł dalej, do drzwi następnych. Drzwi te były ze szczerzego złota.

Aladyn znów zawołał:

— To ja, Aladyn!

Drzwi złote otwarły się natychmiast, i Aladyn wszedł na mały plac, otoczony murem.

Klejnot

Brylanty trzeciego ogrodu świeciły tak rzeźliwie, że światło ich przez drzwi otwarte przenikało aż do placu. W tym świetle brylantowem Aladyn ujrzał w murze wgłębienie, a w tym wgłębieniu lampę. Zbliżył się ostrożnie do muru, aby go szatą nie dotknąć, i szybko wyjął lampę z owego wgłębienia. Lampa płonęła słabym błękitnym płomieniem. Aladyn ją zgasił, wylał oliwę, wyrzucił knot i ukrył lampę pod ubraniem na piersi. Przebiegł szybko z powrotem wszystkie trzy ogrody podziemne i wspiął się na kręte schody.

Roeoender stał nad otworem w oczekiwaniu Aladyna. Widząc, że Aladyn wraca, zawołał:

— Oddaj mi lampę, nim wyjdiesz z podziemia.

— Stryjaszku! — odpowiedział Aladyn, wstępując coraz wyżej po schodach. — Bądź cierpliwy i czekaj, aż wyjdę z podziemi. Ukryłem lampę na piersi, pod ubraniem. Nie mogę wszakże wyjąć jej natychmiast, bo schody są kręte i muszę uważnie po nich stąpać, ażeby nie upaść. Oddam ci lampę dopiero wówczas, gdy się wydostanę na powierzchnię ziemi!

<sup>33</sup>szmaragd — kamień szlachetny o zielonej barwie. [przypis edytorski]

<sup>34</sup>turkus — minerał rzadki o barwie niebieskiej lub zielonej. [przypis edytorski]

<sup>35</sup>topaz — półprzezroczysty minerał o błękitnej a. żółtawej barwie. [przypis edytorski]

<sup>36</sup>rubin — kamień szlachetny o barwie czerwonej lub różowej. [przypis edytorski]

<sup>37</sup>chryzolit — minerał rzadki, przezroczysty, zielonkawy lub żółty. [przypis edytorski]

— Głupi, nieposłuszny leniuchu! — wrzasnął rozgniewany Roeoender — Musisz mi oddać lampę, zanim wyjdiesz z podziemia! Jesteś już tak blisko otworu, że z łatwością możesz to uczynić!

— Stryju! — zawołał Aladyn. — Za to, że mnie przezywasz głupim i nieposłusznym leniuchem, otrzymasz lampę dopiero wtedy, gdy zupełnie wyjdę z podziemia!

Głowa Aladyna była już blisko otworu. Rozzłoszczony Roeoender zacisnął pięście, zgrzytnął zębami i, zanurzwszy nogę w otworze, kopnął Aladyna w głowę.

— Oddaj mi natychmiast lampę! — wrzasnął takim strasznym i szatańskim głosem, że z ust buchnął mu płomień i dym czarny. — Oddaj mi natychmiast lampę, albo zabiję cię na miejscu!

Aladyn chwycił się ręką za głowę i zawołał:

— Za to, żeś mnie kopnął nogą w głowę, nie oddam ci lampy!

Roeoender tak się rozzłościł, że stracił przytomność. Wolał nawet wyrzec się lampy cudownej, byleby tylko zemścić się na Aladynie. Pochylił się nad otworem i szepnął jakieś zaklęcie. Zaklęcie było gniewne i potężne, bo nagły piorun uderzył w ziemię, i natychmiast drzwi żelazne zamknęły się szczelnie. Ziemia zrosła się nad nimi, tak że nie widać było nawet śladu otworu. Nikt by się teraz nie domyślił, że w tym równym i pustym miejscu były przed chwilą drzwi żelazne, pode drzwiami zaś — schody, prowadzące do trzech podziemnych ogrodów, za którymi znajdował się plac, otoczony murem. Cicho było i samotnie na równinie. Słońce tylko świeciło, a w powietrzu wirowały roje much złotych, zielonych i niebieskich.

Roeoender przesłonił usta dłonią i tłumił ogień, który mu wciąż jeszcze buchał z ust z powodu nadmiernej złości. Potem spojrzął na ziemię zrosniętą i zrównaną i zacierał ręce z zadowolenia, że dokonał na Aladynie tak straszliwej zemsty. Był pewien, że Aladyn zginie w podziemiach z głodu i ze strachu. Postanowił nie myśleć już o zdobyciu lampy cudownej, jeno wrócić jak najprędzej do Afryki. W tym celu rozpędził się wzdłuż po równinie i zrobił taki skok w powietrze, że od razu przeskoczył z Chin na sam środek Afryki, gdzie kwitła olbrzymia palma.

Zmęczony czarodziejskim skokiem, Roeoender usiadł pod palmą, żeby wypocząć. Pod palmą znów się zaczął uśmiechać i zacierał ręce z radości, że Aladyn wkrótce umrze i nikt nawet nie będzie znał miejsca, w którym został żywcem pogrzebany.

Roeoender zapomniał w złości, że dał Aladynowi pierścień zaklęty, który go może uratować.

Tymczasem Aladyn został sam w podziemiach, na krętych schodach — bez niczyjej pomocy i bez nadziei ratunku. Gdy piorun uderzył w ziemię i drzwi żelazne zamknęły się szczelnie, na schodach zapanowała ciemność zupełna.

— Stryjaszku! — wołał złękniiony Aladyn. — Stryjaszku mój rodzony, szwagrze mojej matki, bracie mego ojca! Nie gniewaj się na mnie za mój upór i nieposłuszeństwo! Otwórz drzwi żelazne, bo zginę tu w ciemnościach!

Tak wołał biedny Aladyn — lecz nadaremnie! Nikt wołań jego nie słyszał i nikt nie przychodził mu z pomocą.

Stał na schodach bezsilny i bezradny i dygotał ze strachu. Bał się zejść w dół do ogrodów podziemnych, bo łatwo mógł pociemku zawadzić szatą o mury, a wiedział, że dotknięcie murów jest śmiertelne.

Strojny w bogate, wspaniałe szaty jedwabne, tkwił nieruchomo na krętych schodach, płacząc rzewnymi łzami wśród nieprzebitego mroku. Płacząc, przypomniał sobie, jak przechodnie na ulicach szeptały z podziwem:

— Co za szata! Co za jedwab! Co za szelest!

Wolałby teraz zamiast jedwabów nosić dawne lachmany, byleby tylko wydostać się z tych ciemności na powierzchnię ziemi.

Wyciągnął ostrożnie rękę do góry i dotknął nad sobą drzwi żelaznych. Próbował je otworzyć, ale nie mógł. Zawołał więc po dawnemu:

— To ja, Aladyn.

I znowu powtórzył głosem drżącym i rozplakany:

— To ja, Aladyn.

Drzwi się jednak nie rozwarły, bo zaklęcie Roeoendra zamknęło je zbyt mocno, a ziemia, nad nimi zrosnięta, przywalila je swoim ciężarem.

Gniew

Zrozpaczony Aladyn złożył dłonie do modlitwy i szepnął:

— Rodzony stryj mnie opuścił, więc ty, Boże, przyjdź mi z pomocą.

Stało się to, co się stało: składając dłonie do modlitwy, Aladyn potarł bezwiednie pierścień zaklęty, który miał na palcu. I zdarzyło się to, co się zdarzyło: od tego bezwiednego potarcia zjawił się przed oczami Aladyna duch złoty, w pierścieniu dotąd ukryty. Zjawił się nagle w ciemnościach podziemnych, na schodach krętych, i rzekł głosem donośnym:

— Oto jestem na twoje rozkazy i na rozkazy tych wszystkich, którzy posiadają pierścień zaklęty.

— Złóć się, złóć się, duchu złoty! — zawołał Aladyn. — Złóć się i rozjaśnij tę ciemność, która mnie otacza. Stryj rodzony zamknął nade mną drzwi żelazne i zostawił mnie samego w podziemiach bez wyjścia!

— Czego żadasz ode mnie? — spytał duch złoty. — Jesteś posiadaczem pierścienia zaklętego, więc rozkazuj, a każdy twój rozkaz spełnię natychmiast.

— Duchu złoty! — zawołał Aladyn. — Rozkazuję ci, abyś mnie wyniósł z tych ciemności na powierzchnię ziemi!

Ledwo Aladyn tych słów domówił — a duch złoty, zazłociwszy się jaskrawiej, uniósł go z mrocznych podziemi, postawił na równinie — i zniknął.

Aladyn nawet nie zdążył zauważyć, kiedy i jakim sposobem znalazł się na równinie, na powierzchni ziemi, oświetlonej słońcem. Zobaczył przed sobą resztki dogasającego ogniska, które Roeoender rozniecił dla swych czarnoksiężskich zamiarów. Począł szukać otworu za ukrytymi w głębi drzwiami żelaznymi. Wszakże nie znalazł ani otworu, ani drzwi żelaznych, ani nawet rowka, który Roeoender palcem wyźłobił, aby naznaczyć miejsce, gdzie się podziemia znajdują.

Ponieważ słońce świeciło tak samo, jak wówczas, kiedy Aladyn schodził do podziemi, więc wydało się Aladynowi, że przebył w podziemiach zaledwo chwil kilka. Mylił się jednak, bo przebył tam całe dwa dni i wyszedł dopiero na trzeci dzień w samo południe.

Głód go osłabił tak, że Aladyn chwiał się na nogach. Poszedł więc chwiejnym krokiem do domu.

Maruda siedziała w progu chałupy, wyczekując powrotu swego syna. Błada była i niespokojna. Dwa dni już nadaremnie czekała na Aladyna. Nadszedł dzień trzeci, a syn wciąż jeszcze nie wracał. Zbliżyło się właśnie południe. Nagle Maruda ujrzała na zakręcie ulicy powracającego Aladyna.

— Synu mój! — zawołała. — Co się działo z tobą? Idziesz krokiem chwiejnym i jesteś błądy, jak chusta!

Aladyn podszedł do matki i rzekł słabym głosem:

— Jeść daj mi! Po jedzeniu opowiem ci wszystko. Teraz sił nie mam.

Weszli razem do chałupy.

Aladyn bezsilnie osunął się na ławę i plecami oparł się o ścianę. Maruda podała mu jedzenie sute i smakowite. Aladyn jadł całą godzinę, aż mu się szczęki zmęczyły od ciągłego ruchu i żucia.

— Posiliłem się i mogę teraz mówić — rzekł wreszcie do matki. — Nie rozumiem tylko, dlaczego jestem taki głodny. Wyszedłem z domu najwyżej trzy godziny temu i w ciągu trzech godzin nabrałem tak nadmiernego apetytu!

— Co mówisz, Aladynie! — zawołała Maruda. — Zmysły ci się chyba pomieszały! Wyszedłeś z domu dwa dni temu, a wróciłeś dopiero na trzeci dzień w południe!

— W takim razie straciłem rachubę czasu! — odpowiedział Aladyn. — Nie dziwi mnie to jednak wcale. Trudno bowiem rachować czas w mrocznych podziemiach, gdy się ma nad głową drzwi żelazne, na głucho zamknięte, pod nogami schody, pod schodami trzy podziemne ogrody, a za trzema ogrodami plac pusty, otoczony murem, którego dotknięcie jest śmiertelne. Gdyby nie duch złoty, ukryty w pierścieniu zaklętym, zginąłbym na pewno i nigdy bym nie ujrzał powierzchni ziemi.

— Aladynie! — zawołała przerażona Maruda. — Pleciesz trzy po trzy! Wymawiasz słowa bez związku, bez sensu i bez treści! Mroczne podziemia — drzwi żelazne — trzy ogrody podziemne — mur, którego dotknięcie jest śmiertelne — duch złoty, ukryty w pierścieniu zaklętym!... Co to wszystko znaczy? Boję się, żeś zwariował! Miałam dawniej syna — leniucha, a dziś mam syna — wariata!

— Uspokój się, matko! — odpowiedział Aladyn. — Gdy wysłuchasz od początku do końca mego opowiadania, przekonasz się, że nie jestem wariatem.

I Aladyn opowiedział Marudzie wszystko, co mu się zdarzyło.

Zdziwiła się Maruda niezmiernie i rzekła:

— Widzę teraz, że ów nieznajomy, który ci szaty jedwabne kupił, nie jest ani twoim stryjem, ani moim szwagrem, ani bratem mego męża Mustafy. Jest to niegodziwy czarnoksiężnik, rodzony syn jakiejś wiedźmy, brat diabła, stryj potwornych karzełek, a szwagier samej śmierci, która, pobrzękując kosą, chodzi w nocy po cmentarzach. Chciał on cię zamordować, aby posilić się twoją krwią, bo czarnoksiężnicy lubią spijać krew młodych chłopców. Dzięki Bogu, żeś uszedł jego rąk! Masz naukę, abys odtąd nie dowierzał żadnym przechodniom, którzy się każą nazywać stryjami i kupują szaty jedwabne, aby pozyskać twoje zaufanie.

Ponieważ Maruda miała jeszcze kilka dukatów, które Roeoender dał Aladynowi, więc przez dni kilka żyła spokojnie w swej chałupie, kupując codziennie mięso, chleb i mleko. Wkrótce jednak wydała wszystkie dukaty, i znów nędza zajrzała do chałupy.

Długo przemyślał Aladyn nad tym, skąd tu dostać pieniędzy. W chałupie nic już nie było do sprzedania, prócz owej lampy, którą Aladyn przyniósł z podziemi. Ponieważ lampa była brudna i zakurzona, Maruda postawiła ją w kuchni na oknie i zapomniała o niej. Wprawdzie Aladyn, prócz lampy, miał jeszcze drogocenne owoce, zerwane z drzew, kwitnących w ogrodach podziemnych. Jednak ani Maruda, ani Aladyn nie znali się na wartości tych owoców i nie domyślali się nawet, że posiadają w chałupie bogactwa niezliczone. Zdawało się im, że są to zwyczajne kolorowe szkiełka, i bawiły ich rozmaite barwy i połyski tych szkiełek. Maruda ułożyła w kącie kuchni cały stos pereł, rubinów, topazów, turkusów, szmaragdów, szafirów, chryzolitów i brylantów, nakryła je wielką płachtą i nie zwracała na nie żadnej uwagi.

I teraz, gdy zabrakło środków istnienia, ani Maruda, ani Aladyn nie wpadli na pomysł skorzystania z tych skarbów, które leżały w kącie kuchni, pod płachtą. Szaty jedwabne Aladyna Maruda kilka dni temu wyrzuciła na śmietnik, mówiąc, że są darem złego czarnoksiężnika i mogą nieszczęście ściągnąć na nią i na Aladyna. Nie mieli więc teraz nic do sprzedania.

Długo też myślał Aladyn nad tym, co by tu sprzedać, aż wreszcie po długim namyśle przypomniał sobie lampę.

— Matko! — zawołał radośnie Aladyn. — Gdzieś podziąła lampę, którą znalazłem w podziemiach?

— Postawiłam ją w kuchni na oknie — odpowiedziała Maruda.

— Daj mi ją, bo jest to jedyny przedmiot, który mamy do sprzedania. Pójdę zaraz na targ, sprzedam lampę i za otrzymane pieniądze kupię chleba.

— Masz słuszość — odparła Maruda. — Sprzedamy lampę. Stary to grat i zbyteczny. Mam w chałupie inną, daleko ładniejszą, niż ta, którą przyniosłeś. Ponieważ jednak jest brudna i zakurzona, więc oczyszczę ją należycie, aby błyszcząca, jak nowa.

Maruda pobiegła do kuchni, przyniosła lampę i potarła ją mocno ścierką, ażeby oczyścić. Wówczas stało się to, co się stało, i zdarzyło się to, co się zdarzyło. Pod wpływem tarcia zjawił się nagle w chałupie duch błękitny, w lampie dotąd ukryty. Cała chałupa zbłękitniała, i pobłękitniało w oczach Aladynowi i Marudzie.

Duch zaś błękitny zawołał głosem potężnym i dźwięcznym:

— Oto jestem na rozkazy wasze i tych wszystkich, którzy posiadają lampę cudowną.

Nagle zjawienie się ducha i jego głos potężny tak przeraziły Marudę, że kolana pod nią się zachwiały.

— Panie Duchu, oszczędź mnie! — jęknęła słabym głosem i upadła na ziemię zemdlna.

Aladyn już po raz drugi w życiu oglądał ducha, więc nie stracił głowy i potrafił się zachować odpowiednio. Spojrzał śmiało na ducha i rzekł:

— Błękitnij mi się w oczach, błękitnij, duchu błękitny! Pusto było i szaro w mojej chałupie, dopóki tyś jej nie rozwidnił swoim światłem cudownym. Teraz jest w niej tak błękitno, jak w niebie. Toteż wierzę, iż w takiej chałupie cuda zdarzyć się mogą. Nędza grozi mnie i mojej matce. Głód nam dokucza, głód nam doskwiera, głód nam dopieka. Rozkazuję ci, duchu błękitny, abys nam przyniósł jadła i napoju!

Ledwo Aladyn słów tych domówił — a duch błękitny zniknął i wrócił natychmiast, niosąc stół olbrzymi, zastawiony srebrnymi talerzami i półmichami, pełnymi po brzegi rozmaitych potraw. Na środku stołu stał szereg butelek z winem, a obok — kielichy i puchary.

Błękitny duch postawił stół na środku chałupy — i zniknął.

Wszystko stało się w ciągu jednej chwili, tak że Aladyn nie miał nawet czasu ocucić swej zemdlonej matki.

Maruda jednak sama odzyskała przytomność. Leżąc wciąż na podłodze, poruszyła najpierw ręką, potem nogą, aż wreszcie wstała i drżącym głosem szepnęła:

— Aladynie! Czy już nie ma w naszej chałupie tego błękitnego jegomości, który nie miał nic pilniejszego do roboty, jak na stałe zamieszkać w zakurzonej lampie, aby zjawiać się pod wpływem tarcia i straszyć biednych, ubogich ludzi?

— Nie ma go już w chałupie — odpowiedział Aladyn. — Nie rozumiem wszakże, czemu się tak zlekłaś i zemdląłaś? Sprawił to zapewne brak obycia się z duchami. Nie jesteś widocznie przyzwyczajona do cudów i dziwów. Ja nabrałem już wprawy i przyzwyczajenia. Niepotrzebnie przeraziłaś się błękitnego ducha. Jest on potężny, a jednocześnie dobry i łagodny. Spełnia posłusznie rozkazy tych, którzy posiadają lampę cudowną. Spójrz tylko na ten stół, zastawiony jedzeniem, a zrozumiesz, że duch błękitny jest naszym przyjacielem.

Maruda spojrzała na stół, szeroko rozwarła zdziwione oczy i zawołała:

— A toć najlepszy nawet kucharz nie zdążyłby w taką odrobinę czasu przygotować tyle jedzenia! Masz słusność, że ów błękitny jegomość z zakurzonej lampy jest naszym przyjacielem. Wszakże biedne moje oczy nie znoszą widoku tak potężnych duchów, a biedne myśli moje mącą się od nagłego oglądania niepojętych cudów. Wierzę w duchy i w cuda, ale nie wierzę we własne siły. Czuję, że będę zawsze mdlała na widok ducha. Toteż, o ile będziesz chciał ducha z lampy wywołać, uprzedź mnie o tym zawczasu, abym zdążyła wyjść z chałupy. Powrócę zaś dopiero wówczas, gdy już duch zniknie, a w chałupie zostanie tylko stół, zastawiony srebrnymi talerzami i półmichami.

— Dobrze — odpowiedział Aladyn — uprzedzę cię zawczasu o zjawieniu się ducha. A tymczasem jedzmy i pijmy, bo mamy pod dostatkiem jedzenia i picia.

Zasiedli więc oboje do zakłętego stołu i zjadali coraz inną potrawę, przepijając coraz innym winem.

Potraw i win było tak dużo, że starczyło na dni kilka.

Gdy Maruda i Aladyn zjedli już wszystkie potrawy i wypili wszystkie wina, Aladyn sprzedał na targu srebrne talerze i półmichy. Dostał za nie tyle dukatów, że ledwo je mógł udźwignąć i przynieść do domu.

Odtąd Aladyn niemal co tydzień pocierał lampę i rozkazywał zjawionemu duchowi, aby przynosił jedzenie na srebrnych talerzach i półmichach. Sprzedawał potem na targu srebrne naczynia i napełniał dukatami kieszenie.

W dostatkach przeżyli Aladyn i Maruda lat pięć w swojej chałupie.

Aladyn był już dwudziestoletnim młodzieńcem.

Pewnego razu wrócił do domu, tańcząc i klaszcząc w dłonie.

— Matko, matko! — zawołał, nie patrząc nawet na Marudę. — Siedzisz wiecznie w swojej chałupie i nie wiesz o tym, o czym ja wiem w tej chwili!

— Co się stało? — spytała zdziwiona Maruda, przyglądając się uważnie Aladynowi. — Może znów spotkałeś czarodzieja, który się podaje za twego stryja i obiecuje ci kupić szaty jedwabne, ażeby potem znów cię zwabić do ogrodów podziemnych i drzwi żelazne zatrzasnąć nad twoją łatwowierną i lekkomyślną głową?

— Nie, nie! — wołał Aladyn, tańcząc po chałupie i klaszcząc w dłonie. — Nie spotkałem czarodzieja, i nikt mnie nie zwabił do ogrodów podziemnych i nie zatrzasnął drzwi żelaznych nad moją łatwowierną i lekkomyślną głową! Stało się to, co się stało! Zdarzyło się to, co się zdarzyło! Powiedział mi strażnik miejski, że jutro, skoro świt, piękna księżniczka Badrulbudura, córka naszego sułtana, przejdzie pieszo przez całe miasto aż do rzeki, żeby w lustrze rzeki przejrzeć swą twarz cudowną. Nikomu nie wolno iść po tych ulicach, po których ma kroczyć księżniczka Badrulbudura! Nikomu nie wolno spojrzeć na nią, aby nie obrazić wzrokiem jej pięknej księżęcej twarzy. Taki bowiem rozkaz wydał dzisiaj sam sułtan. Ulice będą puste, a cała ludność zamknie się w swych domach

Duch, Czary

i grubymi kotarami zasłoni wszystkie okna. Ulice będą puste i bezludne, a księżniczka pieszo przejdzie przez te ulice aż do samej rzeki. Nad rzeką pochyli się i ujrzy swą cudowną twarz, odbitą w wodzie. Matko moja, matko! Cała ludność jest posłuszna rozkazowi sultana — ja tylko jeden nie będę mu posłuszny. Nad rzeką rośnie gęsta trzcina. Skoro świt, pobiegnę nad rzekę i ukryję się w trzcinie. Ukryty w trzcinie, będę patrzył na brzeg tak długo, aż wreszcie zobaczę księżniczkę Badrulbudurę, gdy się pochyli nad rzeką, aby przyjrzeć się swej twarzy, odbitej w wodzie.

— Aladynie! — zawołała Maruda. — Zawsze byłeś nieposłuszny i dotąd nie pozbyłeś się tej wady. Pamiętaj, że rozkaz sultana jest święty i że nie wolno postępować wbrew rozkazowi.

— Pamiętam. pamiętam! — wołał, tańcząc Aladyn. — Pamiętam dobrze rozkaz sultana. Jednak zawsze byłem i jestem i będę nieposłuszny. Zrobię to, com<sup>38</sup> postanowił, i nie odmienię swego postanowienia!

Nazajutrz, skoro świt, kiedy Maruda jeszcze spała, Aladyn wymknął się z chałupy i pobiegł na brzeg rzeki.

Ulice były puste, wszystkie okna zasłonięte grubymi kotarami. Nikt więc nie widział Aladyna, biegnącego przez ulice. Godzina była tak wczesna, że księżniczka Badrulbudura nie zdążyła się jeszcze ubrać i wyjść z pałacu.

Słońce zaledwo schodziło<sup>39</sup>. Pierwsze jego promienie połyskiwały na dachach domów i na wierzchołkach drzew. Chłód poranny wiał po ulicach. Wróble dopiero budziły się w gniazdach i ćwierkały po jednym, po dwa, po trzy, czasem tylko wrzeszcząc całym chórem.

Aladyn biegł tak szybko, że wkrótce stanął nad brzegiem rzeki. Trzcina nad rzeką rosła tak gęsta i wysoka, że łatwo było ukryć się w niej jak w lesie. Aladyn natychmiast ukrył się w trzcinie, tak że, nie będąc widziany, sam mógł widzieć wszystko, co się na brzegu dzieje.

Zimno mu było w trzcinie, bo chłód wiał od wody, a woda dochodziła mu aż do kolan. Zmoczony i zziębnięty, czekał radośnie na przyście księżniczki. Nigdy bowiem dotąd żadnej księżniczki nie widział. Słyszał tylko, że księżniczki mieszkają w pałacach, noszą szaty złociste i mają twarze piękne.

Czekał dość długo i co chwila z lekka rozchyłał trzcinę, ażeby zobaczyć, czy księżniczka już stoi na brzegu.

Nareszcie posłyszał z dala szelest szaty jedwabnej.

Serce mu zabiło mocniej, zatamował dech i rozchylił trzcinę.

Zobaczył rzeczywiście księżniczkę Badrulbudurę. Szła sama, w białej jedwabnej sukni, w białych pantofelkach i w białym welonie na twarzy. Taki był bowiem zwyczaj w tej krainie, że wszystkie kobiety nosiły na twarzy białą zasłonę.

Księżniczka zbliżała się do rzeki powoli, kołysząc się, jak łabędź biała. Stała wreszcie na brzegu.

— Teraz podniesie zasłonę — pomyślał Aladyn — i zobaczę twarz księżniczki.

Księżniczka podniosła zasłonę.

Aladyn ujrział jej twarz tak białą i cudowną, jakiej nigdy jeszcze nie widział.

— Teraz pochyli się nad rzeką i zobaczy w wodzie swe własne odbicie — pomyślał znowu Aladyn, szerzej rozchylając trzcinę.

Księżniczka pochyliła się nad rzeką. Na fali natychmiast zjawiło się jej białe cudowne odbicie. Wiatr z lekka poruszał falę, i białe cudowne odbicie księżniczki z lekka za wiatrem kołysało się na błękitnej fali.

Księżniczka Badrulbudura, zachwycona i oczarowana, przyglądała się własnemu odbiciu i tak była zajęta dokładnym rozpatrywaniem cudownego odbicia, że nie zauważyła Aladyna, który całą głowę, a za głowę szyję z trzciny wysunął, żeby też przyjrzeć się odbiciu księżniczki na wodzie.

Białe odbicie kołysało się zlekka na fali, a księżniczka i Aladyn przyglądali mu się pilnie i uważnie.

<sup>38</sup>com postanowił — dziś raczej: co postanowiłem. [przypis edytorski]

<sup>39</sup>schodzić — tu: wschodzić. [przypis edytorski]

Czasem fala zakolysała się mocniej i szarpnęła białem odbiciem tak, że zdawało się Aladynowi, iż odbicie rozrywa się na dwoje i na troje. Lecz fala znów się wygładzała, i białe odbicie jednocześnie wygładzało się na jej powierzchni.

Długo, bardzo długo przyglądała się księżniczka swemu odbiciu. Widziała je bowiem po raz pierwszy, gdyż dotąd nie wychodziła z pałacu tak daleko. Spacerowała tylko po ogrodach pałacowych, gdzie nie było ani rzek, ani strumieni, ani jezior, ani sadzawek, bo sułtan był nieustannie chory na katar i nie znosił wilgoci.

Wreszcie księżniczka dowoli widać napatrzyła się swego odbicia na fali, bo zasłoniła nagle twarz białym welonem i udała się z powrotem do pałacu.

Aladyn ukrył się znowu w trzcinie i siedział tam cierpliwie, dopóki nie usłyszał z dala, że puste i bezludne ulice napelniają się gwarem i zgiełkiem. Znaczyło to, że księżniczka już wróciła do pałacu i ludność miasta z wolna wychodzi z domów, odsłaniając okna, zawieszane ciężkimi kotarami.

Wówczas Aladyn wynurzył się z trzciny, wyskoczył na brzeg i pobiegł do domu.

Biegł tymi samymi ulicami, którymi przed chwilą wędrowała księżniczka. Przechodnie już się tłoczyli tłumnie na chodnikach. Z tych i owych okien zszarpywano jeszcze ciężkie kotary, których dotąd nie zdążono odsłonić.

Aladyn zmkokły po kolana, że źdźbłami trzciny we włosach, biegł wesoło, dumny z tego, że ze wszystkich przechodniów, zgiełkliwie tłoczących się po ulicy, jemu tylko jednemu udało się na oczy własne ujrzeć księżniczkę.

Maruda od dawna się już zbudziła i, nie widząc w chałupie Aladyna, domyśliła się, że pobiegł nad rzekę. Bała się, że go postrzegą, ukrytego w trzcinie, i słusznie ukarają za przekroczenie rozkazu sułtana.

Właśnie w tej chwili Aladyn zdyszany biegiem wpadł do chałupy. Zaczął śmiać się i tańczyć i klaskać w dłonie.

— Matko moja, matko! — wołał, pływając dookoła stołu. — Widziałem księżniczkę Badrulbudurę i jej białe odbicie na błękitnej fali! Nie chcę innej żony, prócz księżniczki Badrulbudury! Nikt nie potrafi tak lekko, jak ona, stąpać po ziemi! Nikt nie potrafi tak cudownie odbijać się w fali! Nikt nie potrafi tak długo i uważnie przyglądać się własnemu odbiciu! Matko moja, matko! Idź natychmiast do pałacu, padnij na twarz przed jego tronem i proś go w moim imieniu o rękę księżniczki Badrulbudury!

— Czyś oszalał?! — zawołała Maruda. — Co za zuchwale myśli opętały ci głowę? Jakżeż ja mogę prosić sułtana o rękę księżniczki dla takiego, jak ty, nicponia? Od dwóch dni płaszysz i tańczysz po chałupie, zamiast iść na targ i posprzedawać nowe talerze i półmichy, które nam łaskawie przyniósł jegomość błękitny, mieszkający w zakurzonej lampie. Od nieustannych płaśów i tańców dostałeś widać zawrotu głowy i gadasz od rzeczy. Przestań tańczyć, usiądź na ławie i zastanów się rozsądnie nad tym, coś mi powiedział.

Aladyn przestał tańczyć, usiadł na ławie i, głośno dysząc od zmęczenia, rzekł:

— Siedzę na ławie, nie mam zawrotu głowy, ani mi się rozum nie pomieszał. Potwarzam ci raz jeszcze, matko moja: musisz stanąć przed sułtanem i prosić go w moim imieniu o rękę księżniczki Badrulbudury!

— Nie jestem tak zuchwałą, jak ty, mój synu! — odparła Maruda. — Usta by mi się nie poruszyły, aby taką prośbę przed sułtanem wybelkotać! Umarłabym pierwiej ze strachu i ze wstydu, niżbym ośmieliła się sułtanowi głupie twoje życzenie wyjawić! A toć zapomniałeś w tańcu o tym, że jesteś synem ubogiego krawca Mustafy! Któż by to księżniczka wyszła za mąż za syna krawieckiego? Bogactwem i przepychem też jej nie zwabisz, bo jesteś ubogi i mieszkasz w chałupie. Te dukaty, które miewamy ze sprzedaży srebrnych talerzy i półmichów, są dla nas skarbem niezliczonym — ale dla księżniczki nie starczyłyby nawet na kupno podeszwy do trzewika! Gdybym przed sułtanem powtórzyła twoją prośbę, naraziłabym się na śmiech albo na karę! Prócz tego nie wiesz zapewne o tym, że przed sułtanem nie można stanąć bez darów odpowiednich. Kto prosi sułtana o rękę jego jedynej córki, ten wedle zwyczajów powinien mu złożyć dary bogate. Skąd i gdzie i jak zdobędziesz te dary?

— Matko moja, matko! — zawołał Aladyn. — Los mi widać sprzyja, bo mam nawet dary dla sułtana! W kuchni naszej, w kącie pod płachtą leżą skarby, które sułtanowi w darze ode mnie zaniesiesz.

Pozycja społeczna, Miłość



— Co? — krzyknęła gniewnie Maruda. — Chcesz, abym zniosła sułtanowi te kolorowe szkiełka bez żadnej wartości? Sułtan każe mnie za to obić różgami albo powiesić na pałapie mojej własnej izby!

— Nie bój się, matko! — odpowiedział Aladyn. — Nie są to szkiełka kolorowe, jeno prawdziwe i cenne perły, topazy, szmaragdy, chryzolity, turkusy, szafiry, rubiny i brylanty. Poznałem w ostatnich czasach kilku złotników i jubilerów, którzy mnie nauczyli oceniać wartość tych cudownych kamieni.

— Kocham cię, mój synu, więc w końcu ustąpiłabym twoim naleganiom i poszłabym do pałacu, aby dogodzić twym życzeniom szalonym. Naraziłabym się dla ciebie nawet na pośmiewisko lub na różgi. Nie mogę jednak uczynić zadość twej prośbie, bo przecież nie wpuszczono by mnie do pałacu! Pod złotą bramą pałacu stoją na czatach rycerze i wypuszczają tylko książąt i dworzan. Gdybym, ja uboga i stara wdowa po krawcu, zbliżyła się do złotej bramy, rycerze zastąpiliby mi drogę lub odepchnęliby mnie gniewnie, jak natrętną żebraczkę!

— Mylisz się, matko! — odpowiedział Aladyn. — Zapomniałaś o tym, że co tydzień w poniedziałki sułtan przyjmuje w pałacu swoich poddanych. Wszystkim wówczas wolno wejść do pałacu: i bogatym, i ubogim, i młodym, i starym, i kupcom, i szewcom, i wdowom po rycerzach, i wdowom po krawcach. Sułtan daje posłuch wszelkim prośbom i sporom. Roztrząsa spory zacięte i rozsądza sprawy zawile. Niema człowieka w całym państwie, który by w poniedziałek nie znalazł przyjęcia na dworze. Przyjęcie to nazywa się Dywanem. Jutro właśnie mamy poniedziałek, to znaczy: dzień Dywanu. Możesz więc śmiało stanąć przed obliczem sułtana i prosić go w moim imieniu o rękę jego córki.

Maruda wzruszyła ramionami i rzekła:

— Słuchaneż to rzeczy, aby syn krawca posyłał matkę w swaty do sułtana? Jestem jednak matką i niczego nie mogę odmówić swemu synowi. Co będzie, to będzie. Co się stanie, to się stanie. Co się zdarzy, to się zdarzy. Pójdę jutro do sułtana i powtórzę mu dosłownie twoją prośbę. Muszę to zrobić, bo widzę, że jesteś szalony i że mógłbyś sobie nawet życie odebrać, gdybym nie spełniła twojej prośby.

— Zgadłaś, matko! — rzekł Aladyn. — Postanowiłem w duszy albo dostać za żonę księżniczkę Badrulbudurę, albo życie sobie odebrać.

Maruda znów wzruszyła ramionami, podreptała do kuchni, uszyła worek, wygarnęła spod płachty wszystkie kamienie drogocenne, wspaniała je do worka i znów wzruszyła ramionami.

Noc nadeszła. Położył się spać Aladyn. Położyła się spać Maruda. Aladyn długo zasnąć nie mógł i widział, jak Maruda przez sen wciąż wzrusza ramionami.

\*

Nazajutrz, w poniedziałek, w dzień Dywanu, Maruda zarzuciła na plecy worek, mocno klejnotami upchany, i podybała<sup>40</sup> wprost do pałacu. Idąc po ulicy, wciąż wzruszała ramionami. Przechodnie, patrząc na nią, mówili:

— I inni ludzie mają ramiona, a nie wzruszają nimi tak, jak ta kobieta z workiem na plecach.

Im dalej szła Maruda, tym szybciej wzruszała ramionami. Dopiero wówczas, gdy się zbliżyła do pałacu i ujrzała złotą bramę, przestała ramionami wzruszać.

Lęk zdjął ją na myśl, że za chwilę stanie przed obliczem samego sułtana i bojaźliwymi ustami powtórzy słowa Aladyna.

Tłum ludzi tłoczył się już koło bramy. Rycerze wskazywali drogę, i tłum wchodził przez bramę na marmurowe schody, prowadzące do sali, gdzie się Dywan odbywał.

Maruda poszła w ślad za tłumem, wstąpiła na marmurowe schody i przedostała się do olbrzymiej sali.

Sułtan siedział na tronie, a pod ścianami stali szeregiem rozmaici ludzie, którzy tu przyszli, aby sułtanowi prosiły swoje i sprawy przedstawić. Każdy po kolei podchodził da

<sup>40</sup>podybać — tu: pójść. [przypis edytorski]

tronu, padał na twarz przed sułanem, potem wstawał, wygłaszał swoją prośbę i, otrzymawszy od sułtana odpowiedź, usuwał się znów pod ścianę.

— Com ja, nieszczęśliwa, uczyniła? — myślała tymczasem Maruda. — Jakże mogłam odważyć się na kłopotanie sułtana tak zuchwałą pośbą! Sułtan ma tyle spraw poważnych! Toć zemdleję pierwej, nim zdołam wykszusić prośbę mego syna — nicponia!

I Maruda znów zaczęła wzruszać ramionami.

Tymczasem wszyscy obecni już zdążyli sprawy swoje sułtanowi przedstawić. Sułtan opuścił tron i wyszedł z sali.

Dywan był skończony. Jedna tylko Maruda nie zdążyła podejść do sułtana. Stała wciąż pod ścianą z workiem na plecach i nieustannie wzruszała ramionami.

Wielki wezyr, który siedział w czasie Dywanu obok tronu sułtana, dał obecnym znak ręką, aby opuścili salę. Tłum poruszył się i skierował z powrotem na marmurowe schody. Maruda poszła w ślad za tłumem i wkrótce znalazła się znowu na ulicy.

Aladyn niecierpliwie wyczekiwał powrotu matki.

Zdziwił się bardzo, gdy zobaczył, że wraca z workiem na plecach.

— Czemu wracasz z workiem na plecach? — zapytał.

— Wolę wracać z workiem, niż z pręgami od różg na plecach! — odpowiedziała Maruda.

— Czy sułtan odmówił mojej prośbie? — zapytał znowu Aladyn.

— Nie odmówił, bo nic nie mówił.

— A dlaczego nic nie mówił?

— Bo go o nic nie pytałam.

— A dlaczego o nic go nie pytałas?

— Bo był zajęty rozmową z innymi ludźmi.

Aladyn ręce załamał.

— Matko moja, matko! — zawołał. — Widzę, że chcesz, abym sobie życie odebrał! Co żeś robiła w pałacu, żeś nie miała chwili wolnej, aby z sułtanem pogadać?

— Stałam pod ścianą, wzruszałam ramionami i gadałam w duchu sama z sobą — odrzekła Maruda.

— Czyś po to poszła do pałacu, abyś sama z sobą gadała? Czemuś nie zbliżyła się do tronu? Czemuś marudziła pod ścianą?

— Marudziłam pod ścianą, bo mi pod ścianą stanąć kazano — rzekła Maruda. — Gdyby mnie postawiono na środku pokoju, to bym pewnikiem na środku pokoju marudziła. Nie smuć się jednak, bo w przyszły poniedziałek znów jest dzień Dywanu, więc pójdę do pałacu i prośbę twoją przed sułtanem powtórzę.

\*

Aladyn z niecierpliwością wyczekiwał następnego poniedziałku.

Nadszedł poniedziałek. Maruda z workiem na plecach podybała znów do pałacu.

Wkroczyła do sali, stanęła popod ścianą, wzruszała ramionami i gadała w duchu sama z sobą o tym, że prośba Aladyna jest zbyt zuchwała, a sułtan jest zbyt zajęty poważniejszymi sprawami.

Dywan się skończył. Tłum wyszedł z sali, a za tłumem wyszła Maruda. Wróciła do chałupy i rzekła do zmartwionego Aladyna:

— I tym razem nie udało mi się z sułtanem pogadać. Lecz nie martw się i bądź dobrej myśli. Co się odwlecze, to nie uciecze. Czynь wszystko powoli, jeno według woli. Co nagle, to po diable. W następnym poniedziałek znów jest dzień Dywanu. Pójdę więc do pałacu i porozmawiam z sułtanem.

Odtąd co tydzień, w poniedziałek, z workiem na plecach wzruszając ramionami, dybała Maruda do pałacu. Stawała w sali pod ścianą i stała tak do końca Dywanu. Potem wychodziła w ślad za tłumem, nie zdążywszy wygłosić przed sułtanem prośby Aladyna.

Tak się przyzwyczaiła co tydzień bywać w pałacu, że te wizyty poniedziałkowe stały się jej nałogiem. Z niecierpliwością wyczekiwała każdego poniedziałku i mówiła zazwyczaj:

— Kiedyż nareszcie nadejdzie ten poniedziałek? Już tak dawno nie byłam w pałacu, że aż mi tęskno i markotno.

— Nie bój się! — odpowiadał Aladyn. — Poniedziałek się nie opóźni, przyjdzie zawsze po niedzieli. Bylebyś ty się tym razem znów nie opóźniła z wygłoszeniem mojej prośby!

Sułtan wreszcie zauważył Marudę, która niezmiennie, co poniedziałek, wystawała pod ścianą, wrzuszając ramionami. Przyzwyczał się nawet do widoku jej twarzy i do widoku worka na jej plecach.

Pewnego poniedziałku rzekł do wielkiego Wezyra:

— Od dawna już zauważyłem tę starą ubogą kobietę, która co poniedziałek stoi pod ścianą z workiem na plecach. Pewno ma do mnie jakąś prośbę, ale brak jej śmiałości, aby podejść do tronu i prośbę ową przedstawić. Co poniedziałek wychodzi z sali w ślad za tłumem, aby w następnym poniedziałek znów się zjawić pod ścianą z workiem na plecach. Wrzusza przy tym nieustannie ramionami. Otóż tym razem, mój kochany wezyrze, gdy tłum pocznie z sali wychodzić, zatrzymaj tę starowinę i staw ją przed moje oblicze, abym mógł ją zapytać, co jej dolega?

Gdy tłum począł z sali wychodzić, a Maruda chciała już w ślad za tłumem wyruszyć, wielki Wezyr osobiście podbiegł do Marudy, własnoręcznie ją zatrzymał i zaprowadził przed tron sułtana.

Maruda blada i drżąca stanęła przed sułtanem.

— Kobieto! — rzekł sułtan. — Od dawna już zauważyłem twoją obecność w tej sali. Odwiedzasz mnie stale i pilnie co poniedziałek. Jesteś zapewne nieśmiała i dzięki temu dotąd nie odważyłaś się na wyjawienie swej prośby. Stoisz, milcząc, pod ścianą i wrzuszczasz przy tym ramionami. Nawiasem mówiąc, czybyś nie zechciała zaspokoić mojej ciekawości i wytłumaczyć mi mimochodem, czemu tak starannie i nieustannie wrzuszczasz ramionami?

— Władco mój i panie! — rzekła Maruda. — Mądrość twoja jest wielka, a oczy tak bystre, że nic się przed nimi nie ukryje. Toteż zgadłeś nieomylnie, że mam prośbę do ciebie. Wszakże nie ze swoją własną prośbą przychodzę, jeno spełniam życzenie mego syna Aladyna. Od chwili, gdy objawił mi to życzenie, zaczęłam wrzuszać ramionami i wrzuszam dotąd, bo doprawdy sama nie rozumiem, jak mogłam z taką prośbą zbliżyć się do twego tronu?

— Bądź odważna, moja kobiecino! — powiedział sułtan. — Tlum cały już wyszedł, i w sali nie ma nikogo, prócz mnie i mego wezyra. Możesz więc śmiało wygłosić swoją skromną prośbę.

— W tym właśnie sęk — szepnęła Maruda — że prośba moja wcale nie jest skromna.

— Cóż to za prośba? — spytał sułtan wielce rozciekawiony.

— Zuchwała! — odrzekła Maruda.

— Powiedz jednak, jaka? — nalegał sułtan.

— Nie byle jaka! — odparła Maruda.

— Chciałbym ją jednak posłyszeć! — mówił sułtan.

— Wolę w duszy ją nosić, bo mi wstyd ją wygłosić! — odpowiedziała Maruda.

— Czy znów chcesz swoją prośbę odroczyć do następnego poniedziałku? — zapytał coraz bardziej rozciekawiony sułtan.

— Władco mój i panie! — zawołała Maruda. — Jeśli chcesz, abym dziś jeszcze prośbę swoją wyznała, musisz mi uprzednio dać trzy przyrzeczenia: po pierwsze — że nie uczynisz ze mnie pośmiewiska; po drugie — że nie zlecisz swym odźwiernym, aby mnie obili różgami; po trzecie zaś — że nie każesz mnie powiesić na pułapie mej własnej chałupy!

— Przyrzekam ci, moja kobiecino! — rzekł sułtan, uśmiechając się pod wąsem. — Nie jestem ja ani tak mściwy, ani tak okrutny, abyś miała potrzebę zabezpieczania się od takich kar. Mów więc śmiało, czego pragniesz? Słucham cię uważnie.

— Czy mogę już zacząć swoją prośbę? — spytała Maruda.

— Możesz! — rzekł sułtan.

Maruda ostrożnie zdjęła z pleców worek, położyła go na podłodze, upadła na twarz przed sułtanem.

— Władco mój i panie! — zawołała. — Syn mój Aladyn groził mi, że życie sobie odbierze, jeśli nie powtórzę przed tobą jego zuchwałej prośby!

— O cóż mnie prosi twój syn Aladyn? — spytał sułtan.

— Władco mój i panie! — wrzasnęła przerażona własnymi słowami Maruda. — Syn mój Aladyn prosi cię o rękę twej córki, księżniczki Badrulbudury!

I, zanim sułtan zdążył cokolwiek odpowiedzieć, Maruda chwyciła worek i wysypała z worka na ziemię zawarte w nim klejnoty.

— Władco mój i panie! — wrzasnęła znowu. — Syn mój Aladyn posyła w darze tobie i księżniczce te klejnoty, które oby ci się, jak mnie, nie wydały kolorowymi szkiełkami bez żadnej wartości!

Ze szmerem i brzękiem posypały się przed tron sułtana perły, topazy, rubiny, chryzolity, szmaragdy, szafiry, turkusy i brylanty. Posypały się, błyskając i barw tysiącem olśniewając zdumione i zachwycone oczy sułtana.

— Już lat pięćdziesiąt żyję na tym świecie — zawołał sułtan — a nigdy jeszcze nie widziałem tak wspaniałych pereł i tak olbrzymich brylantów! Spójrz no, wezyrze, na te topazy! Dotknij tych szmaragdów! Poglaskaj te chryzolity! Co za klejnoty! Co za cuda! Co za czary! Co za dziwy! Co za blaski! Co za barwy! Dobra moja kobiecino! Twój syn Aladyn jest chyba największym na całej ziemi bogaczem! Chętnie mu oddam za żonę moją córkę. Prędko mu zanieś moją odpowiedź, aby czasem nie odebrał sobie swego drogiego życia. Byłaby to szkoda nieodżałowana, gdyby taki drogiego młodzieniec zabił się w kwiecie lat, nie otrzymawszy ręki mojej córki.

Słyszając to wielki wezyr zaczął głośno kaszlać i kichać, aby zagłuszyć słowa sułtana. Wezyr bowiem miał syna jedynaka, którego chciał właśnie ożenić z księżniczką Badrulbudurą. Pochylił się tedy ku sułtanowi i szepnął mu do ucha:

— Sułtanie! Jakże możesz przyobiecować swoją córkę młodzieńcowi, którego nie znasz wcale? Radzę ci, abys natychmiast cofnął swoją obietnicę.

— Nie mogę cofnąć — odszepnął sułtan — bo żaden sułtan nie cofa nigdy raz danego słowa.

— W takim razie — szepnął znowu wezyr — powiedz tej kobiecie, że jesteś zajęty sprawami państwa i że dopiero za trzy miesiące dasz jej odpowiedź ostateczną. Przez te trzy miesiące potrafimy chyba wspólnie obmyśleć odpowiednie sposoby unieważnienia twej obietnicy.

— Dobra kobiecino! — rzekł sułtan do Marudy, oglądając jednocześnie klejnoty, zerwane niegdyś przez Aladyna w ogrodach podziemnych. — Pocziwa kobiecino! Posłuszna i skromna kobiecino! Olśnił mnie dar twego syna i podobała mi się twoja nieśmiałość. Wszakże mam tyle przeróżnych spraw państwowych, że nie mogę teraz myśleć o ożenku mojej córki. Zbyt jestem w tej chwili zajęty budową złotego mostu nad rzeką, w której księżniczka Badrulbudura po raz pierwszy ujrzała swe odbicie, oraz sprowadzeniem z krajów zamorskich nowego kucharza, gdyż wczoraj właśnie kucharz mój dotychczasowy zapadł na tak dziwną chorobę, że nabrał nagłego a niezwalzonego wstrętu do wszelkich potraw, które sam przyrządza, i nie znosi ich widoku. Zamiast je po dawnemu smażyć i przyprawiać, zasłania je krepą żalobną i patrzy na nie smutnie i melancholijnie. Kazałem mu dzisiaj zarznąć barana. Zarznął go natychmiast — i podał do stołu surowego, przystroiwszy go uprzednio w czarne żalobne szaty. Rozumiesz więc, dobra kobiecino, że muszę pomyśleć o sprowadzeniu nowego kucharza i nie mam czasu na inne sprawy. Dopiero za trzy miesiące mogę ci dać odpowiedź ostateczną, kiedy i jak, i gdzie ma się odbyć ślub mojej córki z twoim synem.

Maruda pokłoniła się do nóg sułtanowi i wyszła.

Wróciwszy do domu, rzekła do Aladyna:

— Nie wyśmiał mnie sułtan i nie obił różgami, i powiesić nie kazał.

— Cóż ci odpowiedział? — spytał Aladyn.

— Odpowiedział, że odpowie dopiero za trzy miesiące — rzekła Maruda.

— Więc jest nadzieja, że się zgodzi na mój ślub z księżniczką?

— Jest nadzieja, że się zgodzi, bo już się zgodził — odparła Maruda. — Perły go oczarowały, brylanty go olśniły, topazy go zachwyciły. Zgodził się i nawet powiedział, że mu się podoba moja nieśmiałość.

Prosił tylko, abys zaczekał trzy miesiące, bo teraz jest bardzo zajęty i nie ma czasu na urządzenie twych zaślubin z księżniczką. Ciesz się, Aladynie! Za trzy miesiące będziesz mężem księżniczki!

Aladyn, uradowany, zaczął tańczyć wesoło po izbie.

Kuchnia, Melancholia

\*

Czas nie stoi i nie zwleka. — Czas upływa i ucieka. Minął miesiąc, minął drugi — lecz nie minął jeszcze trzeci.

Właśnie nadszedł dopiero trzeci miesiąc i zaczął upływać.

— Już dwa miesiące minęły — rzekł Aladyn do Marudy. — Jeszcze jeden, ostatni miesiąc na czekaniu zejdzie, a potem poślubię księżniczkę i zamieszkać w pałacu.

Nie domówił Aladyn tych słów, gdy nagle posłyszał za oknem odgłos trąb i harf, i bębnów, i cymbałów.

Wyjrzał przez okno i zobaczył muzykantów, którzy szli po ulicy z rycerzem na czele. Tłum ludzi otoczył rycerza, a on trzymał w ręku długi zwój pergaminu i, stanawszy nagle na środku ulicy, dał znak, aby się dokoła uciszono. Rozwinął potem pergamin i zaczął głośno czytać pismo, które czerniło się na pergaminie.

Aladyn i Maruda wysunęli głowy przez okno i uważnie nasłuchiwali.

— Ludzie wszyscy, ubodzy i bogaci! — czytał rycerz. — Otwórzcie oczy, otwórzcie usta i dziwcie się, i ciescie się, i słuchajcie! Oto wam przynoszę wieść cudowną, nowinę radosną! Dzisiaj wieczorem księżniczka nasza Badrulbudura poślubi pięknego Karmina, syna wielkiego wezyra. Życie im szczęścia, życie im wesela!

Zatrąbiły trąby, zabębniły bębny, zadzwoniły cymbały, zabrzękły harfy złociste. Rycerz zwinął pergamin i poszedł dalej, aby go na innych ulicach przed innym tłumem odczytać. Muzykanci poszli za nim. Tłum ruszył w ślad za muzykantami. Ulica opustoszała.

— Matko moja, matko! — zawołał Aladyn. — Sułtan nie dotrzymał słowa! Sułtan oszukał mnie i omamił! Jeszcze trzeci miesiąc nie upłynął, a już innemu oddał za żonę księżniczkę Badrulbudurę! Dzisiaj w pałacu będą tańce, będzie kapela i radość, i wesele! Muszę się uciec dziś wieczorem do pomocy lampy cudownej.

— Co? — zawołała przerażona Maruda. — Chcesz wywołać znowu błękitnego jego-mości? Możesz to zrobić, ale ja na cały wieczór wyjdę z chałupy.

Skoro wieczór zapadł, wyszła Maruda z chałupy. Aladyn wziął lampę cudowną i potarł ją mocno dłonią. I stało się to, co się stało! Zdarzyło się to, co się zdarzyło! Zjawił się duch błękitny, i cała izba pobłękitniała od światła, którym duch był nawskoroś<sup>41</sup> przesycony.

— Oto jestem na twoje rozkazy — rzekł duch — i na rozkazy tych wszystkich, którzy posiadają lampę cudowną!

— Błękitnij mi się w oczach, błękitnij, duchu błękitny! — odpowiedział Aladyn. — Stała mi się krzywda wielka, stał mi się smutek niespodziany. Sułtan słowa nie dotrzymał! Sułtan mnie oszukał! Trąbiły dziś trąby, bębniły bębny, dzwoniły cymbały i grały harfy złociste. Czy możesz mi, duchu błękitny, oznajmić, co się w tej chwili dzieje w pałacu?

— Mogę — odparł duch — bo widzę wszystko, czego ty nie widzisz, i słyszę wszystko, czego ty nie słyszysz. W pałacu teraz grzmi kapela. Goście jedzą, goście piją. Księżniczka się uśmiecha, a piękny Karmin zagląda jej w oczy. Za chwilę Karmin wraz z księżniczką ma wykonać taniec ślubny, a po tym tańcu stanie się to, co się stać miało dziś wieczorem: księżniczka będzie żoną Karmina.

— Duchu błękitny! — rzekł Aladyn. — Gdy piękny Karmin ujmie wpół księżniczkę, aby z nią tańczyć, porwij go nagle i unieś na komin mojej chałupy. Posadź go na kominie i przywiąż tak, żeby dopiero nad ranem mógł się odwiązać. Księżniczkę zaś unieś na brzeg rzeki i uwikłaj ją w trzcinię tak, żeby dopiero nad ranem mogła się wywikłać. Niech fala jej nóg nie zmoczy, niech trzcina jej twarzy nie zadraśnię, niech noc swym chłodem jej nie przejmie. Każ słowikom, aby przez noc całą śpiewały jej pieśni. Każ gwiazdom, aby zbliżyły się ku niej i świeciły tuż nad jej głową. Każ kwiatom, aby same odrywały się od swych łodyg i biegly do niej i układały się w wieńce i girlandy.

— Spełnię, coś rozkazał! — rzekł duch — i zniknął.

\*

<sup>41</sup>nawskoroś — dziś popr.: na wskroś. [przypis edytorski]

W pałacu bawiono się tymczasem znakomicie. Dzwoniły kielichy, skrzyło się wino. Piękny Karmin chwalił się przed księżniczką swymi bogactwami, a wezyr mówił szeptem do sułtana:

— Dobrze się stało, żeś nie oddał swej córki za mąż za jakiegoś nieznanego Aladyna, syna ubogiej kobiety, która nieustannie wzrusza ramionami. Masz przynajmniej pięknego, bogatego i szlachetnego zięcia, jakim jest syn mój Karmin. Za chwilę, według obyczajów naszego państwa, Karmin z księżniczką wykona taniec ślubny i nazwie ją swoją żoną.

— Już czas nawet, aby państwo młodzi wykonali ów taniec — zauważył sułtan.

Posłyszał to Karmin, wstał od stołu i zaprosił księżniczkę do tańca. Kapela zagrzała. Goście przestali jeść i pić i zwrócili oczy ku młodej parze.

Karmin ujął w pół księżniczkę i już uniósł lewą nogę w powietrze, aby taniec rozpocząć, gdy nagle stało się to, czego nikt nie oczekiwał.

I Karmin, i księżniczka znikli z przed oczu obecnych. Kapela grzmiła — ale dwojga tancerzy nie było. Sułtan i wezyr z wyciągniętymi szyjami przyglądali się jeszcze Karminowi i Badrulbudurze, ale już nie było ani Karmina, ani Badrulbudury. I goście jeszcze natężali wzrok, aby zobaczyć taniec, lecz nie widzieli ani tancerza, ani tancerki.

Na razie nikt nie zrozumiał, co się stało. Nikt bowiem dotąd nie widział nigdy takich tancerzy, który znikają, zamiast tańczyć.

Po chwili dopiero sułtan pierwszy zawołał:

— Gdzie się podziała moja jedynaczka, Badrulbudura?

Wezyr dodał natychmiast:

— Gdzie się podział mój jedynak, Karmin?

— Znikli, znikli oboje! — szeptali zdziwieni goście.

— Co to jest? Co to wszystko znaczy? — wołał oburzony sułtan. — Kto im pozwolił tak nagle zniknąć? Kto im pozwolił tak niepoważnie zachowywać się na własnym ślubie? I ja za młodu brałem ślub z moją nieboszczką żoną, lecz nie pamiętam, abym podczas ślubu zniknął przed oczu gości i własnego ojca!

Zaczęto szukać Karmina i Badrulbudury pod krzesłami, pod stołami, ale nadaremnie. Nie znaleziono ich nigdzie.

Duch błękitny przeniknął do pałacu, niewidzialny dla nikogo, porwał tancerzy i uniósł daleko. W tej chwili piękny Karmin siedział już na kominie chałupy Aladyna, przywiązany tak mocno, że nie mógł się poruszyć, a Badrulbudura, uwikłana w trzcinię nad rzeką, bezskutecznie próbowała wywikłać się z jej splotów. Dziwiło ją, że fala stóp jej nie moczy, trzcina twarzy jej nie tyka, a noc jej chłodem nie przejmuje. Gwiazdy nagle zbliżyły się do niej i świeciły tuż nad jej głową. Słowiki sfrunęły z drzew na trzcinię i śpiewały Badrulbudurze swe pieśni. Kwiaty same odrywały się od swoich łodyg. Tłumnie biegły ku księżniczce, wpełzały jej na ramiona, na szyję i na głowę i same układały się w girlandy i wieńce.

\*

Całą noc przesiedział piękny Karmin na kominie. Miotał się na strony, trzepotał rękami i nogami — lecz na próżno. Nie chciał, aby go ludzie ujrzeni na kominie, więc nie wołał o pomoc. Wstyd mu było, że zamiast tańczyć w pałacu, spędza noc na kominie jakiejś chałupy. Nad ranem dopiero zdołał rozluźnić sznury, które go krępowały, zsunął się co prędzej z dachu na ziemię i pobiegł do pałacu. Nikt go nie widział, gdyż był ranek wczesny i miasto jeszcze spało.

Jednocześnie i księżniczka wywikłała się z trzciny. Śpiesznym krokiem udała się natychmiast do pałacu. Nikt jej nie widział, jak szła po ulicach i jak znikła w bramie pałacowej.

Sułtan i wezyr przez noc całą wyczekiwali powrotu Karmina i Badrulbudury. Oboje wrócili niemal jednocześnie. Sułtan surowo spojrzął na córkę, a wezyr gniewnie spojrzął na syna.

— Mów mi natychmiast — rzekł wezyr do Karmina — czemuś bez pozwolenia sułtana zniknął z pałacu i gdzie noc spędziłeś?

Wstydził się Karmin przyznać, że spędził noc na kominie, więc spuścił oczy i odpowiedział:

— Nie wiem, gdzie noc spędziłem. Pamiętam, że znikłem i że straciłem z oczu sułtana i wszystkich gości tak samo zapewne, jak i oni mnie z oczu stracili. Jak i dlaczego znikłem — powiedzieć nie umiem, bo straciłem przytomność. Co się działo ze mną po owym nagłym zniknięciu — nie wiem. Uważam to zniknięcie za traf nieszczęśliwy, który ty, ojcze, wraz z sułtanem powinniście mi wybaczyć.

— Mów teraz ty, Badrulbuduro — rzekł sułtan do córki — czemuś znikła nagle bez mego pozwolenia i gdzie spędziłaś noc całą?

Badrulbudura też się wstydziła przyznać, że spędziła noc w trzcinie nadrzecznej, więc szepnęła nieśmiało:

— Nie wiem, gdzie noc spędziłam. Nie jestem przyzwyczajona do tak nagłego znikania, więc nawet nie zdążyłam zauważyć, jak i kiedy znikłam. Nie wiem, co się ze mną działo. To jedno tylko wiem, że nie chciałam zniknąć i że zniknęłam wbrew mej chęci i przeciw woli. Wraz z moim przyszłym mężem Karminem uważam to zniknięcie za traf nieszczęśliwy i proszę cię, ojcze, abys mi je wybaczył.

Sułtan zamyslił się głęboko i wreszcie rzekł.

— Wybaczam i tobie, i Karminowi to okropne zachowanie się podczas ślubu. Dziś wieczorem raz jeszcze wyprawię wam wesele i mam nadzieję, że tym razem powstrzymacie się od godnego kary i oburzenia zniknięcia.

Badrulbudura i Karmin nic na to nie rzekli.

Wieczorem znów goście zgromadzili się tłumnie w pałacu. Kapela znów zagrzała. Zdawało się wszystkim, iż tym razem wesele odbędzie się należycie, bez żadnych niespodzianych wypadków. Któż bowiem domyśliłby się, że Aladyn po raz wtóry rozkazał błękitnemu duchowi, aby porwał Karmina i Badrulbudurę w chwili, gdy staną do tańca? Nikt nawet nie znał Aladyna, nikt nie wiedział o istnieniu lampy cudownej, nikt nie przypuszczał, że w pałacu są czary i duchy.

Czary są wszędzie — na każdym miejscu i o każdej porze.

Powtórzyło się tym razem to, co się wczoraj stało. W chwili gdy, Karmin ujął w pól Badrulbudurę, aby taniec rozpocząć, znikli nagle oboje z oczu obecnych.

Sułtan poczerwieniał z gniewu, a wezyr zbladł z przerażenia.

Natychmiast sułtan razem z wezyrem wyszli z pałacu, aby wykryć miejsce pobytu obojga narzeczonych.

Noc całą chodzili po mieście z ulicy w ulicę, z placu na plac, z ogrodu do ogrodu. Nad ranem dopiero zbliżyli się przypadkiem do chałupy Aladyna.

Właśnie w tej chwili piękny Karmin, siedząc na kominie, już rozluźniał swe więzy i zamierzał komin opuścić, gdy nagle znieruchomiał z przerażenia, gdyż ujrzał koło chałupy sułtana i wezyra.

Sułtan i wezyr podnieśli głowy do góry i długo się przyglądali Karminowi. Karmin w złocistych szatach i w jedwabnych pantofelkach siedział nieruchomo na kominie i udawał, że się przygląda obłokom. Sułtan i wezyr oczom swym wierzyć nie chcieli.

— Karminie! — zawołał wezyr. — Czy to ty? Odpowiedz mi z komina!

— Ja, mój ojcze, ja, twój syn jedyny, Karmin!

— Jakim sposobem znalazłeś się na kominie? — spytał wezyr.

— Nie wiem — odpowiedział Karmin.

— Długo tam siedzisz?

— Siedzę noc całą, skrępowany sznurami, które dopiero nad ranem mogę rozluźnić.

— Rozluźnij więc sznury i zejdź z komina natychmiast! — rozkazał gniewnie wezyr.

Karmin rozluźnił sznury i zsunął się z dachu na ziemię.

— Wezyrze! — powiedział sułtan, marszcząc brwi i wskazując palcem Karmina. — Wstyd to i hańba, aby potomek rycerskiego rodu wałęsał się po dachach cudzych chałup! Nie chcę mieć zięcia, który całe noce spędza na kominie! Nie oddam mu za żonę mojej córki i rozkazuję, aby mi odtąd na oczy nie śmiał się pokazać!

— Słyszałeś rozkaz sułtana? — zapytał wezyr Karmina. — Wracaj natychmiast do domu, i od tej chwili noga twoja nie postanie w pałacu sułtańskim!

Zrozpaczony Karmin ze łzami na oczach oddalił się natychmiast, kierując swe kroki w stronę domu ojcowskiego. Sułtan zaś razem z wezyrem wyruszyli w dalszą drogę na poszukiwania księżniczki Badrulbudury.

Traf zdarzył, iż, wyszedłszy za miasto, znaleźli się nagle na brzegu rzeki. Sułtan mimochodem spojrzął na zagęszcza trzciny i zauważył, że w trzcinie coś się porusza. Poruszała się właśnie księżniczka Badrulbudura. Była to chwila, gdy miała się oto z trzciny wywikłać i co prędzej do pałacu wrócić.

Sułtan włożył na nos okulary i zajrzał w głąb trzciny. Jakież było jego zdumienie i oburzenie, gdy ujrzał w trzcinie własną córkę! Twarz mu poczerwieniała od wstydu i gniewu.

Badrulbudura w ślubnej jedwabnej szacie szamotała się usilnie w splotach trzciny nad-rzecznej. Machając białymi rączkami, rozgarniała pogmatwane łodygi trzciny, aby utrować drogę swym drobnym stopom, strojnym w złote pantofelki. Wreszcie wydostała się z gęstwiny i wyskoczyła na brzeg.

Ujrawszy sułtana i wezyra, zarumieniła się po uszy, spuściła oczy i stanęła nieruchomo.

Sułtan ujął się pod boki i, kołysząc się z nadmiernego gniewu, zawołał:

— Po tom<sup>42</sup> ci wyprawiał w pałacu wesele sute i huczne, abyś, zamiast tańczyć, siedziała w trzcinie nadrzecznej? Co za wybryki karygodne opętały twoją głowę! Jak to? Córka najpotężniejszego sułtana po raz wtóry mimo zakazu znika podczas uczty ślubnej i całą noc spędza w trzcinie? Co to wszystko znaczy? Wstyd i hańba spada na mnie za twoje postęпки! Ładny ślub i ładne wesele! Panna młoda nad rzeką w gęstwinie trzcinowej, a pan młody na kominie jakiejś chałupy! Wiedz o tym, że Karmin od dzisiaj przestał już być twoim narzeczonym. Nie chcę mieć zięcia z komina!

— Sułtanie! — szepnął wezyr. — Gniew twój jest słuszny, ale w gniewie zapominasz o tym, że księżniczka podczas chłodnej nocy nad rzeką mogła się przeziębnić.

Sułtan poprawił na nosie okulary i głosem łagodniejszym zapytał:

— Czy przemoczyłaś nogi w wodzie?

— Nie — odrzekła Badrulbudura — nie przemoczyłam, bo fala nóg moich nie tknęła.

— A może trzciny twarz ci podrapały?

— Trzciny uchylily się od mojej twarzy, aby jej nie zadrasnąć.

— Więc może chłód nocny przejął cię dreszczem, który jest oznaką przeziębienia?

— Chłód nocny omijał mnie i oszczędzał — odparła księżniczka — a noc była piękna, jak bajka. Słowiki śpiewały mi swe pieśni. Gwiazdy zbliżyły się do mnie i błyskały tuż nad moją głową, a kwiaty odrywały się od swych łodyg, biegły ku mnie, wpełzały mi na piersi, na szyję i na skronie i same układały się w girlandy i wieńce.

— Śniło ci się to chyba. — zauważył sułtan. — Nie traćmy jednak czasu i wracajmy do pałacu, zanim miasto się zbudzi.

Sułtan z Badrulbudurą wrócił do pałacu. Nikt ich nie widział, gdyż ranek był tak wczesny, że ludność jeszcze spała.

Karmin dzień cały przepłakał, że mu się nie udało poślubić pięknej księżniczki.

\*

Czas nie stoi i nie zwleka. Czas upływa i ucieka.

Minął trzeci umówiony miesiąc i nadszedł poniedziałek, dzień Dywanu.

Rzekł tedy Aladyn do Marudy:

— Matko moja, matko! Minął trzeci umówiony miesiąc. Dziś właśnie sułtan przyobiecował ci dać odpowiedź ostateczną i naznaczyć dzień mego ślubu z księżniczką. Idź do pałacu i przypomnij sułtanowi jego obietnicę.

— Chętnie pójde do pałacu — odpowiedziała Maruda. — Już opuściłam tyle poniedziałków, że aż mi nudno i markotno na duszy. Zdaje mi się, że żaden Dywan beze mnie odbyć się należycie nie może.

Poszła Maruda do pałacu.

<sup>42</sup>Po tom ci wyprawiał — dziś raczej: po to ci wyprawilem. [przypis edytorski]



Tym razem nie wzruszała ramionami, jeno stanęła po pod ścianą i czekała cierpliwie, aż cały tłum sałę opuści. Wówczas sama co tchu podbiegła do tronu, upadła przed sułtanem twarzą na ziemię i z całych sił wrzasnęła:

— Władco mój i panie! Trzy miesiące upłynęły od czasu, jak mi przyrzekłeś dać odpowiedź ostateczną. Śpieszno memu synowi do ożenku, a i tobie zapewne śpieszno do spełnienia swych przyrzeczeń sułtańskich. Święte i niezłomne jest słowo sułtana. Toteż przychodzę tym razem, aby cię zapytać, gdzie i jak, i kiedy ma się odbyć ślub mego Aladyna z twoją Badrullbudurą?

Sułtan się skrzywił, zadumał, pokiwał głową i rzekł wreszcie szeptem do wezyra:

— Mój kochany wezyrze! Słowa swego dotrzymać muszę, a jednocześnie nie chcę poślubić mej córki jakimś tam synalkowi jakiejś tam starowiny. Poradź mi, co mam uczynić?

Skrzywił się z kolei wezyr, zadumał się, pokiwał głową i rzekł wreszcie szeptem do sułtana:

— Postaw jaki trudny warunek, którego by ów synalek spełnić nie mógł, i powiedz, że tylko pod tym warunkiem zgadzasz się oddać mu za żonę swoją córkę.

Uśmiechnął się sułtan, spojrzął na Marudę i rzekł:

— Pocziwa kobiecino! Zgadzam się chętnie na ślub twego syna z moją córką, ale pod warunkiem, że syn twój przysśle mi czterdziestu Murzynów, z których każdy będzie dźwigał na głowie złotą szkatułę, napelnioną po brzegi takimi samymi klejnotami, jak te, któreś mi dawniej w worku przyniosła. Prócz tego na czele Murzynów niech czterdziestu białych niewolników w bogatych szatach i na arabskich rumakach dźwiga kosze kwiatów, nieznanym żadnemu ogrodnikowi. Na przedzie zaś tych niewolników niech kroczy rycerz w brylantowej zbroi i niech trzyma w ręku taką trąbę, która by głosem ludzkim śpiewała hymny na moją chwałę. Jeżeli twój Aladyn spełni ten warunek, i ja wówczas dotrzymam swego słowa.

Wróciła Maruda do chałupy i opowiedziała Aladynowi, pod jakim warunkiem zgodził się sułtan na ślub jego z księżniczką.

— Wyjdź z domu, matko, — rzekł Aladyn — bo z duchem błękitnym porozumieć się muszę.

Wyszła Maruda z chałupy. Aladyn potarł lampę dłonią. I stało się to, co się stało. I zdarzyło się to, co się zdarzyło. Zjawił się duch błękitny, i cała chałupa napelniła się błękitną jasnością.

Duch rzekł głosem donośnym:

— Otom jest na rozkazy twoje i na rozkazy tych wszystkich, którzy posiadają lampę cudowną.

— Błękitnij mi w oczach, błękitnij, duchu błękitny! — zawołał Aladyn. — Wiesz zapewne, pod jakim warunkiem sułtan zgodził się na mój ślub z księżniczką. Spełnij natychmiast ten warunek. Prócz tego przystrój mnie i matkę moją w szaty książęce. Dla mnie sprowadź rumaka białego i dwudziestu rycerzy konnych. Dziesięciu z nich niechaj trzyma w ręku sakwy, dukatami napelnione. Dla matki mojej sprowadź dwadzieścia pannień dworskich, aby jej usługiwały. Pamiętaj tylko, że matka moja lęka się twego widoku, więc bądź dla niej usłużny, lecz jednocześnie niewidzialny.

Ledwo Aladyn słów tych domówił — duch zniknął, a po chwili wewnątrz chałupy i całe podwórze zaroilo się od tłumy nagle zjawionych ludzi i koni. Aladyn spojrzął na siebie i nie poznał swej własnej postaci, miał bowiem na sobie szaty książęce, przetykane srebrem, złotem, naszywane perłami i diamentami. Skrzył się cały i złościł, i połyskiwał, i srebrzył, i perlił.

Wyszedł na podwórze, aby rumaki obejrzyć. Natychmiast jeden z rycerzy podał mu białego, cudownego rumaka. Dosiadł Aladyn rumaka, wyjechał na ulicę i stanął pod chałupą. Ustawił zaraz w szyku odpowiednim czterdziestu Murzynów ze szkatułami złotymi, pełnymi po brzegi klejnotów, i czterdziestu niewolników z koszami kwiatów, nieznanym żadnemu ogrodnikowi. Na czele ich stanął rycerz z trąbą, która głosem ludzkim śpiewała hymny na chwałę sułtanowi.

Rozkazał Aladyn całemu orszakowi iść niezwłocznie do pałacu sułtana i złożyć u stóp jego świetne dary.

Ruszył rycerz z trąbą, ruszyli za rycerzem niewolnicy, ruszyli za niewolnikami Murzyni, kierując swe kroki do pałacu.

Tymczasem dwudziestu rycerzy konnych otoczyło Aladyna.

Aladyn rzekł z konia do dziesięciu pierwszych, którzy trzymali w rękach sakwy, napełnione dukatami:

— Rycerze moi wierni! Gdy po drodze do pałacu będziemy mijali ulice za ulicami, garścią pełną siejcie naokół dukaty między przechodniów — nędzarzy i biedaków.

Ledwo tych słów domówił, a ujrzał na zakręcie ulicy Marudę w szatach książęcych, otoczoną rojem panien służebnych. Maruda szła, głośno szeleszcząc jedwabiami i co chwila płacząc stopy w zawiłych fałdach swej długiej szaty. Na zakręcie ulicy potknęła się nagle i upadła. Panny służebne pochwytyły ją zaraz i postawiły na nogi.

— Aladynie, Aladynie! Spójrz na mnie z konia i dziwuj się, i zachwycaj, i wierzaj, i nie wierzaj! Sama nie wiem, jak się to stało. Ale stało się i już się chyba nie odstanie. Ni stąd, ni zowąd zjawiły się na mnie szaty książęce. I ni stąd, ni zowąd otoczyły mnie nagle panny służebne. Nie przywykłam do noszenia takiej długiej jedwabnej sukni, więc co chwila się potykam i padam, jak długa, na ziemię, a panny służebne co chwila mnie podnoszą. I nic innego nie robią, jeno mi usługują, usługują i usługują. Nigdy jeszcze tak łatwo i tak często nie padałam na ziemię i nigdy jeszcze nie byłam tak starannie obsłużona.

— Śpiesz, matko! — odpowiedział Aladyn. — Już czas nam w drogę. Idziemy wprost do sułtana, który nam z pewnością nie odmówi przyjęcia.

Aladyn ze swoim orszakiem ruszył naprzód, a Maruda podreptała w ślad za nim, otoczona rojem panien służebnych.

Przechodnie z podziwem oglądali Aladyna i jego białego cudownego rumaka. Nikt nie poznał w Aladynie dawnego syna krawca. Zmienił go bowiem nie do poznania nie tylko strój książęcy, lecz i częste rozmowy z duchem błękitnym. Kto przez czas długi jest w posiadaniu lampy cudownej, ten w końcu pięknieje i nabiera wyglądu iście książęcego.

Rycerze pełną garścią rozrzucali naokół dukaty, a nędzarze i biedacy zbierali je i zgarbiali, oczarowani hojnością Aladyna.

Cały orszak z Aladynem na czele zbliżył się wreszcie do pałacu sułtana. Zdziwił się wówczas Aladyn, ujrawszy przed pałacem Marudę, otoczoną rojem panien służebnych. Szła piechotą, a wyprzedziła cały orszak konny. Wybrała bowiem Maruda najkrótszą drogę do pałacu przez uliczki i zaułki, nieznane Aladynowi. Pierwszy to raz Maruda, zamiast marudzić, wcześniej od innych przybyła na miejsce umówione.

Aladyn więc razem z Marudą wszedł do pałacu.

Murzyni i niewolnicy złożyli już swe dary u stóp sułtana. Obok tronu stał rycerz z trąbą, która głosem ludzkim śpiewała hymny na chwałę sułtanowi.

Sułtan, ujrawszy Aladyna, zeskoczył z tronu i pobiegł ku niemu na spotkanie. Aladyn chciał, według obyczaju, twarzą na ziemię paść przed sułtanem, ale sułtan nie pozwolił. Objął Aladyna za szyję i zaczął go całować tak mocno, że o mało go nie zadusił.

— Aladynie! — zawołał sułtan. — Wykonałeś mój warunek tak szybko, że nie miałem czasu dość się nadziwić i nazachwycać twymi darami. Jesteś młody, piękny i zgrabny, jak prawdziwy książę. Nie mógłbym wymarzyć wspanialszego zięcia dla siebie i wspanialszego męża dla mojej córki. Toteż chcę, aby dziś jeszcze odbył się twój ślub z księżniczką Badrulbudurą.

— Sułtanie! — odpowiedział Aladyn. — Kocham księżniczkę, ale dziś jeszcze poślubić jej nie mogę. Proszę cię o to, abys dzień ślubu odsunął aż do czasu, gdy wybuduję dla księżniczki pałac, jakiego nikt dotąd nie widział. Przed twoim pałacem znajduje się plac pusty. Czy pozwolisz mi, sułtanie, na tym placu zbudować pałac własny?

— Pozwalam ci, Aladynie, pozwalam! — zawołał sułtan. — Śpiesz się jednak z budową pałacu, bo chcę jak najprędzej ożenić cię z moją córką jedynaczką.

— W takim razie — rzekł Aladyn — muszę cię opuścić i natychmiast zająć się budową pałacu.

Aladyn pożegnał sułtana i razem z Marudą wyszedł z pałacu.

\*

Wróciwszy do domu, Aladyn wywołał ducha błękitnego i kazał mu w ciągu jednej nocy zbudować najpiękniejszy pałac na pustym placu przed pałacem sułtana.

Nazajutrz sułtan wyszedł z rana razem z wezyrem na balkon, i obydwaj oniemieli z podziwu. Na placu, wczoraj jeszcze pustym, stał pałac olbrzymi i tak piękny, że oko ludzkie nie widziało dotąd takiego pałacu.

— Wezyrze, jakże ci się podoba Aladyn? — rzekł sułtan, dumny z przyszłego zięcia. — Zuch to i chwat, jakich mało! W ciągu jednej nocy zdążył wybudować taki pałac, jakiego oko ludzkie dotąd nie oglądało!

— Zdaje mi się, że są to sztuki czarnoksiężskie — zauważył wezyr — i że Aladyn jest czarnoksiężnikiem.

— Mówi przez ciebie zazdrość — odpowiedział sułtan. — Zły jesteś, że ci się nie udało swego syna z moją córką ożenić, i dlatego rzucasz teraz na Aladyna podejrzenia i oszczerstwa.

Słońce oświetlało nowy pałac, jarząc się rześcicie na złotym dachu i w kryształowych szybach. Białe marmurowe ściany pałacu lśniły się w przezroczym, porannym powietrzu. Drzewa rzucały na te białe ściany swe błękitne gałęziste cienie.

Sułtan wdział na nos okulary i z zachwytem przyglądał się pałacowi.

Nagle brama pałacu rozwarła się na oścież, i ukazał się Aladyn, a za nim Maruda, otoczona rojem panien służebnych. Brama pałacu Aladyna połączona była z bramą pałacu sułtana złotym mostem. Aladyn duchowi błękitnemu rozkazał ten most przerzucić umyślnie, aby piękna Badrulbudura mogła wprost po tym moście przejść z pałacu ojcowskiego do pałacu mężowskiego.

Aladyn wraz z Marudą wstąpili na most złoty i przeszli po nim do pałacu sułtana.

— Sułtanie! — rzekł Aladyn. — Już zbudowałem pałac dla mojej przyszłej żony, dziś więc wieczorem mogę ją już poślubić.

— Aladynie! — zawołał sułtan. — Brak mi słów, aby wyrazić swój zachwyt dla ciebie i twego pałacu. Co dzień z rana będę odtąd wychodził na balkon, żeby się przyglądać cudownej architekturze nowego pałacu. Widok jego czaruje mnie, rozprasza nudę, budzi najweselejsze myśli i marzenia. Jestem szczęśliwy, że już dziś wieczorem staniesz się nareszcie moim zięciem i mężem mej córki.

Wieczorem tego dnia odbył się ślub Aladyna z księżniczką Badrulbudurą.

Świetnie udał się nowożeńcom taniec ślubny! Nie zniknęli z przed oczu obecnych, lecz, przeciwnie, wirowali długo po komnacie pałacowej, budząc ogólny zachwyt i podziw.

Po skończonym ślubie sułtan, wezyr, Maruda, Aladyn i Badrulbudura po złotym moście przeszli z jednego pałacu do drugiego.

Długo wszyscy chodzili po komnatach i salach nowego pałacu i podziwiali przepych i bogactwo. Szczególnie podobała się sułtanowi jedna sala o dwudziestu czterech oknach. Ściany miała wysadzane brylantami, a posadzkę — turkusami.

Badrulbudura pokochała bardzo Aladyna, a właściwie księcia Aladyna, gdyż Aladyn stał się teraz księciem, a Maruda — księżną Marudą.

Sułtan co dzień z rana wychodził na balkon swego pałacu i oglądał pałac Aladyna, oświetlony promieniami wschodzącego słońca. Często też zwykł był mawiać do wezyra:

— Co bym ja robił na tym świecie bożym, gdybym nie miał tego balkonu, a przed balkonem tego cudownego pałacu, którego widok szczęściem napawa moje oczy?

Wezyr nic na to nie odpowiadał. Złość i zazdrość zjadały go na myśl, że codzienne wystawianie na balkonie naprzeciwko pałacu Aladyna stało się najulubieńszem zajęciem sułtana.

\*

Pewnego razu książę Aladyn wyjechał na polowanie.

W tym samym właśnie czasie zdarzyło się, iż Rocioender, przebywający w samym środku Afryki, przypomniał sobie, iż kilka lat temu dał Aladynowi pierścień zaklęty. Wspomnienie to pobudziło go do gniewu, bo wszakże przy pomocy pierścienia Aladyn mógł wydostać się z podziemi i uniknąć zemsty Rocioendra. Zapragnął więc Rocioender dowiedzieć się, co się dzieje w tej chwili z Aladynem. Wyjął z zanadza tablicę zaklętą

i posypał ją piaskiem. Piasek zawirował, zapląsał, zawichrzył się i nagle ułożył się w takie słowa.

— Księżę Aladyn poślubił piękną księżniczkę Badrulbudurę. Mieszkają razem we wspaniałym pałacu, zbudowanym w ciągu jednej nocy naprzeciwko pałacu sułtana. W tymże pałacu znajduje się lampa cudowna oraz księżna Maruda, otoczona rojem panien służebnych. W tej chwili księżę Aladyn wyjechał na polowanie i dopiero za trzy dni powróci do swego pałacu.

Przeczytał te słowa Roeoender i zapienił się ze złości. Natychmiast swoim obyczajem przeskoczył z Afryki do Chin i korzystając z nieobecności Aladyna, przystąpił niezwłocznie do wykonania przebiegłej zemsty. Kupił w sklepie dwanaście lamp miedzianych, złożył je do kosza i z koszem w ręku pobiegł przed pałac Aladyna.

Przechadzając się tam i z powrotem przed pałacem, wołał na całe gardło:

— Za jedną starą lampę dwie nowe daję w zamian! Za jedną starą lampę dwie nowe daję w zamian!

Badrulbudura stała w oknie i posłyszała te wołania. Zwróciła się do służącej, która komnatę właśnie zamiatała, i rzekła:

— Czy to dziwak, czy to wariat biega z koszem w ręku i obiecuje za jedną starą lampę dać w zamian dwie nowe? Ciekawam, czy spełniłby swoje przyrzeczenie, gdyby mu jaką starą lampę nagle ofiarowano?

— Łatwo to sprawdzić — odpowiedziała służąca. — Oto tam, w kącie komnaty, na szafie stoi jakaś stara zakurzona lampa. Zniosę ją temu wariatowi, niechże mi da w zamian dwie nowe.

— Zrób to! — zawołała Badrulbudura. — Zobaczymy zaraz, czy ten dziwak kłamie, czy też prawdę mówi.

Służąca zdjęła z szafy lampę i zniosła ją Roeoendrowi. Była to niestety lampa cudowna, którą Aladyn w domu zostawił.

Roeoender obejrzał lampę, domyślił się od razu, że jest to lampa cudowna, dał w zamian dwie nowe, oddalił się szybko i znikł w ulicy.

Służąca, śmiejąc się do rozpuku, pobiegła z powrotem do Badrulbudury i pokazała jej dwie nowe lampy.

\*

Roeoender, uczuwszy się szczęśliwym posiadaczem lampy cudownej, kilka razy aż poskoczył w górę z radości. Ukrył się potem w pustej alei jednego z ogrodów pobliskich, wyjął lampę z kieszeni i potarł ją mocno dłonią. Wówczas stało się to, co się stało. Zdarzyło się to, co się zdarzyło. Zjawił się duch błękitny, i cała aleja napełniła się błękitną jasnością.

Duch zawołał głosem donośnym:

— Oto jestem na rozkazy twoje i na rozkazy tych wszystkich, którzy posiadają lampę cudowną!

— Duchu! — zawołał Roeoender. — Rozkazuję ci, abyś natychmiast i mnie, i pałac Aladyna przeniósł z Chin na sam środek Afryki!

Zaledwo Roeoender domówił tych słów, a duch zniknął.

Po chwili i Roeoender, i pałac Aladyna jednocześnie się zachwiali. Roeoender zachwiał się na nogach, a pałac — w swych posadach. Potem oboje jednocześnie oderwali się od ziemi i, uniósłszy się w powietrze, pofrunęli z Chin na sam środek Afryki.

Nazajutrz z rana sułtan, jak zazwyczaj, wyszedł na balkon, aby się przyjrzyć pałacowi Aladyna. Wyszedł, stanął, spojrzął, przetarł oczy i spojrzął znowu. Potem wdział na nos okulary, zdjął je z nosa, przetarł starannie chustką, wdział na nos powtórnie, spojrzął znowu, zadrżał, zbladł, poczerwieniał, posiniał, pozieleniał, chwycił się za serce, chwycił się za głowę i wreszcie wrzasnął przerażony:

— Nie ma! Nie ma! Nie ma! Nie ma!

Posłyszał wezwr wrzask sułtana i też wybiegł na balkon.

— Czego nie ma? — zapytał.

— Nie ma tego, co było, a co być przestało! — wrzeszczał sułtan.

— O czym mówisz, sułtanie? — zapytał znowu wezwr. — Powiedz mi, co było i być przestało?

Sułtan wytrzeszczył na wezyra osłupiałe z przerażenia oczy i wrzeszczał dalej:

— Był plac, na placu — pałac, a w pałacu — moja córka. Nie ma pałacu, nie ma mojej córki! Jest tylko jeden pusty plac, który mnie najmniej zawsze obchodził! Wszystko być przestało, prócz tego placu. On jeden dotąd istnieje, chyba po to, aby mi przypominać, że jest pusty!

Wezyr teraz dopiero spojrzął na plac i, nie widząc tam nic, prócz pustki, aż przysiadł do ziemi z przerażenia.

— Może mnie mylą moje stare oczy! — zawołał zrozpaczony sułtan. — Wezyrze, jesteś młodszy, spójrz na plac i powiedz, co tam widzisz?

— Nic nie widzę! — odpowiedział wezyr.

— Gdzież się podział pałac Aladyna? — lamentował sułtan.

— Sułtanie! — rzekł wezyr. — Mówiłem ci zawsze, że pałac ten jest dziełem sztuki czarnoksiężskiej i że zięć twój Aladyn jest złym czarnoksiężnikiem.

— Miałaś zupełną słuszność! — jęknął sułtan. — Gdzież obecnie znajduje się Aladyn?

— Wyjechał na polowanie na trzy dni — odpowiedział wezyr.

— Poślij natychmiast w ślad za nim dziesięciu rycerzy, aby go schwytali, okuli w kajdany i okutego wtrącili do więzienia.

Wezyr pobiegł z radością, aby spełnić rozkaz sułtana.

Po chwili dziesięciu rycerzy wyruszyło w drogę na poszukiwanie księcia Aladyna. Znaleźli go w lesie, nad strumieniem. Podeszli go z tyłu, chwycili za dłonie, okuli w kajdany, wrócili z nim do miasta i wtrącili do więzienia okutego Aladyna.

Wezyr pobiegł do sułtana i oznajmił, że Aladyn siedzi już w więzieniu. Sułtan rozkazał, aby kat niezwłocznie ściął głowę Aladynowi.

Ponieważ kat mieszkał za miastem, więc wezyr posłał jednego rycerza, aby kata sprowadził.

Aladyn, wtrącony do więzienia, przeczuwał śmierć bliską. Złożył więc dłonie do modlitwy i szepnął:

— Boże! Ratuj niewinnego od śmierci niezasłużonej!

Składając dłonie, potarł bezwiednie pierścień zaklęty, który zawsze na palcu nosił. Wnet duch złoty, w pierścieniu ukryty, zjawił się i zawołał:

— Oto jestem na rozkazy twoje i tych wszystkich, którzy posiadają pierścień zaklęty.

— Złość się, złość się, duchu złoty! — rzekł Aladyn. — Krzywda mi się stała, smutek mi się zdarzył! Pałac mój zniknął bez śladu, i znikła żona moja Badrulbudura! Powróć mi mój pałac i moją żonę!

— Nie mogę tego uczynić! — odpowiedział duch złoty. — Pałac twój należy do ducha błękitnego, który jest potężniejszy ode mnie. Nie wolno mi się wtrącać do jego spraw i do jego czynów. Mogę tylko przenieść cię z więzienia wprost do twego pałacu, gdzie zastaniesz swą żonę, piękną Badrulbudurę.

— A więc rozkazuję ci, duchu złoty — zawołał Aladyn — ażebyś przeniósł mnie natychmiast do mego pałacu.

Zaledwo Aladyn słów tych domówił, a duch złoty zazłocił się jeszcze rzęsiściej, pochwycił Aladyna na swe skrzydła i przeniósł go z więzienia wprost do pałacu na sam środek Afryki. Podczas lotu nad ziemią z nóg i rąk Aladyna spadły kajdany, i Aladyn stanął pod bramą swego pałacu wolny i pełen nadziei.

Piękna Badrulbudura stała w oknie pałacu i smutnie patrzyła na Afrykę, której nie znała. Nagle krzyknęła z radości, ujrzawszy Aladyna. Kazała swym sługom otworzyć bramę pałacową.

Aladyn wszedł, rzucił się na szyję swej żonie, i oboje płacząc opowiadali sobie przez łzy o tym, co się każdemu przytrafiło.

Okazało się, że Roeoender zażądał od Badrulbudury, aby została jego żoną. Badrulbudura poznała w Roeoendrze starego dziwaka, który za jedną starą lampę dwie nowe w zamian obiecywał. Domyślił się tedy Aladyn, że Roeoender został posiadaczem lampy cudownej i duch błękitny, posłuszny jego rozkazom, przeniósł pałac z Chin do Afryki.

Roeoendra nie było teraz w pałacu. Wyszedł do lasu, aby upolować zwierzynę.

Aladyn ukrył się za drzwiami i z mieczem w ręku wyczekiwał jego powrotu.

Wieczorem Roeoender wrócił do pałacu.

Gdy koło drzwi przechodził, Aladyn uderzył go mieczem tak, że straszny Roeoender padł martwy na ziemię.

Wówczas Aladyn znów zawładnął lampą cudowną i kazał duchowi błękitnemu przenieść pałac z powrotem do Chin.

Duch błękitny natychmiast rozkaz Aladyna wykonał — ku wielkiej radości Badrulbudury, która niecierpliwie wyczekiwała chwili, kiedy pałac wreszcie uniesie się w powietrze i skieruje swój lot w stronę Chin na plac przed pałacem jej ojca.

I rzeczywiście pałac się uniosł w powietrze i zatrzymał się dopiero na placu w Chinach. Duch błękitny przeniósł go tak zręcznie i lekko, że Badrulbudura czuła tylko dwa wstrząśnięcia: jedno, gdy pałac oderwał się od ziemi afrykańskiej, a drugie, gdy się ustawił na placu w Chinach.

Stało się to wieczorem.

Nazajutrz z rana sułtan wyszedł znów na balkon i znów się zdumiał, oczom swym nie dowierzając! Pałac stał, jak dawniej, na placu. Brama pałacowa rozwarła się na oścież, i w bramie stanął Aladyn, Badrulbudura i Maruda, otoczona rojem panien służebnych.

Wszyscy przeszli po złotym moście do pałacu sułtana.

Badrulbudura rzuciła się na szyję sułtanowi i rzekła:

— Ojczule! Jak mogłeś wtrącać do więzienia i skazywać na śmierć Aladyna, którego kocham nad życie, a który jest niewinny! Winien wszystkiemu czarnoksiężnik Roeoender, którego imię straszno mi i trudno wymówić, a którego trup znajduje się w naszym pałacu. On właśnie przeniósł nasz pałac na sam środek Afryki. Lecz Aladyn śmiercią go ukarał. Możesz stwierdzić naocznie prawdę słów moich, oglądając trupa Roeoendra.

Wszyscy więc z sułtanem na czele poszli do pałacu Aladyna.

Sułtan obejrzał zwłoki Roeoendra i rzekł:

— Po raz pierwszy oglądam zwłoki czarnoksiężnika. Widzę teraz, że Aladyn jest niewinny, i cieszę się, żeście wszyscy wraz z waszym pałacem wrócili szczęśliwie na dawne miejsce waszego pobytu. Będę znów co dzień wychodził na balkon, aby napawać oczy widokiem cudownego pałacu.

Zwłoki Roeoendra Aladyn kazał oddać krukom na pożarcie, a lampę cudowną nosił odtąd zawsze w zanadrzu.

\*

Los tak chciał, że na Aladyna czyhało w życiu jeszcze jedno niebezpieczeństwo.

Roeoender miał w Afryce młodego brata, też czarnoksiężnika. Brat ten od dawna Roeoendra nie widział, bo, o ile Roeoender lubił przebywać w samym środku Afryki, brat jego włóczył się zazwyczaj po jej brzegach.

Pewnego razu młody czarnoksiężnik zapragnął dowiedzieć się, co się dzieje z Roeoendrem. Wyjął więc z zanadru tablicę zaklętą, posypał ją piaskiem, i piasek natychmiast ułożył się w taki napis:

— Roeoender został oddany na pożarcie krukom. Zabił go książę Aladyn, który mieszka w Chinach we wspólnym pałacu naprzeciwko pałacu samego sułtana.

Młody czarnoksiężnik niezwłocznie przeskoczył z Afryki do Chin. Obejrzał pałac Aladyna i dowiedział się od strażnika pałacowego, że Aladyn wyjechał na polowanie i za trzy dni dopiero powróci.

Przez dwa dni młody czarnoksiężnik wałęsał się po mieście i obmyślał plan zemsty.

Pierwszego dnia nic nie obmyślił.

Na drugi dzień zobaczył na ulicy jakąś kobietę w czarnych szatach i z białą zasłoną na twarzy.

— Co to za kobieta? — zapytał jakiegoś przechodnia.

— Jak to? Czyż nie znam tej kobiety? — zawołał zdziwiony przechodzień. — Jest to święta Fatyma, którą czci i uwielbia całe miasto. Fatyma uzdrawia chorych, kalekom prostuje nogi i ręce, ślepych przywraca wzrok, a głuchym słuch. Mieszka zaś w pustelni pod górą, za miastem, gdzie ma celę, wyżłobioną w skale.

Wieczorem tego dnia młody czarnoksiężnik poszedł za miasto pod górę, do pustelni. Znalazł skałę, a w skale drzwi drewniane, i zapukał do drzwi.

Fatyma drzwi otworzyła i spytała:

— W jakim celu przychodzisz w tak późnej godzinie?  
 — W takim celu, aby cię nauczyć milczenia — odpowiedział czarnoksiężnik.  
 — Co znaczą twoje słowa? — spytała znowu złękciona Fatyma.  
 — Słowa moje znaczą to, że zabiję cię natychmiast, jeśli się odważysz wołać o pomoc.  
 Milcz i w milczeniu spełniaj wszystko, cokolwiek ci rozkażę.  
 — Słucham cię — szepnęła Fatyma.  
 — Widzę, że twarz swą według zwyczaju derwiszów pokrywasz żółtą farbą. Pokryj mi moją twarz taką samą farbą.  
 Fatyma posłusznie pociągnęła twarz czarnoksiężnika żółtą farbą.  
 — Czy jestem teraz podobny do ciebie? — spytał czarnoksiężnik.  
 — Jesteś tak podobny, że z dala trudno cię ode mnie odróżnić.  
 — Dobrze — rzekł czarnoksiężnik. — Oddaj mi teraz swoje szaty, a sama przebierz się w moje.  
 Fatyma odala mu swoje szaty. Czarnoksiężnik przywdział je i szepnął złowrogo:  
 — Oddaj mi teraz swoją białą zasłonę, którą nosisz na twarzy.  
 Fatyma oddała mu zasłonę.  
 Czarnoksiężnik szepnął wówczas ciszej i groźniej.  
 — Oddaj mi teraz swoje życie.  
 — Bierz je — odrzekła Fatyma — ale mi powiedz przynajmniej, za co mnie zabijasz?  
 — Za nic! — zaśmiał się czarnoksiężnik. — Zabijam cię dlatego, abyś przed nikim nie mogła zdradzić moich czynów.  
 Mówiąc to, wyjął sztylet, zabił Fatymę, ukrył jej zwłoki w krzakach, a sam wrócił do celi, gdzie noc całą przenocował.  
 Nazajutrz wyszedł na miasto, przebrany w szaty Fatymy i okryty jej białą zasłoną.  
 Ludzie, myśląc, że to idzie Fatyma, kłaniali się nisko, prosili o błogosławieństwo lub o uzdrowienie.  
 Czarnoksiężnik udawał, że jest zajęty modlitwą i nie ma teraz czasu na rozdawanie błogosławieństwa i uzdowień. Udał się w stronę pałacu Aladyna i zaczął się przechadzać przed pałacem.  
 Badrulbudura wyjrzała przez okno, zobaczyła domniemaną Fatymę i wysłała służbę, aby zaprosiła Fatymę do pałacu. Czarnoksiężnik natychmiast skorzystał z zaproszenia i wszedł do pałacu.  
 — Od dawna cię chciałam poznać, Fatymo! — rzekła Badrulbudura. — Słyszałam wiele o twoim życiu pustelnicznym i o tym, że mieszkasz w celi, wyżłobionej w skale. Zapewne nigdy nie widziałas pałacu. Zdejm więc na chwilę swoją zasłonę i obejrzyj komnatę pałacową. Ciekawa jestem, jakie wrażenie zrobi ta komnata na pustelnicy, przyzwyczajonej do przebywania w wyżłobieniu skalnym.  
 Czarnoksiężnik z lekka uchylił zasłony, obejrzał komnatę i rzekł, udając głos Fatymy:  
 — My, biedne pustelnice, nie lubimy bogactw i przepychów. Mimo to jednak podoba mi się twoja komnata o dwudziestu czterech oknach. Byłaby to niezaprzeczenie najpiękniejsza na świecie komnata, ale brak jej, niestety, jednego upiększenia.  
 — Jakiego? — spytała Badrulbudura bardzo zaniepokojona.  
 — Brak jej jajka Roka, cudownego błękitnego jajka, które powinno wisieć na jedwabnym sznurze, przytwierdzonym do sklepienia tej komnaty. Nie wiem jednakże, gdzie ptak Rok swoje gniazda buduje i gdzie można jajko Roka dostać.  
 — Za chwilę wróci z polowania mój mąż, książę Aladyn. Powiem mu o tym jajku — może on potrafi je zdobyć. A tymczasem zaprowadzę cię do oddalonej od zgiełku ulicznego komnaty, abyś tam mogła spokojnie odmawiać swe modlitwy.  
 Badrulbudura zaprowadziła domniemaną Fatymę do cichej komnaty na końcu pałacu. Czarnoksiężnik zamknął się w tej komnacie i wyczekiwał powrotu Aladyna.  
 Aladyn wkrótce wrócił z polowania. Zastał Badrulbudurę smutną, bladą i zamyśloną.  
 — Czemu jesteś smutna, blada i zamyślona? — spytał, zaglądając jej w oczy.  
 — Nic mi nie jest — odrzekła Badrulbudura. — Właściwie nie jestem ani smutna, ani blada, ani zamyślona. Zauważyłam tylko w naszej komnacie brak pewnego upiększenia. Gdybyś potrafił ten brak uzupełnić, komnata nasza byłaby niezaprzeczenie najpiękniejsza na całym świecie.  
 — Powiedz mi tedy, czego tu brak w tej komnacie?.

Badrulbudura przechyliła głowę, zmrużyła oczy i rzekła:

— Brak błękitnego jajka Roka, zawieszzonego na jedwabnym sznurze, przytwierdzonym do sklepienia komnaty.

— Zostaw mnie samego w pokoju, a pomyślę nad sposobem dostarczenia ci tego jajka.

Badrulbudura wyszła z pokoju. Aladyn wyjął z zanadru lampę cudowną i potarł ją mocno dłonią. Natychmiast zjawił się duch błękitny i rzekł:

— Oto jestem na rozkazy twoje i tych wszystkich, którzy posiadają lampę cudowną.

— Duchu błękitny! — zawołał Aladyn. — Rozkazuję ci, abyś mi przyniósł jajko Roka i zawiesił je w tej komnacie na sznurze jedwabnym, przytwierdzonym do sklepienia!

Duch błękitny zaskrzył się cały od gniewu, uderzył skrzydłami o ziemię i krzyknął:

— Jak śmiesz obrażać mnie takim żądaniem? Nie dość, że ci zbudowałem pałac w ciągu jednej nocy — chcesz teraz, abym zawiesił na twoim suficie błękitne jajko potężnego Roka, który jest moim panem, władcą i królem? Zabiłbym cię na miejscu za tę obrazę, gdyby nie okoliczność, że tę myśl niegodną poszepnął twej żonie brat Roeoendra, podły czarnoksiężnik, co, przebrany za podstępnie zamordowaną przez niego Fatymę, znajduje się teraz w twym pałacu i ostrzy sztylet, którym ma zamiar zabić ciebie.

To powiedziawszy, duch zniknął.

Aladyn zawołał Badrulbudurę i powiedział:

— Zdaje mi się, że w moim pałacu jest w tej chwili Fatyma?

— Tak — rzekła Badrulbudura. — Dałam jej pokój osobny, aby mogła odmawiać swe modlitwy.

— Przyrowadź ją do mnie — powiedział Aladyn.

Badrulbudura przyprowadziła Fatymę.

Ledwo Fatyma weszła do pokoju, Aladyn poskoczył ku niej i ugodził ją mieczem w samo serce.

— Coś uczynił? — zawołała Badrulbudura. — Zabijeś świętą i niewinną Fatymę!

— Nie ja zabiłem Fatymę, lecz właśnie zabił ją ten, który padł od mego miecza. Jest to brat Roeoendra, czarnoksiężnik, który się przebrał w szaty Fatymy, aby wejść do pałacu i pozbawić mnie życia.

Tak zginął młody czarnoksiężnik, brat Roeoendra.

Odtąd Aladyn pędził żywot spokojny wraz z Badrulbudurą i Marudą, otoczoną zawsze rojem panien służebnych.

Po śmierci sułtana Aladyn wstąpił na tron i panował długo i mądrze pod imieniem Aladyna Pierwszego.

## *Baśń o pięknej Parysadzcie i o ptaku Bulbulezarze*

Daleko, daleko, za górą, za rzeką, za zielonym borem, za modrym jeziorem, w pobliżu rozstaju, w sąsiedztwie ruczaju stał niegdyś pałac, a obok pałacu — ogród, a obok ogrodu — droga, która prowadziła nie wiadomo skąd i nie wiadomo dokąd.

W tym pałacu mieszkało dwóch braci: Bachman i Perwic, wraz z siostrą Parysadą. Parysada była tak piękna, że sama zawsze dziwiła się swojej urodzie. Oczy miała pełne zdziwienia, a usta pełne śmiechu. Śmiała się nieustannie. Nigdy łza nie zabłysła w jej oczach. Nie umiała płakać.

Obydwoj bracia bardzo ją kochali i spełniali każde jej życzenie.

Pewnego razu Bachman i Perwic wyjechali na polowanie. Parysada sama w domu

Śmiech, Uroda, Łzy

Ogród



została. Podbiegła do okna i przez okno wyjrzała do ogrodu. W ogrodzie słońce świeciło, w słońcu błyskały kwiaty, w kwiatach złościły się pszczoły, które miód zbierały.

Parysada zaśmiała się i rzekła sama do siebie:

Pszczoła po kryjomu  
W kwiatach szuka miodu.  
Nudzi mi się w domu,  
Pójdę do ogrodu.

Wdzieję strój pstrokaty  
Dziwaczno kroju  
I pomiędzy kwiaty  
Pobiegnę w tym stroju!

Przywdziała natychmiast strój pstrokaty i pobiegła do ogrodu.

Biegła od altany do altany, od klombu do klombu, z alei w aleję, ze ścieżki na ścieżkę, od słońca, od wiosny — w cień dęba i sosny, a z owego cienia — ponad brzeg strumienia, a z brzegu do jaru, a z jaru — na wzgórze, a ze wzgórza — w gąszcze, między bzy i róże!

Biegła tak wcięż, aż wreszcie zabiegła na sam koniec ogrodu. Na samym zaś końcu plot się jarzy w słońcu, a pod plotem — mech zielony, a w mchu rośnie grzyb czerwony.

— Co za dziwny grzybek! — zawołała Parysada. — Jedną ma tylko nóżkę, a na tej nóżce czerwoną czapkę! Gdy go obcasem w tę czapkę uderzę, natychmiast z niej kłęb kurzu wyleci, jak dym z komina.

I Parysada uderzyła grzybek obcasem.

Ze spróchniałego grzybka wystrzelił kłęb kurzu. Kłęb się zakłębił, kurz się zakurzył. Grzybek zniknął nagle z oczu Parysady, a na miejscu grzybka zjawił się karzełek w czerwonej czapce. Karzełek spojrzął na Parysadę i zaczął płakać.

W pobliżu płotu leżała rzepa, którą ktoś przez plot wrzucił do ogrodu. Karzełek, płacząc, pobiegł do rzepy. Usiadłszy na rzepie, zalewał się łzami, zapłakane ślepie ocierał kwiatami. Ocierał i płakał, płakał i ocierał i na Parysadę po przez łyż spozierał.

— Karzełku! — zawołała Parysada. — Czemu tak rozpaczasz? Czemu się łzami zalewasz? Może za mocno uderzyłam cię obcasem w czapkę czerwoną? Lub może cię boli to, że przestałeś być grzybkiem pod plotem, a zamieniłeś się w karzełka?

— Płacz razem ze mną! — odpowiedział karzełek, płacząc coraz głośniejszym i załamującym drobne mchem porośnięte dłonie.

— Płakałabym chętnie, ale nie mogę! — odrzekła Parysada. — Nie umiem płakać. Nie wiem nawet, jak to trzeba oczami mrugać, żeby z nich łyż wytrysły. Nie mam wreszcie powodu do płaczu. Jestem szczęśliwa i wesoła. Mam wszystko, co mieć pragnę. Mam piękne oczy, piękne usta i piękne włosy. Mam dwóch braci, którzy spełniają każde moje życzenie. Mam pałac i ogród i mnóstwo sukien złotych, srebrnych, błękitnych, zielonych, purpurowych i pstrokatych. Trudno mi płakać bez powodu. Powiedz mi lepiej, dlaczego płaczesz i dlaczego załamujesz dłonie?

Karzełek wsparł się łokciem o brzeg rzepy i zawołał:

— Płaczę nad tobą i nad tobą załamuję dłonie! Masz bowiem urodę, masz dwóch braci i pałac i ogród i mnóstwo sukien bogatych — ale nie masz trzech dziwów, które mieć powinnaś! Gdybyś miała te trzy dziwy, byłabyś najszczęśliwszą istotą na świecie!

— Cóż to za trzy dziwy? — spytała zaciekawiona Parysada.

Karzełek przestał płakać i rzekł:

— Trzy dziwy, bez których trudno istnieć na świecie! Po pierwsze — dąb-samograj, po wtóre — struga-złotosmuga, po trzecie — ptak Bulbulezar. Dąb-samograj ma liście, które, zamiast szumieć, grają, niby harfy, a gałęzie, które, zamiast skrzypieć, wtórują, niby basetle. Struga-złotosmuga posiada tę czarodziejską właściwość, że dość z niej kroplę jedną zaczerpnąć i do basenu przelać, a kropla ta zwiększa się, olbrzymieje, wzbiera, napęcznieje po brzegi basen cały i wytryska z basenu w błękit strugą złocistą, która opada i znów się wznosi nieustannie, trafiając zawsze w obręb basenu i nigdy nie przelewając się przez brzegi. Najciekawszym jednak dziwem jest ptak Bulbulezar. Skrzydła ma pawie, szyję —

Czary

Łzy

Czary, Kuszenie

łabędzią, dziób — bociani, pazury — sępie, a oczy jaskółcze. Głosem ludzkim gada, bajki opowiada. Co opowie bajkę — to zapali fajkę. Tylko ów jest szczęśliwy, kto posiada te dziwy. Płacz więc, Parysado, bo nie masz ani dęba-samograja, ani strugi-złotosmugiej, ani ptaka Bulbulezara!

— Płakać nie mogę, płakać nie umiem! — odrzekła Parysada. — Powiedz mi lepiej, gdzie się znajdują te trzy dziwy, abym je mogła posiadać?

— O biedna, nieszczęśliwa Parysado! — zawołał karzelek. — Dziwy te znajdują się w oddali, ale droga ku nim leży w pobliżu. Jest to ta sama droga, która, wijąc się pod płotem twego ogrodu, prowadzi nie wiadomo skąd i nie wiadomo dokąd. Nieraz zapewne obojętnym okiem spoglądałaś na tę drogę, nie wiedząc o tym, że jest to droga zaklęta, sennym zielem porośnięta, pełna ciszy i milczenia i dziwnego przeznaczenia. Tą drogą iść trzeba przez dni dwadzieścia wprost przed siebie, ani kroku nie zwalnając, ani z drogi nie zbacząc. Po dniach dwudziestu zobaczysz skałę, a pod skałą — źródło. Zatrzymasz się u źródła pod skałą i pierwszego przechodnia zapytasz, gdzie się znajduje dąb-samograj, struga-złotosmuga i ptak Bulbulezar. Pierwszy ów przechodzień wskaże ci dalszą drogę do tych dziwów.

Parysada chciała jeszcze spytać karzelka o dokładniejsze wskazówki i szczegóły podróży, ale karzelek zniknął nagle z jej oczu. Nie było śladu karzelka, ani grzybka pod płotem. Została tylko rzepa, którą ktoś rzucił przez płot do ogrodu.

Parysada wróciła do pałacu. Żądza posiadania trzech dziwów tak ją opętała i tak niecierpliwiła, że nie mogła sobie dać rady. Biegała po pokoju z kąta w kąt, tam i z powrotem. Zmęczona bieganiem, siadła na krześle. Znużona siedzeniem na krześle, podbiegła do okna i siadła na oknie. Zniecierpliwiona siedzeniem na oknie, podbiegła do stołu i siadła na stole.

Właśnie w tej chwili dwaj bracia Parysady wrócili z polowania. Obydwaj zdziwieni spojrzeli na Parysade.

— Siostró moja kochana! — zawołał Bachman. — Co ci się stało, że siedzisz na stole? O ile pamiętam, nigdy dotąd na stole nie siadywałaś.

— Siedzę na stole, żeby nie siedzieć na oknie — odparła Parysada.

— A któż ci kazał siedzieć na oknie? — spytał Perwic.

— Siedziałam na oknie, żeby nie siedzieć na krześle — odrzekła Parysada.

— Czemuż nie chciałaś siedzieć na krześle? — rzekł zdziwiony Bachman.

— Nie tylko na krześle, ale na żadnym miejscu usiedzieć nie mogę! Nudzę się i nudzę. Niecierpliwę się i niecierpliwie. Smucę się i smucę! Gdybym umiała płakać, tak bym się głośno rozpłakała, że musielibyście uszy zatykać i z pałacu co tchu zmykać! Jestem nieszczęśliwa, nieszczęśliwa, nieszczęśliwa!

— Czegóż ci brak, siostró nasza? — zawołali chórem Bachman i Perwic. — Powiedz jedno tylko słowo — a życzenie twoje natychmiast będzie spełnione!

— Wielka jest moja niedola! — wołała Parysada, zeskakując ze stołu. — Smutek mój nie ma granic! Bracia moi, ratujcie mnie, ratujcie! Brak mi do szczęścia trzech rzeczy, trzech cudów, trzech dziwów: brak mi dęba-samograja, brak mi strugi-złotosmugiej, a najbardziej mi brak ptaka Bulbulezara!

— Parysado! — zawołał Bachman. — Nie pozwolę na to, abyś z powodu braku tych trzech dziwów znosiła takie męki. Dostarczę ci i dęba-samograja i strugi-złotosmugiej i ptaka Bulbulezara. Muszę wprawdzie wiedzieć, gdzie się znajdują te dziwy.

— Bachmanie! — rzekła Parysada. — Dziwy te znajdują się w oddali, lecz droga do nich zaczyna się w pobliżu, tuż pod płotem naszego ogrodu. Droga to zaklęta, sennym zielem porośnięta, pełna ciszy i milczenia, i dziwnego przeznaczenia. Przez dni dwadzieścia trzeba iść tą drogą wprost przed siebie, ani kroku nie zwalnając, ani z drogi nie zbacząc. Po dniach dwudziestu zobaczysz skałę, a pod skałą źródło. Staniesz koło źródła pod skałą i zaczekasz, aż się zjawi pierwszy przechodzień. Kto pierwszy się zjawi, ten ci dalszą drogę wskaże.

— Kto ci o tym mówił? Kto o tym powiadał? — spytał Bachman.

— Mówił mi o tym, powiadał o tym mały karzelek, co się pod płotem z grzybka narodził w naszym ogrodzie i znikł mi z oczu, jak kamień w wodzie!

Droga

Pokusa, Nuda

— Parysado! — rzekł Bachman. — Spełnię twe życzenie w jedno okamgnienie! Mój konik bułany posłuszny ostrodze. Popędzę, polecę po zakłętej drodze. Po zakłętej drodze, po ziemskim obszarze: trzy dziwy, trzy cuda przywiozę ci w darze!

Bachman natychmiast osiadł na konia bułanego i stanął konno przed pałacem, aby się z siostrą i z bratem pożegnać.

Parysada spojrzała na Bachmana i, wzruszona jego odjazdem, zawołała:

— Bracie mój najstarszy, drogi mój Bachmanie! Trwogą mnie przejmuje nasze pożegnanie! Podróż twa zakłęta, straszna i daleka. Nie wiadomo, co cię w tej podróży czeka. Może zginiesz w kraju obcym i nieznanym i już nie powrócisz na koniu bułanym! Chętnie bym cię łzami żegnała na drogę, lecz nie umiem płakać i płakać nie mogę!

— Nie płacz, siostrzo moja, i nie ucz się płakać! — odrzekł Bachman wesoło. — Nie boję się strachów, nie lękam się złych czarów. Lubię drogi błędne, lubię podróże zakłęte, lubię przygody niespodziane. Raduję się na myśl, że spełnię życzenie twoje, dostarczając dziwów troje! Powrócę do domu na koniu bułanym — ale powrócę z dębem-samograjem, ze strugą-złotosmugą i z ptakiem Bulbulezarem. Na pożegnanie dam ci sztylet złoty w pochwie srebrnej. Obnażaj go co dzień wieczorem, gdy słońce zajdzie za borem, i przeglądaj się uważnie jego ostrzu. Jeśli ostrze będzie czyste, połyskliwe i złociste — to znaczy, że jestem zdrow i żyw i nic mi się złego nie stało. Lecz jeśli na ostrzu kropla krwi się zjawi i sztylet zardzewi — to znaczy, że zginąłem gdzieś w kraju nieznanym i że już nie wrócę na koniu bułanym!

Bachman wyjął z zanadru sztylet złoty w pochwie srebrnej i podał go Parysadzcie.

Parysada, ukrywszy sztylet na piersi, wspięła się na palcach, ażeby ucałować na pożegnanie brata, który się z konia ku niej przechylił. Zbliżył się i Perwic, aby się z Bachmanem pożegnać.

Pożegnali się, pocałowali się, dali sobie uścisk bratni, spojrzeli po raz ostatni — i Bachman spał konia ostrogami.

Biegnie konik bułany przez łąki i przez łany, przez kurze i przez kwiaty — w nieznanne biegnie światy. Nad nim słoneczna spieka, przed nim droga daleka, droga dziwna i kręta, coraz bardziej zakłęta!

Perwic i Parysada długo patrzyli w ślad za odjeżdżającym Bachmanem, aż wreszcie zniknął im z oczu.

Smutni wrócili do pałacu, narzekając na los, który ich brata zmusił do tak niebezpiecznej podróży. Przebiegli samotne i puste pokoje, przy otwartym oknie stanęli oboje; stanęli przy oknie, by na los narzekać, i na powrót brata jęli razem czekać.

\*

Jedzie Bachman, jedzie tam, gdzie droga wiedzie. Jedzie, kroku nie zwalniając, ani z drogi nie zbaczając. Mija puste błonia i mówi do konia:

— Biegnij, koniu bułany, przez łąki i przez łany, przez jary i przez kwiaty — w nieznanne biegnij światy. Biegnij drogą zakłętą, sennym zieleń porośniętą, pełną ciszy i milczenia i dziwnego przeznaczenia.

Koń słyszy słowa Bachmana i rozumie jego mowę. Biegnie po drodze zakłętej bez znużenia, bez zmęczenia, bez przestanku, bez wytchnienia.

Droga przed nim pusta i bezludna, jeno coraz bardziej zakłęta. Taka zakłęta, że aż strach bierze, a w oczach ciemno się robi, choć słońce świeci na niebie. Lecz Bachman jest odważny i strachu nie czuje. Przyjemnie mu i wesoło biec po drodze zakłętej!

Przez dni dwadzieścia pędził wprost przed siebie, aż wreszcie po dniach dwudziestu ujrzał skałę, a pod skałą źródło. Zeskoczył z konia i stanął przy źródle, pod skałą.

Ledwo stanął — a już na spotkanie mu wyszedł z gęstwiny drzewnej derwisz<sup>43</sup> stary.

— Pierwszy to przechodzień, który mi się na drodze zjawił, jego więc o drogę dalszą zapytam — pomyślał Bachman, pilnie przyglądając się derwiszowi.

Nigdy jeszcze Bachman nie widział tak starego derwisza. Wzrostu był olbrzymiego, a karku pochylego. Broda mu od starości tak się rozrosła, że sięgała ziemi i włoczyła się po drodze. Wąsy tak się gęsto rozkrzewiły pod nosem, że przesłaniały szczelnie usta, niby

<sup>43</sup>derwisz — żebrzący mnich muzułmański żyjący w ascezie. [przypis edytorski]

wiecha słomiana. Brwi i rzęsy tak się gęstwiły nad oczami, jak sitowie. Nie widać było oczu, ani ust, ani nosa, jeno samą włochatość, wąsatość i brodatość. Zdawało się, że to nie człowiek idzie, lecz żywy snop siana.

Derwisz podszedł do Bachmana i stanął w milczeniu.

— Derwiszu! — rzekł Bachman. — Jadę z siostry polecenia, nie mam czasu do stracenia. Wskaż mi drogę, wskaż mi miejsce, gdzie się znajduje dąb-samograj, struga-złotosmuga i ptak Bulbulezar.

Począł derwisz coś mruczeć i bełkotać, i gadać, i mamrotać, ale gęstwa wąsów usta mu przesłaniała i mówić przeszkadzała. Mówił żwawo i raźnie, lecz mówił niewyraźnie. Mówił grzecznie, przyjemnie, lecz zgoła nadaremnie! Nie mógł bowiem Bachman nawet słowa jednego zrozumieć.

— Derwiszu! — zawołał. — Gadasz na próżno! Słowa ci grzęzną w wąsach i nie dolatują moich uszu. Słyszę tylko mruczenie i bełkotanie. Muszę ci najpierw ostrzyć brodę i wąsy i rzęsy i brwi, a potem dopiero będę mógł się z tobą porozumieć. Mam przy sobie nożyce-wyrwiwłosey. Pozwól więc, że cię ostrzyję.

Derwisz skinął głową na znak, że pozwala.

Bachman wyciągnął z kieszeni nożyce-wyrwiwłosey i zabrał się natychmiast do strzyżenia.

Nożycami-wyrwiwłosami obciął brodę derwiszowi. Spadła broda pod skałę, przesłoniła źródło całe. Dzwoniąc wciąż nożycami, zabrał się do brwi i do rzęs, ażeby odsłonić źrenice dziwnego starca. Zadzwończyły wnet nożyce — odsłoniły się źrenice. Bachman tymczasem obciął derwiszowi olbrzymie wąsy. Spadły wąsy w pobok skały, a usta się ukazały. Derwisz mrugał oczami i poruszał ustami.

— Chwała Bogu, chwała Bogu! — wołał radośnie. — Mogę teraz patrzeć w dale, mogę mówić zrozumiale! Zdaje mi się, że odmłodniałem, choć mam już trzysta trzydzieści trzy lata. Dwieście lat temu straciłem ojca i matkę, a sto lat temu straciłem pamięć wszystkiego, co się na świecie dzieje. Jestem zmęczony, jestem znużony, jestem strudzony! Chciałbym już zasnąć snem wiekuistym i odpocząć w ciszy mogilnej. Ale nie wolno mi umrzeć dopóty, dopóki jakikolwiek rycerz śmiały nie zdobędzie dęba-samograja, strugi-złotosmugiej i ptaka Bulbulezara. Już tysiące rycerzy chciało zdobyć te dziwy, lecz wszyscy zginęli, nic nie zdobywszy.

— Właśnie chcę cię spytać o drogę do tych dziwów — zawołał Bachman.

— Szalony młodzieńcze! — odparł derwisz. — Poniechaj swego zamiaru, bo zginiesz, jak inni zginęli.

— Zamiar mój jest nieodwołalny — odpowiedział Bachman. — Nie cofnę się z drogi, choćby mnie zguba na tej drodze czekała! Wskaż mi drogę — lub pójdę sam, bez twojej pomocy!

— Nieszczęsny śmiałku! — zawołał derwisz. — Bez mojej pomocy i bez moich wskazówek zginąłbyś od razu, wołę więc dać ci wskazówki i rady. Gdyby ci się wyprawa po te trzy dziwy udała, zasnąłbym nareszcie snem wiekuistym i odpocząłbym w ciszy mogilnej po trzystu trzydziestu trzech latach istnienia na ziemi. Nie wierzę jednak w twoje zwycięstwo. Jestem pewien, że zginiesz, jak zginęli inni. Widzę wszakże, że jesteś uparty i że nie powstrzymam cię od twoich zamiarów. Słuchaj więc uważnie, co powiem. Jestem zmęczony, jestem znużony, jestem strudzony! Już od stu lat duchy niewidzialne każą mi istnieć wbrew woli w pobliżu tej skały, pod którą źródło tryska. Tu muszę trwać, tu muszę żyć, tu muszę istnieć po to tylko, aby takim, jak ty, szaleńcom wskazywać drogę do trzech dziwów, których posiadanie nęci ludzi, chciwych czaru i cudu. Nie wolno mi zasnąć, nie wolno mi umrzeć, nie wolno mi spocząć! Jestem zmęczony, jestem znużony, jestem strudzony!

Mówiąc to, derwisz wyjął z torby, którą miał u pasa, kulę złotą i podał Bachmanowi.

— Gdy dosiędziesz konia — mówił dalej — rzuć tę kulę przed siebie. Potoczy się ona po drodze, ty zaś dąż w ślad za nią. Dąż w ślad za nią, śledź oczyma, aż się ta kula zatrzyma. Zatrzyma się w tajemnicy u stóp Góry-Cmentarnicy — bo tak się ta góra nazywa. Zeskoczysz wówczas z konia i zostawisz go samopas. Koń się z miejsca nie ruszy i będzie czekał na ciebie. — Słuchaj teraz uważnie, co masz czynić dalej. U stóp Góry-Cmentarnicy znajdziesz ścieżkę-złotobrzeżkę. Pójdiesz ścieżką-złotobrzeżką pod górę.

Starość, Śmierć, Obowiązek

Śmierć bohaterska

Ścieżka ta rozszerza się w drogę obszerną. Po obu stronach drogi stoją posągi kamienne. Nie są to posągi, jeno ludzie żywi, w martwy kamień zakłęci. Pomiedzy posągami idź prosto przed siebie, aż na sam szczyt góry. Pamiętaj, abyś szedł przed siebie, a nie oglądał się za siebie. Będą cię straszły duchy niewidzialne. Oczy twoje nic nie zobaczą, jeno uszy twoje posłyszają wrzaski i wołania, groźby i szczekania, i szmery, i śpiewy, i martwe powiewy... Jeśli się obejrzysz za siebie — natychmiast się zamienisz w posąg kamienny, aby zwiększyć liczbę tych posągów, które stoją po obu stronach niebezpiecznej drogi. Idź więc prosto przed siebie, aż dojdiesz do samego szczytu Góry-Cmentarnicy. Na samym szczycie góry zobaczysz cokół marmurowy. Na tym cokole stoi klatka złota. W tej klatce złotej siedzi ptak Bulbulezar. Nie zważaj na groźby i wrzaski tego ptaka, jeno co prędzej pochwyć w dłonie klatkę złotą — wszelkie niebezpieczeństwo minie, wrzaski duchów niewidzialnych ucichną. Możesz wówczas śmiało obejrzeć się za siebie i możesz rozkazywać Bulbulezarowi, który odtąd będzie posłuszny twym rozkazom. Oto wszystko co ci chciałem powiedzieć. Bulbulezar zaś powie ci, co masz czynić dalej.

— Spełnię dokładnie wszystkie twoje rady, mądry derwiszu! — zawołał Bachman. — Jestem pewien, że zdobędę trzy dziwy na Górze-Cmentarnicy i że będziesz mógł zasnąć snem wiekuistym i odpocząć po trzystu trzydziestu trzech latach istnienia na ziemi.

— Oby tak się stało! — szepnął derwisz, wznosząc oczy ku niebu. — Nie wierzę jednak, abyś celu dopiął! Już tylu mężnych rycerzy przed tobą poszło na Górę-Cmentarnicę, a nikt z nich stamtąd nie wrócił. Obejrzeli się za siebie — i zamienili się w posągi, w kamienne dziwolągi. Raz jeszcze ostrzegam ciebie: poniechaj szalonego zamiaru, wyzbądź się chęci posiadania trzech dziwów nad dziwy, nie zbliżaj się nawet do Góry-Cmentarnicy! Co prędzej wracaj do domu i zapomnij o dębie-samograju, o strudze-złotosmugiej i o ptaku Bulbulezarze.

Uśmiechnął się Bachman i odpowiedział:

— Derwiszu, derwiszu, próżne twe przestrogi! Już się nie zawrócę z tej zakłętej drogi! Dojdę aż do szczytu Góry-Cmentarnicy i zdobędę dziwy, pełne tajemnicy!

Wskoczył Bachman na siodło za jednym podskokiem, wokoło wesoło spojrział mężnym okiem, derwiszowi staremu grzecznie się uklonił, ściągnął cugle<sup>44</sup> złociste, ostrogą zadzwonił, rzucił kulę przed siebie — a ta kula złota potoczyła się sama, jak żywa istota.

Potoczyła się kula po drodze, połyskując w słońcu. Bachman konno w ślad za nią pędził. Coraz szybciej toczyła się kula, coraz szybciej biegł za nią koń bułany, i coraz szybciej zbliżał się Bachman do celu swojej podróży.

Zbliżał się i zbliżał, aż wreszcie ujrzał w oddali Górę-Cmentarnicę. Ujrzał Górę-Cmentarnicę i zawołał radośnie!

— Tocz się, tocz się, kulo złota! Biegnij, koniu mój bułany! Gwiazda w niebie już migota, wieją zmierny i tumany! Dziś, nim nocne przyjdą chmury, chcę już być na szczycie góry!

Ledwo tych słów domówił — a kula potoczyła się do stóp Góry-Cmentarnicy i nagle znieruchomiała. Zeskoczył Bachman z konia, a koń bułany stanął, jak wryty. Niewidzialne moce kazały mu tak stać i czekać na powrót swego pana.

Bachman zbliżył się do Góry-Cmentarnicy i od razu spostrzegł ścieżkę-złotobrzeżkę, która w zmiernym wieczornym tliła się złościście dziwnym gromnicznym światłem.

Nieustraszony Bachman wstąpił na ścieżkę-złotobrzeżkę i tą ścieżką jął się wspinać pod górę. Wspinał się i wspinał, szedł i szedł coraz wyżej, coraz chyżej, aż wreszcie ścieżka-złotobrzeżka rozszerzyła się w drogę obszerną, w drogę przestronną.

Mrok nocny już zapadł. Cicho było i bezludnie na drodze obszernej, na drodze przestronnej. Ani żywego ducha, ani wietrzyka w przelocie! Nawet komar, nawet mucha nie zabrękały w tej martwocie! Martwo i pusto i straszno i bezludnie.

Pomimo mroku nocnego dojrzał Bachman po obu stronach drogi nieruchome posągi — kamienne dziwolągi. Byli to rycerze żywi, w martwy kamień zakłęci. Chcieli dotrzeć do szczytu Góry-Cmentarnicy, aby zdobyć trzy dziwy, trzy cuda — lecz nie dotarli: za siebie się obejrzeli — i w posągi skamienieli.

Cień

Strach, Czary, Dźwięk,  
Ciemność, Kuszenie, Duch

<sup>44</sup>cugle — wodze; pasy do kierowania koniem. [przypis edytorski]

Stał jeden obok drugiego, posąg obok posągu, dziwołag obok dziwołagu. Długie cienie padały od nich na drogę, tak że Bachman, idąc po drodze, następował na te cienie co chwila, następował, nadeptywał — lecz podróży nie przerywał.

Szedł dalej śmiało i odważnie. Dotąd nie słyszał żadnych głosów i nie spotkał żadnych strachów. Aż tu nagle poczuł, że się coś za nim porusza... O mało się nie obejrzał za siebie, lecz natychmiast przypomniał sobie radę derwisza, więc uśmiechnął się i szedł dalej. Coś się znów za nim poruszyło i zbliżyło się z tyłu do jego stóp... Zdawało się Bachmanowi, że ktoś niewidzialny schwył go nagle za stopy... Szedł jednak dalej, nie oglądając się za siebie. W tej chwili posłyszał za sobą Szept i Wrzask.

— Zabiję cię, zabiję! — wrzeszczał Wrzask.

— Zatrzymaj się, nie idź dalej! — szeptał Szept.

Bachman zadrżał — ale się nie obejrzał.

— Wolalbym mieć do czynienia z widzialnymi strachami, niż z niewidzialnymi — pomyślał, blednąc na twarzy. — Najstraszniej jest wówczas, gdy się słyszy z tyłu, za plecami, czyjś Szept i Wrzask, a nie widzi się tego, kto szepcze i wrzeszczy.

Zaledwo to pomyślał, uczuł Dech martwy, Dech trupi za plecami.

— Już go dotykam, już go owiewam! — dyszał Dech.

Mróz przeszedł po kościach Bachmana, zimny pot wystąpił mu na czoło. Długie cienie posągów wydłużyły się jeszcze bardziej pod jego stopami. Mrok nocny jeszcze bardziej pociemniał. Na drodze obszernej, na drodze przestronnej pusto było i bezludnie. Żadnych kształtów, żadnych postaci — nic, prócz Szeptów i Wrzasków, i martwych Oddechów.

— To on, to on! Chwytaj go, chwytaj! — wrzeszczał Wrzask, coraz bardziej zbliżając się do Bachmana.

— Uciekaj, póki czas! Strzeż się pogoni! — szeptał Szept i też się zbliżył z tyłu do Bachmana.

Bachman zrobił kilka kroków naprzód, nie oglądając się za siebie, lecz w tej chwili posłyszał za sobą stąpanie czyichś nóg, które biegły ku niemu.

— Chwytaj go, chwytaj! — wrzeszczał Wrzask.

— Zginąłeś, zginąłeś! Nie ujdiesz pogoni! — szeptał Szept.

I posłyszał Bachman za sobą drugie i trzecie stąpanie, a potem głuchy odgłos tysiąca rozbieganych stóp... Niewidzialna pogoń zbliżała się ku niemu. Tysiące stóp biegło i pełzło ze zgiełkiem, szmerem i tętentem. Coraz bliżej, coraz chyżej... Słyszał je tuż za sobą o krok, o pół kroku... I uczuł nagle tuż za plecami ruch i rozruch tysiąca niewidzialnych, tajemniczych rąk, które się kłębiły i prężyły, i wyciągały ku niemu, aby go pochwycić. Czyje to były ręce? Do kogo należały? Kto je wyciągał? Kto chciał nimi pochwycić Bachmana? Co za postacie, co za potwory kłębiły się za jego plecami? Jakie oczy, jakie twarze miały te potwory? — Lecz nie widać było twarzy i nie widać było oczu, jeno słyhać było wraży<sup>45</sup> tętent, zgiełk i szmer w pomroczu!

I nie widać było rąk, jeno słyhać było — ruch! Niewidzialne czary wkrąg! Niewidzialny duch! A ręce się prężyły i wyciągały... Słyhać było, jak trzaskają w stawach — suche, kościste ręce. I zdawało się Bachmanowi, że już go dosięgają, dotykają, że za chwilę już go pochwycą...

Zachwiały się pod nim nogi, cała twarz zdrętwiała mu od strachu, serce w piersi zamarło. Otworzył szeroko przerażone oczy i obejrzał się za siebie...

Obejrzał się — i natychmiast skamieniał w posąg martwy. Długi cień od nowego posągu upadł na drogę obszerłą, na drogę przestronną i zmieszał się z cieniami dawnych posągów — kamiennych dziwołagów.

Cisza nagle zapanowała na Górze-Cmentarnicy.

Zamilkły Szepty i Wrzaski, i Tętenty, i Stąpania.

Pierzchła wszelka złuda — skończyły się cuda. Po skończonym cudzie — pustka i bezludzie. Ani żywego ducha, ani wietrzyka w przelocie! Nawet komar, nawet mucha nie zabrękleły w tej martwocie.

\*

<sup>45</sup>wraży — wrog, nieprzyjazny. [przypis edytorski]

Tymczasem w pałacu Parysada i Perwic niecierpliwie wyczekiwali powrotu Bachmana. Przez dni dwadzieścia co dzień wieczorem, gdy słońce zaszło za borem, Parysada ze srebrnej pochwy wyjmowała sztylet złoty i przyglądała się uważnie jego ostrzu. Przez dni dwadzieścia ostrze było czyste, połyskliwe i złociste, więc Parysada z uśmiechem mówiła do Perwica:

— Brat nasz zdrow i żyw i nic mu się złego nie stało.

Nadszedł dzień dwudziesty pierwszy. Minął świt, minęło południe i nastąpił wieczór. Słońce zaszło za borem, i Parysada, jak zazwyczaj, obnażyła sztylet złoty, aby się przyjrzeć jego ostrzu.

Przyjrzała się i pobladła.

— Perwicu! — szepnęła głosem drżącym. — Na ostrzu krwi kropla nagle się zjawiała, sztylet zardzewiała! Brat nasz Bachman zginął gdzieś w kraju nieznanym i już nie powróci na koniu bułanym! Płakałabym chętnie, płakałabym rada, lecz nie umiem płakać, choć płakać wypada. Grób dla mnie wyoraj w samym środku świata! Miałam brata wczoraj — dzisiaj nie mam brata! Nie mam ani brata, ani dęba-samograja, ani strugi-złotosmugiej, ani ptaka Bulbulezara!

— Nie narzekaj, siostrzo, nie załamuj dłoni! Konik mój cisawy wart stu innych koni! Poleć ją na nim choćby na skraj świata. Zemszczę się co prędzej za śmierć mego brata! Przyjadę z powrotem krwawy, ale żywy — przywiozę ci w darze trzy cuda, trzy dziwy!

— Nie puszczę cię, Perwicu, nie puszczę! — zawołała Parysada. — Zginiesz tak samo, jak zginął Bachman. Nie znasz niebezpieczeństw, które czyhają na ciebie po drodze zakłętej. Jesteś teraz jedynym moim bratem. Zostań w domu, zostań w domu! Wolę się wyrzec trzech dziwów, niż stracić ciebie!

— Zostałbym w domu, gdybym był pewien, że możesz się obejść bez dęba-samograja, bez strugi-złotosmugiej i bez ptaka Bulbulezara. Lecz widzę ja dobrze, że pragniesz tych trzech dziwów. Wolisz je mieć, niż nie mieć. Wolisz je posiadać, niż nie posiadać.

— To prawda, że wolę je mieć, niż nie mieć. I to prawda, że wolę je posiadać, niż nie posiadać. Nie chcę jednak dla pozyskania tych dziwów narażać twego życia.

— Nie chcesz narażać mego życia, ale chcesz pozyskać te dziwy — rzekł z uśmiechem Perwic.

— To prawda, że chcę pozyskać te dziwy — szepnęła Parysada. — Brak mi ich tak bardzo, że rady sobie dać bez nich nie mogę! To mi brak dęba-samograja, to znów strugi-złotosmugiej, to znów ptaka Bulbulezara. Najczęściej jednak brak mi ptaka. Nie widziałam go na oczy, a brak mi go na niewidziane. Wczoraj dzień cały chodziłam z kąta w kąt po pokoju i wciąż powtarzałam: Bulbulezar, Bulbulezar, Bulbulezar — a dziś w nocy śnił mi się właśnie Bulbulezar. Dziób otwierał, mrugał okiem i poważnym chodził krokiem.

— Trudno! — zawołał Perwic. — Jeśli sam Bulbulezar we własnej osobie śnił ci się dzisiaj w nocy, muszę ci go dostarczyć. Natychmiast konia osiodłam i w drogę wyruszę dziś jeszcze.

Pobiegł Perwic na podwórze, osiodłał konia cisawego i stanął konno przed pałacem, aby się z siostrą pożegnać. Parysada wspięła się na palcach, żeby się z bratem na pożegnanie pocałować, a on tymczasem wyjął z zanadru różaniec perłowy, podał jej i rzekł:

— Weź, Parysado, ten różaniec perłowy i co dzień o poranku przebieraj bez przestanku perły tego różańca. Dopóki się perły swobodnie na nici złotej przesuwać będą, dopóty wiedz, że jestem zdrow i żyw i nic mi się złego nie stało. Lecz, jeśli perły stężeją i wzajem się szepią, i bez ruchu do złotej nici się przysklepią, tak że nie będziesz ich mogła przesuwać, wówczas wiedz, że zginąłem w nieznanym ustroniu i że już nie wrócę na cisawym koniu.

Ściągnął Perwic cugle, spiął konia ostrogą i pojechał przed się — tajemniczą drogą.

Jechał, kroku nie zwalniając, ani z drogi nie zbaczając. A droga była zakłęta, sennym zielem porośnięta, pełna ciszy i milczenia i dziwnego przeznaczenia.

Po dniach dwudziestu jazdy nieustannej ujrzał Perwic skałę, a pod skałą źródło.

Zeskoczył z konia i stanął koło źródła, pod skałą. Ledwo stanął — a natychmiast z lasu wyszedł mu na spotkanie derwisz stary.

Wiadomość, Łzy, Żaloba

Pokusa, Niebezpieczeństwo

— Jestem zmęczony, jestem znużony, jestem strudzony! — wołał derwisz. — Już trzysta trzydzieści trzy lata trwam na tym świecie, i nie mogę zasnąć snem wiekiustym, ani odpocząć w ciszy mogilnej! Duchy niewidzialne każą mi żyć i czuwać w pobliżu tej skały, abym młodym szaleńcom wskazywał drogę do trzech dziwów zaklętych!

— Derwiszu! — zawołał Perwic. — Chcę właśnie prosić o wskazanie mi tej drogi!

— Szaleńcze! — odrzekł derwisz. — Chcesz zginąć, jak zginęli inni, którzy tam poszli? Niedawno pewien młody rycerz, nie słuchając mych przestroż, udał się w tę podróż niebezpieczną i już nie powrócił. Zginął, jak zginęli inni, chociaż się zdawał śmiały i odważny!

— To był mój brat! — szepnął Perwic. — Żadne przestrogi nie odwiodą mnie od moich zamiarów! Pójdę w ślady mego brata. Może mi się uda jeszcze wyratować go lub zemścić się za śmierć, jeśli go śmierć spotkała! Nie mam czasu do stracenia, nie chcę zwłoki, ni wychnienia! Wskaż mi drogę, starcze siwy, między cuda, między dziwy!

Derwisz wyjął złotą kulę z torby, którą miał u pasa, podał kulę Perwicowi i powiedział mu słowo w słowo to samo, co niegdyś Bachmanowi.

Dosiadł Perwic konia, rzucił przed siebie kulę złotą i popędził w ślad za nią.

Potoczyła się kula po drodze, po piasku, połyskując co chwila w słonecznym rozblasku.

Toczyła się tak długo, aż się wreszcie przytoczyła do podnóża Góry-Cmentarnicy — i znieruchomiła.

Zeskoczył Perwic z konia na ziemię — a koń, jeźdźca pozbyty, stanął w miejscu, jak wryty.

Tuż obok u stóp Góry-Cmentarnicy stał koń bułany i czekał na powrót Bachmana.

— Poznaję cię, koniu bułany, wierny koniu mego brata! — zawołał Perwic. — Stójże tu obok mego, cisawego, i czekaj cierpliwie, aż przyjdę z powrotem i powiem ci, co się z panem twoim stało!

Już zmierzch upadł na ziemię. Pierwsza gwiazda błysła w błękicie. Perwic od razu znalazł ścieżkę-złotobrzeżkę, która tliła się w zmierzchu światłem pożłocistym. Ścieżką-złotobrzeżką wkroczył na Górę-Cmentarnicę i szedł mężnie, szybkim krokiem, dziwną ścieżką mierząc okiem.

Wkrótce ścieżka-złotobrzeżka rozszerzyła się w drogę obszerną, w drogę przestronną. Po obu stronach drogi stały w ładzie i bezładzie posągi — kamienne dziwolągi. Długie cienie padały od posągów na drogę. Perwic szedł po tych cieniach, co mu się kładły pod stopy. Szedł i powtarzał w duchu:

— Choćby piorun strzelił w niebie — nie obejrzę się za siebie!

Ledwo w myśli domówił tych słów — a nagle tuż za nim uderzył piorun niespodziany. Echo powtórzyło głuchy łoskot piorunu. Uśmiechnął się pod wąsem Perwic i pomyślał:

— Nie nastraszą mnie takie strachy, nie ulękną mnie takie lęki! Nie boję się piorunów! Szkoda tylko, że noc taka ciemna. Pies by się zabłąkał w takiej ciemności.

Ledwo Perwic słowo: pies — w myśli domówił — a natychmiast usłyszał za sobą szczekanie i wycie.

— Cóż to za psy-przybłądy włóczą się po Górze-Cmentarnicy? — pomyślał Perwic. — Zdawało mi się, że na tej górze kryją się nie psy, lecz smoki, które miauczą po kociemu, zgrzytają zębami, szumią skrzydłami i spadają niespodzianie na kark przechodniom, aby z nich wyssać krew całą.

Ledwo to pomyślał — a nagle coś w pobliżu zamiauczało po kociemu, zazgrzytało zębami i zaszumiło skrzydłami tuż nad jego karkiem. Wszakże Perwic nie obejrzał się za siebie i szedł śmiało dalej.

— Nie boję się smoków! — powiedział głośno. — Gdybym miał przy sobie strzelbę, chętnie bym takiego smoka upolował!

Ledwo słowo: strzelba — wymówił, a usłyszał za sobą Głos i Odgłos.

— Czy masz strzelbę przy sobie? — mówił Głos.

— Mam! — odpowiedział Odgłos.

— Nabij ją, a dobrze! — mówił Głos.

— Już nabiłem — odpowiedział Odgłos.

— Czy widzisz tego śmiałka, co kroczy dumnie po Górze-Cmentarnicy? — mówił Głos.

Strach, Odwaga, Kuszenie,  
Duch  
Piorun



— Widzę — odpowiedział Odgłos.  
— Wymierz mu lufą w same plecy! — mówił Głos.  
— Już wymierzyłem! — odpowiedział Odgłos.  
Dreszcz zimny przebiegł po plecach Perwica.  
— Strzelaj, bo już czas! — zawołał Głos.

Rozległ się wystrzał tak potężny, że powietrze zadygotało, rwąc się niby w strzępy. Perwic uczył, jak kula, o mało weń nie trafiwszy, świsnęła mu tuż nad uchem i zaryła się opodal w ziemię.

Nie obejrzał się Perwic za siebie i szedł dalej. Zaczął nawet drwić głośno z tych strachów niewidzialnych.

— Hej, wy tam, za mną, zakłęci i niewidzialni! — zawołał dumnie. — Kryjcie się za moimi plecami, zamiast spotkać się ze mną oko w oko! Nie umiecie strzelać! Nie trafiliście we mnie! Jestem żywy i zdrowy! Daleka jeszcze ta chwila, gdy trzeba będzie grób dla mnie kopać!

Głos i Odgłos zbliżyły się naraz do Perwica.

— Czy masz motykę? — mówił Głos.  
— Mam — odpowiedział Odgłos.  
— Kopmy dół dla tego śmiałka, bo już czas! — mówił Głos.  
— Kopmy, kopmy! — odpowiedział Odgłos.

Perwic posłyszał za sobą głucho uderzenia motyki.

— Nie przestraszy mnie wasza motyka, duchy niewidzialne! — zawołał gniewnie. — Wiem, że dopóty nic mi złego zrobić nie możecie, dopóki nie obejrzą się za siebie. Otóż przysięgam wam, moce niewidzialne, że nie obejrzą się, choćbyście największą skalę z gór wierzchoła stoczyły na mnie tak, że czułbym za plecami zbliżający się co chwila jej ciężar i ogrom, który śmiercią grozi każdemu, kogokolwiek spotka na drodze.

Zaśmiał się Głos, odeśmiał się Odgłos.

— Widzisz skalę na wierzchole? — mówił Głos.

— Widzę — odpowiedział Odgłos.

— Zwał ją tak z wierzchoła, aby się potoczyła po drodze i ugodziła w plecy tego śmiałka! — zawołał Głos.

— Już jestem na wierzchole! — odpowiedział Odgłos. — Jużem skalę z posad ruszył<sup>46</sup>! Jużem stoczył ją na drogę!

W tej chwili Perwic posłyszał, jak olbrzymia skała z gruchotem i łoskotem tysiąca piorunów zerwała się z wierzchoła góry i potoczyła po drodze. Ziemia pod nią zadudniła, zachwiały się wokół posągi — kamienne dziwolągi, a skała, grzmiąc, toczyła się z niepowstrzymaną siłą, z niepowściągniętym rozpędem. Toczyła się, zmiatając i miażdżąc po drodze wszystko, cokolwiek spotkała. — Tak się przynajmniej zdawało Perwicowi.

I nie widział Perwic skały i nie patrzył w jej ogromy, jeno w uszach mu huczały jej łoskoty, niby gromy!

Uszy jego napełniły się takim hukiem, że o mało nie stracił przytomności. Uczuł nagle rozpędzoną skalę tuż za sobą. Jeszcze chwila — a uderzy go i zmiażdży na miejscu! Nie wytrzymał Perwic i obejrzał się za siebie, aby zawczasu w bok odskoczyć i uniknąć uderzenia skały. Obejrzał się — i natychmiast w posąg martwy skamieniał.

Długi cień od nowego posągu upadł na drogę obszerną, na drogę przestronną i zmieszal się z cieniami innych posągów — kamiennych dziwolągów.

Cisza nagle zapanowała na Górze-Cmentarnicy. Zamilkły Głosy i Odgłosy i łoskot skały. Zamilkło wszystko, co nie było milczeniem. Ucichło wszystko, co nie było ciszą. Pierzchnęła wszelka złuda — skończyły się cuda. Po skończonym cudzie — pustka i bezludzie. Ani żywego ducha, ani wietrzyka w przelocie! Nawet komar, nawet mucha nie zabrzękły w tej martwocie.

\*

<sup>46</sup>jużem ruszył, jużem stoczył — dziś: już ruszyłem, już stoczyłem. [przypis edytorski]

Tymczasem w samotnym pałacu Parysada niecierpliwie wyczekiwała powrotu Perwica. Przez dni dwadzieścia co dzień o poranku przebierała bez przestanku różaniec perłowy. Lecz przez dni dwadzieścia perły różańca przesunęły się swobodnie na nici złotej. Wówczas Parysada mówiła z uśmiechem radosnym:

— Perwic zdrow i żyw i nic mu się złego nie stało!

Nadszedł dzień dwudziesty pierwszy. Pochwyciła Parysada różaniec, aby perły przesunąć — lecz nadaremnie!... Perły stężyły, wzajem się szepiły i na złotej nici nieruchomo tkwiły. Próżno Parysada targała perłę za perłą, próżno starała się przesunąć je po dawnemu! Ani jedna perła nie poruszyła się na złotej nici!

Zbladła Parysada, załamała ręce i rzekła do siebie w żalości i w męce:

— Brat mój Perwic zginął w nieznanym ustroniu i już nie powróci na cisawym koniu! Plakałabym chętnie, plakałabym rada, lecz nie umiem płakać, choć płakać wypada. Kto na lzy czas traci, ten zna tylko żale. Po tropach mych braci pojedę w oddale. Wszak mój konik siwy rączo mnie poniesie przez pola, przez niwy, po jarach, po lesie!

Pobiegła Parysada na podwórze, osiodłała konia siwego i na koniku siwym popędziła drogą zakłęta, sennem zieleń porośniętą, pełną ciszy i milczenia i dziwnego przeznaczenia.

Biegnie konik siwy, wiatr mu grzywę czesze, a on podkówkami skry po drodze krzesze. Noc za nocą mija, dzień za dniem przepada — nie czuje zmęczenia piękna Parysada.

Przez dni dwadzieścia jechała Parysada, ani kroku nie zwalniając, ani z drogi nie zbaczając.

Po dniach dwudziestu ujrzała przed sobą skałę, a pod skałą źródło.

Zeskoczyła z konia i stanęła przy źródle, pod skałą. Ledwo stanęła — a natychmiast z lasu wyszedł jej na spotkanie derwisz stary.

— Jestem zmęczony, jestem znużony, jestem strudzony! — wołał derwisz. — Trzysta trzydzieści trzy lata żyję na świecie, i nie wolno mi zasnąć snem wiekuistym i nie wolno mi odpocząć w ciszy mogilnej! Dziś właśnie dzień mych urodzin, a jutro dzień mych imienin. Straciłem od dawna ojca i matkę i straciłem od dawna pamięć, więc nie pamiętam, o której godzinie na świat przyszedłem, i nie pamiętam, jak mi na imię! Czy los zlituje się nade mną w dniu mych urodzin lub w dniu mych imienin i czy pozwoli mi nareszcie umrzeć, jak innym ludziom pozwala? Czy też będę musiał nadal istnieć i trwać, i czuwać, i wskazywać młodym szaleńcom drogę do trzech dziwów, ukrytych na szczycie Góry-Cmentarnicy?

— Derwiszu! — zawołała Parysada. — Chcę cię właśnie prosić, abyś mi wskazał tę drogę!

— Dziewczyno szalona! — rzekł derwisz. — Nigdy jeszcze żadna kobieta nie ośmieliła się w taką podróż wyruszyć! Tysiące rycerzy zginęło tam bez wieści, a ty, dziewczyno słaba i niedoświadczona, chcesz iść w ich ślady? Niedawno poszli tam dwaj młodzieńce i już nie powrócili.

— To na pewno moi bracia! — rzekła Parysada. — Daremne twe przestrogi, derwiszu. Nikt i nic nie odmieni mego postanowienia! Daj mi lepiej rady i wskazówki, abym mogła uniknąć niebezpieczeństw.

— Widzę, że nie odwiode cię od twoich zamiarów — rzekł derwisz. — Wolę więc wspomóc cię radami i wskazówkami. Słuchaj tedy uważnie!

I derwisz słowo w słowo opowiedział Parysadzcie to samo, co Bachmanowi i Perwicowi. Wyjął wreszcie złotą kulę z torby, którą miał u pasa, i podał kulę Parysadzcie.

Parysada wzięła kulę i rzekła:

— Derwiszu, czy nie masz przypadkiem waty w swej torbie?

— Mam — odpowiedział derwisz.

— Daj mi spory kawał waty, bo mi się przyda.

Derwisz podał jej watę i spytał zdziwiony:

— Na cóż ci się przyda wata w tej podróży?

Uśmiechnęła się Parysada i odrzekła:

— Wszak sam mówisz, że czeka mnie walka z duchami niewidzialnymi. Duchom tym nie wolno przybrać żadnych kształtów, nie wolno zjawić się w postaci potworów lub strachów widomych. Nie mogą one przestraszyć moich oczu, jeno mogą przerazić moje

Starość, Przemijanie,  
Obowiązek, Zmęczenie

Kobieta

Odwaga, Podstęp

uszy, szeptami i wrzaskami będą się starały zmusić mnie do tego, abym się obejrzała za siebie.

Pozatykam wata uszy — wata wszelkie wrzaski zgłuszy. Może mi się wówczas uda zdobyć trzy na Górze cuda, i może dowiem się, co się stało z moimi braćmi.

— Jesteś mądra i domyślna — rzekł derwisz. — Niech los ci sprzyja.

Parysada dosiadła konia i rzuciła przed siebie kulę złotą. Toczyła się kula tak długo, aż stanęła wreszcie u podnóża Góry-Cmentarnicy.

Parysada zeskoczyła z konia, rzucając mu cugle swobodnie. Koń stanął, jak wryty, obok dwóch innych koni, które Parysada natychmiast poznała.

— Stójże, mój koniku siwy, obok bułanego. A niech zaś bułany stoi obok cisawego. Może wrócę z moimi braćmi, wodą was napoję! Trzy potrzebne są rumaki tam, gdzie jeźdźców troje!

Zmierch już zapadał. Pierwsza gwiazda błysnęła w niebiosach. Parysada mocno zatkała uszy wata i spojrzała wokół. Od razu spostrzegła ścieżkę-złotobrzeżkę, która się tliła w zmierzchu światłem pozłocistym. Po ścieżce-złotobrzeżce wstąpiła Parysada na zbocze Góry-Cmentarnicy i poszła śmiało przed siebie, coraz wyżej, coraz chyżej, dumając na przemian to o trzech dziwach, to o dwóch braciach.

Wkrótce ścieżka-złotobrzeżka rozszerzyła się w drogę obszerną, w drogę przestronną.

Cicho było i bezludnie na drodze obszernej, na drodze przestronnej. Ani żywego ducha, ani wietrzyka w przelocie! Nawet komar, nawet mucha nie zabrzękły w tej martwocie. Martwo, i pusto, i straszno, i bezludnie!

Po obu stronach drogi w ładzie i bezładzie stały i sterczały posągi — kamienne dziwolągi. Stał jeden obok drugiego, posąg obok posągu, dziwoląg obok dziwolągu. Długie cienie padały od nich na drogę. Parysada szła po tych cieniach, które jej się kładły pod stopy. Szła i myślała:

— Może wśród tych posągów są i obydwaj bracia moi, w martwy kamień zakłęci? Stoją na Górze-Cmentarnicy i kamiennymi oczyma patrzą przed siebie. Lecz kamienne oczy zobaczyć nie mogą siostry, która kroczy niebezpieczną drogą. A kamienne wargi nie mają tej mocy, aby, głosząc skargi, wołać ku pomocy! Stoi głaz przy głazie i ślepy, i głuchy, a naokół krążą niewidzialne duchy!

Tak myślała Parysada, idąc po drodze obszernej, po drodze przestronnej. Postrzegły<sup>47</sup> ją od dawna duchy niewidzialne i zaczęły się naradzać, jakimi szeptami i wrzaskami, i głosami, i odgłosami przerazić mają tę śmiałą dziewczynę? Jaką zmorą ją zmorzyć? Jaką trwogą zatrzwożyć? Jakim skokiem zaskoczyć? Jakim mrokiem zamroczyć.

Naradziły się, namyśliły się i zaczęły straszyć Parysade. Straszły ją krzykiem i węzowym sykiem, i płaczem, i śmiechem, i martwym oddechem, szmerem i tętentem, groźbą i lamentem, szelestem i trzaskiem, wystrzałem i wrzaskiem, skomleniem, szczekaniem i nawoływaniem, jękiem i loskotem, piorunem i grzmotem! Straszły ją długo i pracowicie, i niezmordowanie, i przebiegle!... Lecz próżne były ich wysiłki! Próżna było ich praca niewidzialna i przebiegłość czarnoksięska! Parysada nic nie słyszała. Miała waty pełne uszy, a zaś męstwo miała w duszy. Szła dalej po drodze obszernej, po drodze przestronnej, szła w zakłętę, obce światy, nie wyjmując z uszu waty. Szła noc całą bez ustanku aż do świtu, do poranku. Świt zaświtał, błękit zablękitniał, rosa kwiaty zrosiła, w słońcu się zasrebrzyła.

Doszła Parysada aż do szczytu Góry-Cmentarnicy. A na samym szczycie — czarodziejskie życie! Pogoda i wiosna, i bajka radosna!

Spojrzała Parysada w pogodę i wiosnę, i w bajkę, ukrytą na szczycie Góry-Cmentarnicy. Spojrzała — i natychmiast postrzegła cokół marmurowy. A na tym cokole mech porastał z rzadka, a na mchu tym stała pozłocista klatka. W klatce siedział ptak Bulbulezar.

Skrzydła miał pawie, szyję — łabędzią, dziób — bociani, pazury — sępie, a oczy — jaskółcze. Dziobem ciągle poruszał, skrzydła ciągle napuszał, a pazury zaciskał, a oczyma połyskał.

Podbiegła Parysada do Bulbulezara i wzięła klatkę do ręki. Watę z uszu wyrzuciła i do ptaka przemówiła:

<sup>47</sup> *postrzec* (daw.) — *spostrzec*, *zauważyć*. [przypis edytorski]

Koń

Czary, Bezsilność

Zwycięstwo, Duch, Strach

Ptak, Sluga

— Jestem teraz twoją panią, a ty — moim sługą. Każdy mój rozkaz spełniać musisz. Już się nie lękam duchów niewidzialnych, bo nie mają władzy nad tym, kto posiada twoją klatkę pozłocistą, a w klatce ciebie, dziwaczny Bulbulezarze!

— Jestem twoim sługą, a ty — moją panią! — odpowiedział Bulbulezar. — Każdy twój rozkaz będę spełniał niezwłocznie. Musisz mi tylko dostarczać dużo wonnego tytoniu, gdyż pasjami lubię palić fajkę, którą ukrywam zazwyczaj pod skrzydłem. Jest to jedyny mój nałóg. Zresztą nie mam innych nałogów, przywar, nawyknień i wybryków. Na dowód przyjaźni opowiem ci natychmiast najpiękniejszą i najstraszniejszą bajkę.

Bulbulezar się nasrożył, błysnął okiem, dziób otworzył, głosem ludzkim zaczął gadać, bajkę-straszkę opowiadać. Szeptał, sykał, ślepie mrużył, długą bajkę coraz dłużył... A gdy wreszcie skończył bajkę, wnet spod skrzydła wyjął fajkę, przestał gadać, szeptać, sykać — począł dumnie fajkę pykać.

— Dość tych bajek! — zawołała Parysada. — Dość gadania i gędzenia! Nie mam czasu do stracenia! Wskaż mi natychmiast drogę do dęba-samograja.

Poszła Parysada przed siebie, trzymając klatkę w ręku, a Bulbulezar drogę jej wskazywał.

Wkrótce zobaczyła nad przepaścią, nad otchłanią dęb olbrzymi liściem gęsto porośnięty. Był to dąb-samograj. Dąb bez wiatru się zachwiewał, lecz nie szumiał, jeno śpiewał. I nie śpiewał, jeno grał, jakby w sobie harfę miał. Płynął wokół dźwięk harfiany, rozedrgany, rozśpiewany, rozedrgany gałęziście, rozśpiewany poprzez liście.

Zasłuchała się Parysada w harfiane dźwięki dęba-samograja i długo, długo nie mogła się ich nasłuchać, nie mogła się nimi nacieszyć. Otrząsnęła się wreszcie ze swego zasłuchania i rzekła:

— Dość tych śpiewów i dzwonienia! Nie mam czasu do stracenia! Naucz mnie, Bulbulezarze, jak mam ten dąb przenieść ze szczytu Góry-Cmentarnicy do mego ogrodu. Czy mam go wykopać? Czy zrębać toporem? Czy piłą przepiłować?

— Ani wykopać, ani zrębać toporem, ani piłą przepiłować — odpowiedział Bulbulezar. — Zerwij z niego jedną, małą gałązkę i zasadź ją w swoim ogrodzie. Gałązka natychmiast rozrośnie się w dąb taki sam, jak ten, który tu widzisz przed sobą.

Zerwała Parysada gałązkę małą z dęba-samograja i schowała ją w zanadrze.

— Powiedz mi teraz, Bulbulezarze, gdzie się znajduje struga-złotosmuga?

Bulbulezar wskazał drogę, i Parysada wkrótce doszła zboczem Góry-Cmentarnicy do polany-samotnicy.

A na tej polanie — słoneczne świtanie, a w środku polany — basen cembrowany, a w tym basenie — struga złotosmuga.

Podbiegła Parysada do basenu i zajrzała ciekawie do wnętrza. A w tym wnętrzu struga-złotosmuga jarzyła się, iskrzyła się i tryskała w błękitny złocistym strumieniem. Wybiegał strumień ku górze, rozpryskiwał się w lazurze i do basenu z powrotem opadał skroplonym złotem, opadał perlistym deszczem, wstrząsany wiatrem i dreszczem.

Zapatrzyła się Parysada w strugę-złotosmugą i nie mogła się na nią napatrzeć, ani dość się nadziwić, ani się nacieszyć jej widokiem.

Otrząsnęła się wreszcie ze swego zapatrzenia i rzekła:

— Dość tych cudów i patrzenia! Nie mam czasu do stracenia! Naucz mnie, Bulbulezarze, jak mam tę strugę-złotosmugę przenieść z Góry-Cmentarnicy do mego ogrodu. Czyli mam basen cały z ziemi wyrycić? Czyli tysiącem dzbanów wodę z niego wyczerpać?

— Ani basenu z ziemi wyrycić nie potrzeba, ani dzbanów tysiącem wody z niego wyczerpać! — odpowiedział Bulbulezar. — Zerwij dzwonek błękitny, co pod basenem rośnie. Napelnij ten dzwonek wodą po brzegi — woda się z dzwonka nie wyleje. Śmiało więc schowaj go w zanadrze. Gdy wrócisz do domu, każesz w swoim ogrodzie inny basen wymurować i naokół ocembrować. Wylejesz wodę z dzwonka do basenu, a odrobina tej wody natychmiast pocznie wzbierać i napelni twój basen po brzegi.

Zerwała Parysada dzwonek błękitny, napelniła go wodą z basenu i schowała w zanadrze.

— Teraz mi powiedz, Bulbulezarze, co mam uczynić, aby posągom kamiennym życie dawne powrócić?

— Obejrzyj się za siebie! — rzekł Bulbulezar.

Drzewo, Muzyka, Czary

Woda, Czary

Obejrzała się Parysada i zobaczyła krzak różany, a w tym krzaku dzban zielony.

— Weź dzban zielony z różanego krzaka — mówił dalej Bulbulezar. — Dzban ten jest pełen soków żywicznych. Sokiem żywicznym skrop posągi kamienne, a ożyją wszystkie i w rycerzy się zamienią.

Pochwyciła Parysada dzban zielony i pobiegła na drogę obszerną, na drogę przestronną, gdzie stały posągi — kamienne dziwołagi. W jednym ręku dzban trzymała, a w drugim klatkę z Bulbulezarem.

Na drodze obszernej, na drodze przestronnej stoją posągi nieruchome. Sen je zdjął kamienny, sen zakłęty, sen niezwalczony.

Biegnie Parysada ku posągom i skrapia je po kolei sokiem żywicznym z zielonego dzbana. Sok żywiczny ścieka po kamieniu. Kamień się porusza — ożywa w nim dusza. Budzi się posąg za posągiem, dziwołag za dziwołagiem. Budzi się i wzdycha, ze snu się otrząsa, w rycerza się zmienia i pokręca wąsa. I pokręca wąsa, i unosi czoła, i coś przypomina, patrząc dookoła!

Już tysiące posągów pokropiła Parysada sokiem żywicznym. Obudziły się wszystkie ze snu kamiennego. Zaroił się tłum rycerzy na drodze obszernej, na drodze przestronnej... Zaroili się, zamyślili się o tym, co się z nimi działo. Wspominali dni minione, wspominali sny prześnione i kamienne odrętwienie, i cudowne przebudzenie.

Parysada podeszła do dwóch posągów, które stały jeden obok drugiego, spojrzała na nie i rzekła:

— Posąg przy posągu, głaz przy głazie stoi... Serce mówi do mnie, że to bracia moi!

Pokropiła Parysada sokiem żywicznym obydwu posągi — i obydwu drgnęły życiem od stóp do głów. Jeden się zamienił w Bachmana, a drugi w Perwica.

— Siostró nasza! — zawołali Bachman i Perwic, ujrawszy Parysadę. — Śniło się nam właśnie, że jesteśmy w domu razem z tobą, a tymczasem znajdujemy się na jakiejś górze nieznannej. Nie możemy przypomnieć, co się z nami działo? Nie możemy zrozumieć, co się z nami stało?

— Opowiem wam potem, co się z wami działo — odrzekła Parysada. — Spaliście snem kamiennym, a ja was zbudziłam.

— Cóż to za dziwnego ptaka masz w klatce? — spytał Bachman, spostrzegając klatkę złocistą w ręku Parysady.

— Jest to ptak Bulbulezar — odparła Parysada. Posłyszawszy to imię, Bachman i Perwic przypomnieli sobie wszystko od początku do końca — od chwili, gdy z pałacu wyruszyli w podróż zakłętą, aż do chwili, gdy pod wpływem strachów niewidzialnych obejrzel się za siebie.

— Parysado! — zawołał Perwic. — Domyślałam się, że zwyciężyłaś duchy niewidzialne i zawiadnęłaś trzema dziwami.

— Nie zadawajcie mi teraz żadnych pytań, bo nie mam czasu! — rzekła Parysada. — Jeszcze trzy ostatnie posągi czekają na ocknienie. Muszę je sokiem żywicznym pokropić.

Parysada zbliżyła się do trzech ostatnich posągów i pokropiła je sokiem żywicznym. Dwa się zbudziły i w rycerzy się zmieniły, lecz trzeci pozostał posągiem — kamiennym dziwołagiem.

— Bulbulezarze! — zawołała Parysada. — Czemuż ten trzeci posąg się nie zbudził, choć go pokropiłam sokiem żywicznym?

— Nie moja w tem wina, i nic na to poradzić nie mogę! — odrzekł Bulbulezar. — Tajemnicze losy wydały taki wyrok, iż tylko łzy twoje mogą ten posąg ze snu kamiennego obudzić.

— Nie umiem płakać — rzekła Parysada — nie mogę więc łzami go pokropić.

— Każ swoim braciom, aby ten posąg zanieśli do twego pałacu — odpowiedział Bulbulezar — postaw go w swoim pokoju, a może się uda kiedyś ze snu go obudzić.

— Bachmanie, Perwicu! — zawołała Parysada. — Na ramiona posąg weźcie i do pałacu zanieście.

Bachman i Perwic wzięli posąg na ramiona i stanęli gotowi do drogi.

Tymczasem ocknieni rycerze przypomnieli sobie wszystko od początku do końca, od chwili, gdy ze swych domów wyruszyli w podróż zakłętą, aż do chwili, gdy pod wpływem

Łzy

strachów niewidzialnych obejrzeni się za siebie. Domyślili się, że spali snem kamiennym, przemienieni w posągi, i że ich z tego snu zbudziła piękna Parysada.

Otoczyli więc kołem Parysadę i zaczęli jej dziękować pięknym słowem i ukłonem, i spojrzeniem zachwyconym.

— Mężni rycerze! — zawołała Parysada. — Nie traćcie czasu na słowa, na ukłony, na spojrzenia, na zachwyty! Sen kamienny minął i zły urok zginął! Wracajcie do swoich krajów i do swoich pałaców. I mnie i braciom moim też śpieszno do domu.

Nieliczony tłum rycerzy z Parysadą, Bachmanem i Perwicem na czele poczał schodzić z Góry-Cmentarnicy drogą obszerną, drogą przestronną.

Doszli wkrótce do ścieżki-złotobrzeżki i ścieżką-złotobrzeżką zsunęli się do podnóża Góry. U podnóża Góry pomiędzy drzewami i krzewami stały konie wierne, czekające na powrót swych panów. Parysada dawniej ich nie widziała, gdyż nazbyt była zajęta swoją podróżą. Teraz dopiero pomiędzy drzewami i krzewami ujrzała tysiące rumaków wiernych. Powsiadali rycerze na konie, pokłonili się raz jeszcze Parysadzcie i pomknęli — każdy do swego kraju, do swojej ojczyzny.

Zostały tylko trzy konie: bułany, cisawy i siwy. Dosiadła Parysada siwosza, a Bachman — bułanka, a Perwic — swego cisa.

Ruszyły konie z kopyta, kurz się zakłębił za nimi.

Bachman i Perwic wieźli na przemian posąg kamienny, a Parysada wiozła klatkę z Bulbulezarem.

Jechali, jechali, aż dojechali do tego miejsca, gdzie była skała, a pod skałą źródło. Koło źródła, pod skałą leżał trup derwisza. Był to właśnie dzień jego imienin. Po trzydziestu trzech latach daremnego wyczekiwania zasnął wreszcie snem wiekuistym. Parysada wraz z braćmi wykopała grób głęboki i pochowała derwisza, aby odpoczął w ciszy mogilnej.

Pochowawszy derwisza, wskoczyła na swego siwosza i popędziła dalej, a za nią popędził Bachman na bułanku i Perwic na cisie. Jechali — jechali, aż wreszcie dojechali do swego pałacu.

Natychmiast Parysada zasadziła w swym ogrodzie gałązkę dęba-samograja. Gałązka w jednej chwili urosła w dąb olbrzymi, który śpiewał, dzwonił, grał, jakby w sobie harfę miał.

Kazała potem Parysada wymurować basen w swym ogrodzie i przelała do basenu wodę z dzwonka błękitnego. Woda wezbrała, cały basen po brzegi wypełniła i trysnęła ku błękitom strumieniem pozłocistym.

Klatkę z Bulbulezarem postawiła Parysada na oknie swego pokoju, a obok okna umieściła posąg kamienny.

Wówczas dopiero opowiedziała Parysada swym braciom, jakim sposobem przedostała się na szczyt Góry-Cmentarnicy i jak ich ze snu kamiennego zbudziła.

Bracia pilnie słuchali jej opowiadania i otwierali oczy, i otwierali usta, i dziwili się, i nie mogli wyjść z podziwu.

— Jesteś mądra i odważna! — zawołali chórem. — Dumni jesteśmy z tego, że mamy taką siostrę!

Parysada odtąd często spoglądała na posąg kamienny w swoim pokoju i mówiła ze smutkiem:

— Jakże ja cię obudzę, posągu kamienny, kiedy płakać nie umiem! Nie wiem, kto jesteś, ale ile razy spojrzę na ciebie, tyle razy serce mi mocniej w piersi bije.

Pewnego razu rzekł Bulbulezar do Parysady te słowa:

— Pochyl się ku mnie, uderzę cię dziobem w policzek, i od tego uderzenia wyskoczysz na policzku brodawka.

— Okropny ptaku! — zawołała gniewnie Parysada. — Czyż nie wiesz o tym, że jestem najpiękniejszą ze wszystkich dziewcząt na świecie? Mam cerę gładką i czystą, i białą, jak śnieg. Czuję, że, gdyby mi na policzku wyskoczyła brodawka, rozplakałabym się po raz pierwszy w życiu rzewnymi łzami.

— Tego właśnie pragnę! — rzekł mądry Bulbulezar. — Jest to jedyny sposób zniewolenia cię do płaczu. Z oczu twoich wytrysną łzy szczere i gorące. Pokropisz tymi łzami posąg kamienny i przywrócisz mu życie.

Uroda

Łzy

Zadumała się Parysada i po krótkiej zadumie przybliżyła twarz do klatki. Bulbulezar natychmiast ugodził ją dziobem w sam policzek. Na policzku Parysady wyskoczyła brodawka — brzydka, niezdarna, wstrętna, okropna!

Podbiegła Parysada do zwierciadła, zajrzała do jego głębi i — zbladła.

— Niestety, niefortunnie! — zawołała, dłonie załamując. — Przestałam być najpiękniejszą ze wszystkich dziewcząt na świecie! Mam na policzku brodawkę brzydka, niezdarną, wstrętną i okropną!

I Parysada rozplakała się tak szczerze, tak rzewnie, tak serdecznie, że nawet Bulbulezar na widok jej rozpaczki zaczął ciszką w klatce szlochać.

— To ja, Parysado! — zawołał głosem wzruszonym. — Zbliź się prędzej do posągu i pokrop go łzami.

Pokropiła Parysada posąg łzami. Posąg się poruszył, westchnął głęboko i zamienił się w pięknego królewicza.

— Parysado! — rzekł królewicz. — Długo czekałem na łzy twoje, lecz się ich wreszcie doczekałem. Dzięki tobie przestałem być kamieniem martwym i znów żyję! Jestem królewiczem. Państwo moje znajduje się tuż w pobliżu za twoim ogrodem. Pragnę, abyś została moją żoną. Dziś jeszcze sprawimy sobie wesele huczne, i będziesz królowa w moim królestwie!

— Królewczu! — szepnęła Parysada. — Zawsze pragnęłam zostać żoną takiego, jak ty, młodzieńca. Nie wiem tylko, czy mam prawo wyjść za mąż za ciebie?

— Cóż ci stoi na przeszkodzie? — spytał znowu królewicz.

— Stoi mi na przeszkodzie pewna rzecz brzydka, wstrętna, niezdarna i okropna.

— Jak się ta rzecz nazywa? — spytał znowu królewicz.

— Brodawka — szepnęła Parysada, spuszczać wstydliwie oczy.

Dopiero teraz królewicz zauważył brodawkę na policzku Parysady.

— Parysado! — zawołał z klatki Bulbulezar. — Zdejmij z palca królewicza sygnet brylantowy i brylantem tego sygnetu dotknij brodawki — a zniknie natychmiast.

Uczyniła to Parysada, i brodawka znikła.

— Teraz już mi nic nie stoi na przeszkodzie do tego, aby zostać żoną królewicza! — zawołała uradowana Parysada.

Królewicz ujął ją za rękę i zaprowadził do swego królestwa. Tegoż dnia odbyło się wesele huczne, podczas wesela Parysada kazała przenieść wszystkie trzy dziwy do swego nowego pałacu i ogrodu. Goście jedli, pili, świetnie się bawili! Płasniano, tańczono, dziwom się dziwiono! Był na weselu i Bachman, i Perwic. Królewicz ścisnął ich serdecznie, nazywał swymi braćmi, mówił do nich po imieniu i był dla nich wielce czuły, poklepał ich po ramieniu i dał książęce tytuły.

## Baśń o rumaku zaklętym

Trzeba bardzo natężyć uwagę, aby od początku do końca wysłuchać baśni o zaklętym rumaku. Jest to bowiem baśń pełna zdarzeń niespodzianych i cudów niesłychanych. Naprawdę czarodziejska baśń. Toteż nieuwważnemu i nieostrożnemu słuchaczowi łatwo zabłąkać się w tej baśni tak samo, jak się pewien chłopiec zabłąkał w lesie czarodziejskim. O północy wszystkie ścieżki i drogi tego dziwnego lasu zaczęły ze śmiechem skakać i płasać i — rozpląsane — uciekały przed chłopcem, ile razy chciał na jedną z nich nastąpić nogą, ażeby po niej wrócić do domu. Trzeba być bardzo uważnym wówczas, kiedy się wchodzi do czarodziejskiego lasu, albo wówczas, kiedy się słucha naprawdę czarodziejskiej baśni. Nawet królowie perscy, arabscy i indyjscy natężali swoją królewską uwagę, gdy im opowiadano tę dziwną i straszną, i osobliwą, i niepojętą baśń o rumaku zaklętym.

Prosimy więc o ciszę, gdyż oto baśń się zaczyna!

Każdemu, kto jest znawcą bajek z tysiąca i jednej nocy, wiadomo od dawna, że w Persji Nowy Rok przypada na wiosnę. U nas — na zimę, a tam — na wiosnę. Pierwszy dzień wiosny jest jednocześnie pierwszym dniem roku. Persowie kochają słońce i kwiaty i dlatego też rozpoczynają swój rok wówczas, kiedy na świecie jest dużo słońca i dużo kwiatów.

Przemiana, Oświadczyły

Las, Tajemnica, Czary

W dniu owym na całej ziemi perskiej odbywa się wielkie święto. To bardzo przyjemnie, kiedy nadchodzi wielkie święto i dzieją się rozmaite czary. Trzeba bowiem zauważyć, że w Persji jest wielu rozmaitych czarowników, szczególnie w głównym mieście — stolicy Persji, która się nazywa — Szyraz<sup>48</sup>.

W takim właśnie dniu, na Nowy Rok, w Szyrazie odbywało się wspaniałe święto. Na ogromnym placu przed pałacem królewskim ustawiono wysoki tron, rzeźbiony ze złota wydobytego niegdyś z Sezamu. Na tym tronie zasiadł sam król w płaszczu purpurowym i w koronie gęsto nabijanej brylantami. Ciekawi poddani starannie zadzierali nosy do góry, ażeby zajrzeć w oślepiający blask korony królewskiej. Ale promienie słońca, odbite od brylantów, trafiały im wprost na twarze i przypiekały nosy ciekawie zadarte do góry.

Po bokach tronu stali rycerze i dworzanie, a na przedzie stali muzykanci nadworni. Muzykanci byli dumni ze swoich złotych i tajemniczych instrumentów i z tego, że ich nauczono grać na tych instrumentach rozmaite melodie. Grali tak zawzięcie i tak skocznie, i tak do tańca, że nie tylko wszyscy poddani, ale nawet sam król nie mógł wytrzymać ani usiedzieć na miejscu i z lekka poruszał się na złotym tronie w takt muzyki. Wszyscy się poruszali i nucili półgłosem. Poddani nucili bez słów, a król nucił takie słowa:

— Przepraszam was, moi poddani, za to, że, zamiast nikogo nie słuchać, słucham waszej gry na złotych instrumentach i poruszam się w takt waszej muzyki.

Tak nucił król. Tymczasem coraz większe tłumy gromadziły się na placu, bo każdy chciał zobaczyć króla, muzykantów i Nowy Rok.

Wówczas podchodzili do króla rozmaici ludzie z rozmaitych krain, żeby się pochwalić magicznymi wynalazkami i czarnoksiężskimi odkryciami. Taki był bowiem obyczaj w Persji, że na Nowy Rok pokazywano królowi cuda i dziwy, nieznanne dotąd nikomu.

Najpierw stanął przed królem Arab w białym turbanie i w białym płaszczu. Arab pokazał królowi zwierciadło magiczne. Ktokolwiek zajrzał do tego zwierciadła, ten zamiast własnej twarzy widział twarz swego prapradziada. Prapradziad kiwał w zwierciadle głową na powitanie i uśmiechał się, zupełnie jak żywy. Królowi zwierciadło magiczne bardzo się podobało. Kupił je i kazał natychmiast złożyć do swego skarbcza. Potem zbliżył się do tronu młody Syryjczyk i położył przed królem zaklętego dukata. Dukat był złoty i miał tę właściwość, że ktokolwiek wsunął go do kieszeni, ten natychmiast dostawał na twarzy mocnych rumieńców. Królowi bardzo się ten dukat podobał i też go kazał złożyć do swego skarbcza.

Po Syryjczykowi zjawił się Pers i rozwinął przed królem wielki dywan. Dywan był utkany z tej samej purpury, która się pali na obłokach wieczorem, kiedy słońce zachodzi. Dość było rozesłać ten dywan w pokoju, żeby natychmiast słyszeć, jak słońce, zachodząc, opowiada złote i purpurowe bajki, pełne złotych i purpurowych strachów. Żaden człowiek nie umiałby opowiedzieć takich bajek! Królowi dywan bardzo się podobał, kupił go i kazał złożyć do skarbcza.

I wielu jeszcze innych czarowników pokazywało królowi różne cuda i dziwy. A gdy już wszyscy wszystko pokazali, król dał znak dłonią, że uroczystość skończona. Muzykanci przestali grać na złotych instrumentach. Czarownicy wyruszyli z powrotem w drogę — każdy do swojej ojczyzny. Poddani zaczęli się rozchodzić do domu. Wtem — nagle — ni stąd, ni zowąd — wysunął się z tłumu jakiś Indianin. Indianin prowadził za uzdę pięknego rumaka, na którym błyszczał złoty czaprak<sup>49</sup> i złote siodło. Rumak był wyciosany z drzewa, ale tak dobrze i dokładnie, że nie tylko wyglądał jak żywy, lecz naprawdę się poruszał, wywracał ogniste ślepie, rozdymał nozdrza i dzwonił złotymi kopytami o ziemię tak zgrabnie i tak naumyślnie, jakby chciał przy tym powiedzieć: „Czy słyszycie, jak ładnie dzwonię?”

Wszyscy spojrzeli na Indianina i on spojrział na wszystkich. Wszyscy na jego widok uczyli jakąś trwożę, ale on żadnej trwoży nie uczył. Szybko i nagle razem z rumakiem zbliżył się do króla, padł przed nim czołem na ziemię, bo tak kazał obyczaj, potem powstał, wskazał dłonią swego rumaka i rzekł z tajemniczym uśmiechem na twarzy:

<sup>48</sup>Szyraz — miasto w południowym Iranie, dawna stolica Persji. [przypis edytorski]

<sup>49</sup>czaprak — przykrycie konia pod siodło. [przypis edytorski]

Dwór

Muzyka

Lustro

Pieniądz

Słońce, Czary

Wzrok, Strach



— Królu, zbliżam się do ciebie ostatni, ale zadziwię cię cudem największym ze wszystkich cudów! Tym cudem jest — mój rumak. Spójrz tylko na niego, a zobaczysz, że mówię prawdę.

Król spojrział na rumaka i rzeczywiście był zachwycony jego widokiem. Wszakże ukrył przed Indianinem swój zachwyty, bo chciał pokazać, że jest znawcą cudów i że już nieraz widywał daleko wspanialsze dziwy. Żeby to pokazać — zmrużył oczy, skrzywił usta i rzekł z przekąsem:

— Już nieraz widywałem daleko wspanialsze dziwy, bo jestem królem, a nie byle jakim włóczęgą. Wprawdzie twój koń jest bardzo dobrze i dokładnie rzeźbiony w drzewie, ale znam rzeźbiarzy, którzy potrafią wyrzeźbić takiego samego, a nawet piękniejszego konia.

Indianin, słysząc te słowa, znowu się uśmiechnął tajemniczo i odpowiedział królowi:

— Ten koń nie tylko ma piękny wygląd, ale posiada zdolności czarodziejskie. Jest to koń naprawdę czarodziejski, niepodobny do innych, zwyczajnych koni. Znam jeden taki sekret, że mogę mego rumaka przymusić do bardzo szybkiego biegu. Ten, kogo nauczę mego sekretu, może tak samo jak ja jeździć na moim rumaku. My, czarnoksiężnicy, lubimy wszystko robić po czarnoksiężsku. Nudzi nas zwyczajna jazda na zwyczajnym koniu. Daleko większą przyjemność sprawia nam zaklęta jazda na rumaku zaklętym. Jeżeli Wasza Królewska Mość życzy sobie tego, to natychmiast mogę dosiąść mego rumaka i wypróbować go przed oczyma Waszej Królewskiej Mości i wszystkich poddanych.

— Dobrze — zawołał król — życzę sobie tego, bo chcę się przekonać naocznie, czy twój rumak jest naprawdę rumakiem zaklętym. Pamiętam, że niania, kiedy byłem małym chłopcem, opowiadała mi pewnej nocy bajkę o rumaku zaklętym. Może to jest ten sam rumak z tej samej bajki. A choćby nawet był rumakiem z jakiejś innej bajki, w każdym razie chcę, żebyś go dosiadł w moich oczach.

Indianin natychmiast dosiadł rumaka, poprawił się w złotym siodle, ściągnął złote cugle i zapytał króla z tym samym tajemniczym uśmiechem:

— Królu, dokąd mi teraz każesz pojechać?

Król długo się namyślał, aż wreszcie rzekł:

— Widzisz tam — przed nami — za miastem — w pustyni daleką górę. Ta góra jest tak daleka, że nie widać jej wyraźnych kształtów. Widać tylko błękitną mgłę. Ale ta mgła błękitna jest właśnie górą, bardzo oddaloną od naszych oczu. Słońce teraz oświetla ową górę, a właściwie ową mgłę błękitną. Oświetlona słońcem mgła błękitna wygląda jak złota. Skieruj swego rumaka do owej mgły złotej, która jest mgłą błękitną, a gdy się zbliżysz do niej — zmieni się w górę. U podnóża góry rośnie palma. Znam wszystkie liście tej palmy, bo sam ją własnoręcznie zasadziłem. Zerwij jeden liść palmowy i przywieź mi go z powrotem na dowód, żeś był u podnóża góry.

Ledwie król wyrzekł te słowa, Indianin natychmiast przykręcił śrubkę ukrytą na szyi konia, pod grzywą. Czarodziejsko nakręcony koń uniósł się wraz z Indianinem w powietrze. Uniósł się tak szybko, że od razu znikł w obłokach. I król, i jego poddani krzyknęli ze zdziwienia i szeroko otworzyli usta i oczy. Nie zdążyli jeszcze przymknąć ust i oczu, a już zobaczyli w obłokach powracającego konno Indianina. Indianin szybko spuszczał się z obłoków na ziemię. Skierował konia na plac — przed tron królewski. W jednej dłoni trzymał cugle, a w drugiej liść palmowy, zerwany u podnóża góry. Zatrzymał rumaka przed królem, zeskoczył z siodła na ziemię, padł czołem do stóp królewskich i złożył wielki liść palmowy.

— Tak — zawołał król, zachwycony tym niezwykłym cudem — to jest na pewno ten sam rumak zaklęty, o którym opowiadała mi moja niania, kiedy byłem jeszcze małym chłopcem! Jest to bezwarunkowo najpiękniejszy rumak z najpiękniejszej bajki! Chcę koniecznie kupić od ciebie tego rumaka! Dam ci w zamian tyle dukatów, ile tylko zażądasz!

Indianin znów się uśmiechnął tajemniczo i tak odpowiedział królowi:

— Królu, otrzymałem tego rumaka od jednego ze znajomych czarowników. Nie chciał brać w zamian ani dukatów, ani talarów. Zażądał natomiast ręki mojej siostry. Prócz tego musiałem mu złożyć przysięgę, że nigdy nikomu ani za dukaty, ani za talary nie sprzedam mego rumaka. Cudów sprzedawać nie wolno. Wolno mi tylko podarować zaklętego rumaka temu, kto mi odda za żonę swoją siostrę lub córkę. Jeżeli chcesz zostać

Czary

szczęśliwym właścicielem zaklętego rumaka, to musisz oddać mi za żonę swoją piękną córkę — królową perską!

Słyszac te zuchwale słowa, wszyscy dworzanie i ministrowie wybuchnęli głośnym śmiechem. Damy dworskie zawołały chórem: „Jak śmiesz obrażać naszą królową, która tylko królewicza poślubić może!”. Ale najbardziej rozgniewał się na zuchwałego Indianina syn królewski, młody książę Firuz-Szach. Nic jednak nie powiedział, bo był pewien, że sam król ukarze śmiałka. Królowi jednak tak się podobał rumak zaklęty, że nie wiedział, co ma teraz począć i jak postąpić. Zamyślił się i milczał. Milczał i patrzył na rumaka. Patrzył na rumaka i zachwycił się jego złotymi kopytami. Wówczas książę Firuz-Szach wystąpił naprzód i rzekł głosem spokojnym:

— Przepraszam cię, mój ojczy-królu, za to, że się ośmielę zrobić ci uwagę<sup>50</sup>. Zuchwały Indianin obraził twoją córkę a moją siostrę. Wobec wszystkich zebranych na tym placu zażądał jej w zamian za swego konia. Zapomniał o tym, że moja siostra a twoja córka jest królową i może poślubić tylko królewicza. Ale ty, królu — zamiast ukarać zuchwałego Indianina — zamyśliłeś się i milczysz. Milczysz i patrzysz na rumaka. Patrzysz na rumaka i zachwycasz się jego złotymi kopytami!

— Przepraszam cię, mój synu — odrzekł król — przepraszam cię za to, że mnie tak olśniły złote kopyta zaklętego rumaka. Kocham moją córkę i nigdy nie wydałbym jej za mąż za nieznanego włóczęgę. Wiem, ilu złych czarowników błąka się po naszej ziemi. Może Indianin jest jednym z takich złych czarowników. Prócz tego córka moja jest królową i musi poślubić królewicza. Ale pomyśl sam, jak to przyjemnie mieć w swoim skarbcu zaklętego rumaka! Cały naród byłby mi wdzięczny za taki nabytek! Kto posiada zaklętego rumaka, ten może swobodnie bujać w obłokach i zwyciężać swoich wrogów chodzących po ziemi. Pomyśl, co by to był dla mnie za smutek, gdyby król innej krainy zgodził się na zuchwale żądanie Indianina, oddał mu za żonę swoją córkę i otrzymał w zamian zaklętego rumaka! Gdyby się tak stało — umarłbym chyba z rozpaczy! A przecież wiem, że ani ty, mój synu, ani moi poddani nie życzą sobie tego, żebym umarł z rozpaczy. Dlatego też milczę i namyślam się, co mam uczynić? Chciałbym, mój synu, żebyś ty teraz wypróbował zaklętego rumaka. Ciekawy jestem, czy ów rumak będzie posłuszny tobie tak samo, jak był posłuszny Indianinowi. Nie wątpię, że Indianin pozwoli ci osiąść swego rumaka.

Indianin, słyszac te słowa, natychmiast zbliżył się z rumakiem do księcia Firuz-Szacha, żeby mu podać strzemień i nauczyć go sekretu. Lecz Firuz-Szach podpatrzył dawniej, jak Indianin przykręcał śrubkę na szyi konia. I zanim Indianin zdążył cokolwiek powiedzieć, wskoczył na siodło i przykręcił śrubkę. Zaledwo to uczynił, rumak w mgnieniu oka uniósł go w powietrze. Firuz-Szach zniknął z oczu króla i wszystkich jego poddanych.

— Kto widzi w obłokach mego syna? — zapytał król złękniomy i zdumiony.

— Nikt, nikt, nikt! — odezwały się zewsząd głosy.

Wówczas król zwrócił się do ministra dworu i zapytał:

— Czyś zginął kiedykolwiek w obłokach i czy wiesz, co w takich razach czynić trzeba? Minister dworu zarumienił się po uszy i rzekł:

— Niech mi Wasza Królewska Mość wybaczy moją ociężałość. Mam już sześćdziesiąt lat i jestem bardzo otyły. Odkąd żyję na świecie — nie zdarzyło mi się jeszcze zginąć w obłokach i nie wiem, co się w takich razach czyni.

Król zawołał zrozpaczony:

— Mam ministra dworu, który nie może mi pomóc wtedy, kiedy spada na mnie prawdziwe nieszczęście! Syn mój zginął w obłokach! Jestem najniezwyklejszym ze wszystkich ojców na ziemi! Po cóż namówiłem swego syna, ażeby dosiadł zaklętego rumaka? Gdzie jest Indianin, sprawca mego nieszczęścia?

Indianin padł czołem na ziemię i zawołał:

— Królu! Nie z mojej winy syn twój zginął w obłokach. Chciałem go przed odjazdem nauczyć sekretu kierowania rumakiem. Ale syn twój nieostrożny i dumny, jak każdy zresztą młodzieniec, nie czekał nawet na moje rady. Widział on dawniej, jak przykręcałem śrubkę na szyi mego konia, nakręcił ją, zanim zdążyłem cokolwiek powiedzieć, i zginął natychmiast w obłokach. Tymczasem przykręcenie tej śrubki zmusza rumaka do nie-

<sup>50</sup>zrobić uwagę — lit. zwracać uwagę. [przypis edytorski]

Pozycja społeczna

Chciwość

Rozpacz

Tajemnica

ustannego lotu w dal i wzwyż — przed siebie. Aby go zatrzymać i skierować z powrotem ku ziemi, trzeba pokręcić inną, mniejszą śrubkę, ukrytą niżej, pod czaprakiem. Nie wiem, czy książę Firuz-Szach domyśli się tej tajemnicy. Nie mogę być jednak odpowiedzialny za życie młodego księcia.

— Boję się — rzekł król — że koń twój rozbryka się w obłokach i wysadzi z siodła mego syna. Z takiej wysokości nie spada się na ziemię bezkarnie. Śmierć jest wówczas pewna i nieunikniona.

— Królu, co do tego — możesz być spokojny — odrzekł Indianin. — Koń mój nie jest znarowiony<sup>51</sup> i nigdy nie bryka. Nikogo dotąd nie wysadził z siodła i nie stanął dęba nawet przed największą chmurą. Mogę ci przysiąc, że nie uczyni nic złego Firuz-Szachowi i że nie pozwoli mu upaść na ziemię.

— W takim razie — rzekł król — będę czekał na powrót mego syna z obłoków przez trzy miesiące. Jeżeli w ciągu tego czasu nie wróci, każę ci odciąć głowę. A tymczasem wtrączę cię do więzienia, żebyś nie uciekł przed upływem trzech miesięcy.

Natychmiast wtrącono Indianina do więzienia, a król wrócił do pałacu, aby tam wychekiwać swego syna.

\*

Tymczasem książę Firuz-Szach, uniesiony tak szybko i tak od razu w powietrze, nie rozumiał, co się z nim dzieje. Nie stracił jednak przytomności, bo był odważny. A odwaga jest potrzebna, szczególnie wtedy, kiedy się lata po obłokach. Ziemia od dawna znikła mu z oczu. Widział tylko obłoki oświetlone słońcem. Jedne były złote, drugie — srebrne. Niektóre paliły się tak mocno, że aż dym złoty z nich buchał, jak podczas pożaru. Firuz-Szach nie widział nic prócz obłoków i słońca. Rumak biegł szybko i złotymi kopytami uderzał w obłoki tak mocno, że się czasem rozpryskiwały na strzępy. Firuz-Szach czuł, że koń unosi go coraz wyżej i wyżej, coraz dalej od ziemi i od pałacu. Spojrzał w dół — i zobaczył pustkę i przepaść. Doznał zawrotu głowy i pomyślał, że taka podróż po obłokach jest niebezpieczna i że trzeba wrócić na ziemię. Zakręcił więc tę samą śrubkę w przeciwną stronę. Zdawało mu się, że tym sposobem skieruje rumaka z powrotem na ziemię. Ale to nic nie pomogło. Rumak pędził dalej, nie zwalniając biegu. Tymczasem słońce, które było dotąd nad głową Firuz-Szacha, zsunęło się niżej i świeciło mu teraz prosto w oczy. „W obłokach jest jeszcze dzień — pomyślał Firuz-Szach — ale na ziemi na pewno panuje teraz noc. Właściwie czas wracać do domu. Ale jak to zrobić? Czy czasem prócz tej śrubki, którą znam, nie ma jeszcze innej śrubki, której nie znam? Muszę poszukać innej śrubki”.

Koń galopował po niebie, przeskakując z obłoku na obłok, a Firuz-Szach szukał tymczasem drugiej śrubki. Właśnie koń wspiął się na olbrzymią, puszystą i z lekka po brzegach purpurową chmurę, która miała wierzchołek złocisty. Firuz-Szach uczył, że chmura zakołysała się pod kopytami końskimi. Wierzchołek natychmiast odbił się od purpurowych brzegów chmury i w jednym skoku przedostał się na jej złocisty wierzchołek, a potem ze złocistego wierzchołka zsunął się w dół na drugą stronę chmury i przeskoczył z niej na pobliski obłok srebrny i chwiejny. W tej samej chwili, wstrząśnięty raptownym i niespodzianym podskokiem rumaka, Firuz-Szach bezwiednie chwycił dłonią za czaprak, wysunięty spod siodła ku przodowi. Wówczas młody książę uczył pod czaprakiem jakiś przedmiot mały i twardy. Zajrzał pod czaprak — i jakaż była jego radość, gdy zobaczył drugą, nieznaną mu śrubkę!

— To ona — zawołał — to ona! Długo marzyłem o tej śrubce i znalazłem ją nareszcie! Teraz bieg rumaka zależy od mojej woli.

Trudno doprawdy opisać radość Firuz-Szacha. Nikt z nas nie był w jego położeniu, więc nikt nie wie, jak to przyjemnie, podróżując po obłokach, znaleźć taką śrubkę, od której zależy zbawienie. Firuz-Szach natychmiast pokręcił śrubką i uczył, że rumak, zamiast unosić się ku górze, z wolna opuszcza się na ziemię. Opuszcza się coraz niżej, coraz niżej i tak ostrożnie, żeby jeździec nie spadł z siodła. Firuz-Szach spojrział w dół i zobaczył, że tam w dole, pod obłokami, coś zielenieje. Ucieszył się, bo zrozumiał, że to zielenieje ziemia. Nie widać jej było wcale. Widać było tylko cudowną, daleką, zieloną barwę. Ale

<sup>51</sup>znarowiony — trudny do prowadzenia. [przypis edytorski]

Podróż

Odwaga

Maszyna

Obłok

Ziemia

im niżej opuszczał się rumak, tym wyraźniej widniała ziemia. Już Firuz-Szach zauważył czerwone i niebieskie barwy. Czerwone były zapewne dachy domów, a niebieskie — rzeki, jeziora i strumienie. Lecz długo, bardzo długo i powoli zbliżał się do ziemi rumak zakłęty, że kiedy zbliżył się zupełnie, noc panowała na ziemi, a w niebiosach paliły się gwiazdy. Rumak dotknął ziemi kopytami i zatrzymał się wśród ciemności nocnych. Firuz-Szach zsiadł z rumaka i postawił na ziemi swe stopy, które tak długo bujały w powietrzu, po obłokach. Ledwo mógł się utrzymać na nogach — tak go osłabiła jazda powietrzna i głód, bo od chwili odjazdu ze swej ojczyzny ku niebiosom nic nie miał w ustach. Zaczął się uważnie rozglądać dokoła, żeby rozpoznać w mroku, gdzie się znajduje. W ciemnym pokoju trudno rozpoznać, gdzie stoi krzesło, a gdzie stół, a gdzie łóżko. Co chwila, idąc po omacku, zawadza się to o stół, to o łóżko, to znów o krzesło. Wydaje się, że wszystkie te przedmioty zmieniły swoje zwykłe miejsca i że się same ustawiły inaczej, niż je we dnie ludzie ustawili. Ale daleko trudniej niż w ciemnym pokoju dać sobie rady w ciemnej i nieznannej miejscowości. Drzewa wyglądają po ciemku jak strachy i potwory. Przedmioty bliskie robią wrażenie dalekich, a dalekie — bliskich. Wszystko dokoła zmienia swe kształty obce i nieznanne, wszystko chowa się w mroku, ucieka i znowu, strasząc, podchodzi bliżej. Firuz-Szach znalazł się właśnie w ciemnej i nieznannej miejscowości. Toteż przez czas długi nie mógł zrozumieć, gdzie jest i co się z nim dzieje. Wytężał wzrok na próżno, bo nic nie widział. Ale powoli oczy jego przyzwyczyły się do ciemności i zaczęły coraz lepiej rozróżniać wszystkie przedmioty. Wówczas dopiero Firuz-Szach zrozumiał, że stoi nie na ziemi, lecz na tarasie, gdzie było pełno palm i kwiatów w olbrzymich alabastrowych<sup>52</sup> wazonach. Obejrzawszy dokładnie taras, Firuz-Szach przekonał się, że taras znajduje się na dachu jakiegoś pałacu. Po chwili młody książę zauważył schody, które wiodły z tarasu do wnętrza pałacu. W głębi schodów, na ostatnim ich stopniu, ujrzał książę drzwi na wpół otwarte, przez które można było wejść w tajemnicze i oświetlone komnaty pałacowe. Książę zbliżył się do tych drzwi i pomyślał:

— Mogę chyba śmiało wejść do pałacu, bo nikt mnie nie weźmie za zbója lub niebezpiecznego włóczęgę. Nie mam przy sobie żadnej broni, ani złych oczu, ani potwornej twarzy.

Pomyślawszy tak, szerzej roztworzył drzwi, ale starał się przy tym nie czynić najmniejszego hałasu. Hałas mógłby obudzić i przerazić kogokolwiek ze strażników lub służby, która spała w pierwszej komnacie. Toteż książę ostrożnie i na palcach przeszedł przez tę komnatę i o mało nie zawadził nogą o wargę tłustego strażnika, który się rozciągnął jak długi na podłodze i chrapał tak mocno, że mu dolna warga podczas chrapania zwiśla bezwładnie i przyłgnęła do podłogi. Firuz-Szach zręcznie wyminął tę wargę, ale musiał wyminąć wielu jeszcze innych strażników, bo pełno ich było w komnacie. Wszyscy byli czarni, wszyscy chrapali i każdy miał szablę przy boku. Firuz-Szach domyślił się, że są to Murzyni na usługach jakiejś pięknej księżniczki.

— Murzynów księżniczki już widziałem — pomyślał Firuz-Szach — chciałbym teraz zobaczyć samą księżniczkę. Zapewne jest piękna i śpi bez chrapania i bez szabli przy boku. Prócz tego jest dobra i lubi ratować nieszczęśliwych ludzi, którzy na zakłętym rumaku przebyli pełną niebezpieczeństw drogę.

Tak rozmyślając, Firuz-Szach zbliżył się do drzwi następnych. Te drzwi były najładniejsze, całe ze złota, i na tym złocie wryty był napis purpurowy: „Tu śpi księżniczka”. Firuz-Szach zręcznie, bez hałasu otworzył te drzwi i wszedł do komnaty, która miała błękitne ściany, błękitny sufit i błękitną podłogę. Na suficie wisały błękitne lampy i oświetlały całą komnatę. Księżniczka spała na wysokim łożu pod błękitnym baldachimem; dookoła zaś księżniczki na mniejszych i mniej wygodnych łóżach spały jej służebnice, ażeby snem swoim towarzyszyć snowi swej pani. Firuz-Szach zbliżył się do śpiącej księżniczki i spojrzął na nią. Była tak piękna, że się od razu w niej zakochał i pomyślał: „Jak się to dobrze stało, że rumak zakłęty zawiózł mnie do tego pałacu. Nie chcę innej żony prócz tej księżniczki, która śpi w błękitnej komnacie, pod błękitnym baldachimem. Muszę ją przeprosić za to, że tak znieca i niespodzianie wszedłem do jej komnaty podczas snu, który zapewne jest tak samo piękny jak ta, która w tym śnie spoczywa. Prócz tego muszę, korzystając z przypadku, okazać jej natychmiast swój zachwyty i szacunek”.

<sup>52</sup>alabaster — biały lub delikatnie zabarwiony, lekko przeświecający minerał. [przypis edytorski]

Ciemność

Zamek

Niebezpieczeństwo

Dworzanin, Sen

Miłość

W tym celu Firuz-Szach ukląkł obok łoża księżniczki i z lekka dotknął jej dłoni swoją dłonią. Księżniczka otworzyła oczy, ale była tak zdziwiona, że nawet nie krzyknęła, tylko patrzyła na klęczącego u stóp łoża księcia.

Firuz-Szach, korzystając z pomyślnego dla siebie milczenia księżniczki, pochylił głowę i rzekł te słowa:

— Czcigodna księżniczko, dzięki dziwnemu i naprawdę czarodziejskiemu przypadkowi znalazłem się w twojej komnacie mniej więcej o północy, kiedy wszyscy ludzie zazwyczaj śpią i nikt nikogo nie budzi. Jestem synem króla perskiego. Jeszcze wczoraj z rana byłem w Persji. Dziś jestem w nieznannej krainie. Grozi mi tu niebezpieczeństwo, o ile ty, czcigodna księżniczko, nie weźmiesz mnie pod swoją opiekę. Jestem pewien, że nie odmówisz mi swojej opieki, bo jesteś piękna, a kto jest piękny — nie może być zły.

Opieka, Zło, Piękno

Księżniczka przetarła senne oczy i odrzekła:

— Rzeczywiście, jest godzina późna, ale wcale nie jestem zmęczona, bo bardzo wcześnie ułożyły mnie dzisiaj do snu moje służebnice. Jestem najmłodszą córką króla bengalskiego. Ojciec zbudował mi pałac za miastem, z dala od swego pałacu, żebym miała świeże powietrze, bo w mieście panuje zaduch. Możesz być spokojny o siebie, mój niespodziany gościu, bo w Bengalu gościnność i grzeczność nie mniej jest rozpowszechniona jak w Persji. Nic złego ci się nie stanie. Strasznie jestem ciekawa, jakim sposobem w tak krótkim czasie przebyłeś tak wielką przestrzeń — od Persji do Bengalu. Jeszcze mnie więcej ciekawi, jakim sposobem o tak późnej porze przedostałeś się do wnętrza mego pałacu. Ale widzę po oczach, że jesteś zmęczony i głodny. Jutro z rana opowiesz mi wszystko, a tymczasem zbudzę swoje służebnice i każę im nakarmić ciebie i wskazać jeden z moich pokojów, w którym znajdziesz spokojny nocleg.

Gość, Sługa

Księżniczka klasnęła w dłonie i wszystkie służebnice obudziły się od razu. Wszystkie jednocześnie przetarły swe oczy i wszystkie jednocześnie powstały ze swych łóżek, bo spały w ubraniu, aby były każdej chwili gotowe na usługi księżniczki. Wszystkie wzięły do ręki po zapalonej świecy i, błyskając świecami, podeszły do księżniczki, aby wysłuchać jej rozkazów. Każda, przechodząc kolejno obok Firuz-Szacha, błyskała mu w oczy świecą i ze zdziwieniem oglądała jego twarz bladą, lecz spokojną.

Sługa

A księżniczka rzekła:

— Ten, któremu kolejno błyskałyście w oczy świecą, jest synem króla perskiego. Nazywa się Firuz-Szach. Ponieważ zabłąkał się w nocy do mego pałacu, uważam go przeto za mego gościa. Jest zmęczony długą podróżą, musi się pożywić i wypocząć. Nakarmcie go suto i urządźcie mu wygodny nocleg w purpurowym pokoju.

Natychmiast wszystkie służebnice, błyskając świecami, zaprowadziły Firuz-Szacha przez długi szereg komnat w głąb pałacu, do pokoju, który się nazywał purpurowy, bo miał purpurowe ściany, purpurowy sufit i purpurową podłogę. Zanim Firuz-Szach zdążył obejrzeć swój pokój, już służebnice księżniczki przyniosły mu na srebrnych tacach smaczne potrawy i przygotowały łożo puchowe na nocleg. Potem wyszły, pozostawiając księcia samego w purpurowym pokoju.

Firuz-Szach jadł szybko i dużo, bo podróż na rumaku zakłętym podnieciła jego apetyt.

Po zjedzeniu wszystkich potraw i po wypiciu wszystkich win wyciągnął się wreszcie na puchowym łożu i zasnął. Przez całą noc śniła mu się księżniczka i rumak zakłęty, i smaczne potrawy na srebrnych tacach, i pokój purpurowy, w którym się właśnie znajdował.

Tymczasem księżniczka z niecierpliwością wyczekiwała powrotu swoich służebnic. Gdy wreszcie wróciły, zawołała je do siebie i rzekła:

— Czy według was młody książę jest szatynem czy brunetem?

— Brunetem — odpowiedziały służebnice.

— Najzupelniej się zgadzam z waszym zdaniem — rzekła księżniczka. — Jest to brunet bardzo piękny, dobry i szlachetny. Ciekawam, czy wam się podobał tak samo, jak mnie, czy nie tak samo?.

— Tak samo — zawołały chórem wszystkie służebnice, błyskając świecami.

— Byłam tego pewna! — rzekła księżniczka. — I wiem, że byłybyście rade, gdybym wyszła za mąż za Firuz-Szacha, bo wszakże trudno znaleźć piękniejszego i szlachetniejszego młodzieńca na całym świecie!.

— Trudno! — szepnęły zgodnie służebnice.

— Nie wiem tylko — ciągnęła dalej księżniczka — czy Firuz-Szach zakocha się we mnie.

— Księżniczko! — rzekła na to najstarsza ze służebnic — jestem już stara i doświadczona. Zauważyłam też od razu, że Firuz-Szach jest przeznaczony tobie na męża, i cieszy mnie to bardzo, że wkrótce będę na waszym weselu.

— Ponieważ jesteś stara i doświadczona, więc wierzę ci najzupełniej — odpowiedziała księżniczka. — Ale teraz jestem śpiąca, przerwijcie więc rozmowę i życcie mi dobrej nocy.

— Dobrej nocy! — zawołały chórem służebnice, gasząc naraz wszystkie swoje świece.

Księżniczka wyciągnęła się wygodnie na swoim łóżu i zasnęła. Śnił się jej książę Firuz-Szach, ale ponieważ książę nie zdążył jej jeszcze opowiedzieć nic o rumaku zaklętym, więc rumak zaklęty nie przyśnił się księżniczce.

Nazajutrz, skoro świt, księżniczka bengalska zerwała się ze swego łóża i pobiegła do zwierciadła. Wszystkie służebnice otoczyły ją kołem i czekały na rozkazy.

— Muszę się ubrać ładnie — zawołała księżniczka — bo za chwilę zobaczę się z młodym księciem. Poradźcie mi, jaki strój mam włożyć? Czy purpurowy, czy błękitny, czy zielony, czy niebieski, czy biały? Chciałabym włożyć wszystkie od razu, ale nie mogę tego uczynić, bo chociaż każdy z osobna jest lekki jak puch, wszystkie razem byłyby za ciężkie i nie mogłabym się zgrabnie poruszać. Poradźcie mi, który mam wybrać?.

Jedne służebnice radziły strój purpurowy, drugie — błękitny, trzecie — zielony, czwarte — niebieski, piąte — biały. Księżniczka załamała dłonie, bo nie wiedziała, których służebnic ma posłuchać.

— Nie umiecie mi poradzić — rzekła smutnie — może mi lepiej od was poradzi moje zwierciadło. Podajcie mi po kolei wszystkie suknie, a ja po kolei w każdej sukni będę się przeglądała w zwierciadle.

I służebnice ubierały ją po kolei w rozmaite suknie, a księżniczka tymczasem patrzyła w zwierciadło, aż wreszcie zawołała:

— Najładniej wyglądam w sukni błękitnej. Ubierzcie mnie w tę suknię, bo już czas, abym się zobaczyła z księciem perskim.

I ubrana w suknię błękitną księżniczka poszła odwiedzić swego gościa, gdyż była bardzo ciekawa jego przygód wczorajszych.

Książę Firuz-Szach już od dawna był na nogach. Siedział w swoim pokoju przy oknie i patrzył na nową, nieznaną krainę bengalską.

Był poranek. Słońce świeciło. Kwiaty w polu były pełne rosy i rosa błyszcząca na słońcu. Książę Firuz-Szach patrzył przez okno na poranek, na słońce, na kwiaty i na rosę. Wszystko w Bengalu było inne niż w Persji. Kwiaty były bengalskie i rosa — bengalska, tylko słońce to samo co w Persji.

Księżniczka weszła do jego pokoju i rzekła:

— Obiecałeś mi wczoraj opowiedzieć o swojej podróży z Persji do Bengalu, więc przychodzę, bo jestem ciekawa.

Firuz-Szach uśmiechnął się i powiedział:

— Z rana wszystko się wydaje weselsze i nie tak straszne jak w nocy. Gdybym ci w nocy opowiedział moje przygody, to na pewno nie mogłabyś spać spokojnie, piękna księżniczko. Śniłby ci się rumak zaklęty i okropny Indianin.

— Ponieważ nie znam dotąd rumaka zaklętego i okropnego Indianina, więc widziałam we śnie tylko ciebie. Opowiedz mi prędzej swoje przygody, bo umieram z ciekawości.

Firuz-Szach opowiedział jej wszystko tak, jak było, od początku do końca. Księżniczka słuchała drżąc ze wzruszenia. Przestraszył ją bardzo Indianin, który podczas świąt Nowego Roku pokazał królowi perskiemu zaklętego rumaka. I przestraszył ją rumak zaklęty. Ale najbardziej przestraszyło ją opowiadanie o tym, jak książę Firuz-Szach dosiadł zaklętego rumaka, pokręcił śrubkę na szyi, pod grzywą, i uniósł się nagle w powietrze. I jak potem nie wiedział, że prócz tej śrubki jest inna jeszcze, pod czaprakiem, i jak potem szukał tej śrubki, galopując po obłokach. Ale ucieszyła się, słysząc, że młody książę znalazł tę drugą śrubkę i że rumak spuścił się z obłoków razem z księciem na ziemię i zatrzymał się na tarasie jej pałacu.

Klasnęła w ręce i zawołała:

— Jak to dobrze, że rumak zaklęty zatrzymał się na tarasie mego pałacu! Gdyby się

Strój

Kwiaty

Oświadczyń, Miłość,  
Małżeństwo

zatrzymał gdzie indziej, tobym nigdy ciebie nie zobaczyła!

— I ja bym ciebie nie zobaczył — odpowiedział książę — i nie mógłbym ci opowiedzieć swoich przygód. Ale zobaczyłem, więc kocham. Myślę, że rodzice nasi uradowaliby się bardzo, gdybyś została moją żoną. Znasz moje przygody, moją odwagę i moją miłość. Ja znam twój pałac i twoją piękność, lecz nie znam twojej miłości. Powiedz, czy mnie kochasz i czy chcesz zostać moją żoną?

— Kocham ciebie — odrzekła królowa — byłoby mi smutno i nudno, gdybyś odjechał i nigdy nie powrócił do mego pałacu. Jedna z moich służebnic — bardzo stara i doświadczona — powiedziała mi, że jesteś przeznaczony na mego męża. I ja myślę tak samo. Ale zdaje mi się, żeś powinien pierwej odwiedzić mego ojca — króla bengalskiego. Jestem pewna, że mu się spodobaś i że się zgodzi na nasze małżeństwo.

Firuz-Szach odpowiedział na to księżniczce:

— Nie mogę pokazać się na oczy królowi bengalskiemu bez bogatych strojów i wspaniałej świty. Pomyślałby, że jestem byle jakim włóczęgą, a nie księciem perskim.

— Dlaczegoż ja nie pomyślałam tego? — zapytała księżniczka.

— Dlatego, że mnie kochasz. A kto kocha, ten widzi prawdę, chociażby ta prawda była ukryta i nie miała ani bogatych strojów, ani wspaniałej świty dookoła siebie. Ale twój ojciec, król bengalski, nie może mnie pokochać od pierwszego wejrzenia, jak ty mnie pokochałaś. Jeśli zaś spojrzy bez miłości na mój strój podróżny i na brak świty, może nie zobaczyć prawdy i odepchnąć mnie jako włóczęgę, który tylko udaje, że jest księciem perskim. Dlatego też chcę natychmiast wrócić do Persji i z odpowiednią świtą przybyć do Bengal, aby prosić króla bengalskiego o twoją rękę.

Księżniczka się zasmuciła i zawołała:

— Jak to? Jeszcze nie zdążyliśmy się przyjrzeć sobie dokładnie, a już chcesz wracać do Persji? Boję się, że w Persji zapomnisz o mnie i nigdy już nie wrócisz do Bengal.

— Nie bój się — zawołał książę — nigdy o tobie nie zapomnę. Zawsze będę pamiętał, że jest na świecie kraj, który się nazywa Bengalem, i że jest w tym kraju księżniczka, którą kocham. I zawsze znajdę drogę z Persji do Bengal, aby powrócić do ciebie.

— Nie, nie! — zawołała księżniczka, załamując dłonie. — Nie odjeżdżaj i nie zostawiaj mnie samej, bo będę płakała po całych dniach i nocach. A mówiła mi jedna z moich służebnic, że kto długo płacze, ten może zupełnie wypłakać oczy, aż mu te oczy razem ze łzami wypłyną. I nie będzie miał oczu, i stanie się ślepy. Jeśli nie chcesz, żebym od łez oślepla, musisz jeszcze jeden miesiąc zostać w moim pałacu.

Książę Firuz-Szach zgodził się zostać miesiąc jeden w pałacu.

Księżniczka, chcąc mu czas uprzyjemnić, oprowadzała go po ogrodach, po lasach, po łąkach. Opowiadała mu rozmaite cuda, które się w Bengal, zdarzyły. Chodziła z nim na polowanie. Kazała służebnikom swoim grać na złotych instrumentach i zabawiać księcia śpiewem i tańcem. Ale po miesiącu książę rzekł do księżniczki:

— Umówiony miesiąc upłynął, muszę więc wracać do Persji. Ojciec mój bardzo mnie kocha i wyobrażam sobie, jak się o mnie niepokoi! Pewno nie sypia po nocach i nic prawie nie jada. Nie mogę pozwolić na to, aby tak długo przebywał bez snu i bez jedzenia. Dziś więc postanowiłem odjechać do Persji, tym bardziej, że miałem w nocy sen dziwny, o którym ci dotąd nic nie mówiłem, żeby cię nie przerażać.

— Jeżeli mnie kochasz, nie powinienes mieć przede mną żadnych tajemnic! — zawołała księżniczka. — Musisz mi sen swój opowiedzieć. A jeżeli mi nie opowiesz, pamiętaj, że i ja swoich snów nie będę ci opowiadała!

— Dobrze — zgodził się książę — opowiem ci swój sen, ale się nie przerażaj, bo sen jest dziwny i niezrozumiały. Otóż śniło mi się, że chodzę po ulicach Persji i zbliżam się do więzienia, w którym zamknięto rozmaitych przestępców i zbrodniarzy. Była noc i wszyscy zbrodniarze i przestępcy krzyčeli i płakali przez sen, bo im się śniły ich własne zbrodnie i przestępstwa, ażeby ich straszyc we śnie. Całe więzienie dygotało jak w febrze od tego krzyku i płaczu. A wysoko ponad murami więzienia jarzyło się szafirowe niebo wypełnione gwiazdami. Jedna z tych gwiazd oderwała się od nieba i, spadając na ziemię, zgasła. Wówczas nagle ustał i krzyk, i płacz w więzieniu. Zrobiło się dookoła tak cicho, że slychać było, jak przestępcy za murami przewracają się na swoich łozach, umęczeni snami. Wtedy otwarło się jedno okno więzienne i za kratami ukazała się biała, bardzo

Milosierdzie, Prawda,  
Ojciec, Córka, Małżeństwo,  
Strój

Szantaż

Rozstanie, Łzy, Oko

Sen, Przeczucie, Obowiązek

Szantaż

Więzienie, Niewola

Sen, Zbrodniarz, Kara

blada twarz owego Indianina, który to przyszedł do Persji z rumakiem zaklętym. Indianin szeroko roztworzył oczy i spojrzał na mnie.

— Kto cię wtrącił do więzienia? — zapytałem zdziwiony.

— Zły los — odparł Indianin ponuro.

— Czy na długo cię tam zamknęto?.

— Na trzy miesiące, po trzech zaś miesiącach mają mi odciąć głowę. Nie pytaj mnie o nic więcej, bo nie wolno mi we śnie dać ci dokładniejszych wiadomości. Udało mi się dzięki czarom zjawić się tobie we śnie. Ale czary owe i sam sen wymagają ode mnie, abym przemawiał do ciebie niejasno, niezrozumiale, dwuznacznie, mętnie, zawile, chwiejnie i niepochwytnie. Powiedz mi lepiej, gdzieś podział mego rumaka?.

— Jest w Bengalu — odrzekłem — ukryłem go na tarasie pałacu księżniczki bengalskiej. Nic mu się złego nie stało. Nie popsulem go i nie połamałem.

— A czemu nie wracasz do Persji?.

— Bo mi dobrze w Bengalu. Wystarcza mi tymczasem to, że Persję odwiedzam we śnie. Wszak i w tej chwili śni mi się Persja — nieprawdaż?.

— Bezwarunkowo, śni ci się Persja — potwierdził Indianin. — Ale jednocześnie śni ci się więzienie i ja w tym więzieniu. Już miesiąc cały czekam na ciebie. Od twego powrotu zależy moje życie. Będę jeszcze czekał dwa miesiące, co razem trzy miesiące stanowi. Czy nie uważasz, że trzy miesiące czekania mogą doprowadzić do rozpacz?.

— Nie uważam — odrzekłem — nie rozumiem nawet, czemu tak pragniesz mego powrotu i czemu życie twoje od niego zależy? Nie byliśmy z sobą w przyjaźni i prawie się nie znamy. Co do mnie — wcale nie tęsknię do ciebie.

— Powtarzam — odrzekł Indianin — powtarzam, że sen wymaga, abym przemawiał do ciebie niejasno, niezrozumiale, dwuznacznie, mętnie, zawile, chwiejnie i niepochwytnie.

— Cóż mi więc jeszcze możesz we śnie powiedzieć? — zapytałem Indianina.

Na to Indianin się zaśmiał i zawołał:

Głowy, którą mam na karku,  
Nie kupiłem na jarmarku,  
Lecz dostałem ją od Boga  
I dlatego jest mi — droga.  
Zaś gdy nóż tę głowę zetnie,  
Kark wygląda bez niej szpetnie.  
Czas upływa coraz chyżej,  
A nóż grozi coraz bliżej,  
Szkoda głowy nawet ciasnej,  
A tym bardziej szkoda własnej!.

I, wymówiwszy te słowa, Indianin zaśmiał się szatańskim śmiechem, zatrzęsął z gniewem okno więzienne i znikł za kratami. Wówczas całe więzienie zadygotało od ponownych jęków, które mnie obudziły. Nie wiem, co ten sen znaczy, i jak mam teraz postąpić: czy wrócić do Persji, czy pozostać nadal w Bengalu?.

— Pozostań nadal w Bengalu! — zawołała księżniczka. — Indianin jest czarodziejem i złym na pewno człowiekiem. Jeżeli we śnie namawiał cię do powrotu, to znaczy, że cię coś złego w drodze czeka.

Książę Firuz-Szach posłuchał księżniczki i został w Bengalu.

Już dwa miesiące upływały od czasu, jak się Firuz-Szachowi przyśnił Indianin, aż nagle pewnej nocy znów go nawiedził sen straszny. Firuz-Szach nad ranem rzekł do księżniczki:

— Sen, który miałem tej nocy, stanowczo zmusza mnie do powrotu do Persji.

— Opowiedz mi najpierw swój sen — rzekła księżniczka — bo może znów źle go zrozumiałeś.

— Śniło mi się — powiedział Firuz-Szach — że bawię się razem z tobą w piłkę na ogromnej zielonej łące. Dokoła — pustka, ani żywej duszy, tylko nas dwoje i piłka. Podrzucamy piłkę wysoko w powietrze i chwytamy ją na wyścigi w nastawione dłonie. Piłka jest duża i dziwna, zgoła niepodobna do innych piłek. Zaczynam się jej przyglądać

Czary, Tajemnica

Wizja, Proroctwo

Sen, Zabawa, Przeczucie



i widzę, że jest to głowa Indianina. Ile razy podrzucam ją w górę, tyle razy, wytrzeszczając oczy, unosi się w powietrze i z wrzaskiem spada nam w ręce. Trudno mi bawić się taką potworną piłką, ale muszę, bo sen mnie zaklął i przeznaczył mi taką zabawę. Piłka tymczasem z rozwartymi ustami i wyszczerzonymi zębami przelatuje z rąk twoich, księżniczko, do moich i z powrotem. Wreszcie chwytam ją mocno w dłonie i mówię:

— Czemu udajesz piłkę? Wszak widzę, że jesteś głową Indianina.

— A czemuż ty bawisz się mną jak piłką, jeżeli wiesz, iż jestem głową ludzką?

— Bawię się tobą dlatego, że sen mnie do tej zabawy zmusza. Na jawie nie robiłbym tego, ale we śnie muszę robić to, co mi się śni, nie zaś to, co bym sam chciał uczynić.

Na to głowa Indianina wyszczerzyła zęby i rzekła:

— Otóż nie tylko we śnie, lecz i na jawie bawisz się mną jak piłką, bo nie myślisz wcale o powrocie do Persji. Od twego powrotu zależy moje życie. Jeżeli nie wrócisz, to nożem lub toporem odetną mnie od karku i spadnę na ziemię jak piłka. Wracaj więc natychmiast, w przeciwnym razie zemszczę się na twoim ojcu, królu perskim, za pomocą złych czarów, zaklęć, przekleństw i rozmaitych słów magicznych. A teraz podrzuc mnie do góry, bo chce mi się wylecieć z twego snu i znowu przytwierdzić się do karku, na którym zawsze tkwię nie jako piłka, lecz jako głowa.

Podrzuciłem więc potworną piłkę do góry, a ona, unosząc się w powietrze, wyrzaskiwała takie słowa:

Odlatuję w górę,  
W niebo i w chmurę,  
Piłka wrzaskliwa,  
Krwawa i żywa.  
Znam czary liczne,  
Słowa magiczne,  
Zaklęcia skryte  
I rozmaite!  
Lecz z piłki krwawej  
Nie rób zabawy,  
Bo zemsta zdradnie  
Na ciebie spadnie!  
Wszak jestem przecie  
Słynna na świecie  
Głowa jedyna  
Imć<sup>53</sup> Indianina!  
Pobyt w Bengalu,  
O, książę, skróć  
I wnet bez żalu  
Do Persji wróć!

I, wymawiając to słowo: „wróć!”, piłka, a właściwie głowa Indianina, znikła w powietrzu. Wówczas zbudziłem się i postanowiłem natychmiast wrócić do Persji.

— Ach! — zawołała księżniczka — dopiero trzeci miesiąc dobiega do końca, a już chcesz mnie porzucić?.

— Trudno! — odrzekł książę Firuz-Szach. — Głowa Indianina wyraźnie mi pogroziła we śnie, że się zemści na moim ojcu za pomocą złych czarów. Pomimo że cię kocham, muszę do Persji natychmiast wracać i żadne prośby twoje nie odmienią mego postanowienia.

Księżniczka zamyśliła się i rzekła:

— W takim razie i ja z tobą do Persji pojadę. Tam weźmiemy ślub i zawiadomimy o ślubie mego ojca, króla bengalskiego. Czy na zaklętym rumaku odbędziemy tę podróż?.

— Ma się rozumieć! — zawołał Firuz-Szach. — Odbędziemy ją na zaklętym rumaku — i to zaraz, w tej chwili, bo czas nagli.

<sup>53</sup>imć — dawne wyrażenie grzecznościowe przeważnie przed nazwiskiem lub tytułem; skrót od: jego miłość. [przypis edytorski]

Mówiąc to, wziął księżniczkę za rękę i zaprowadził na taras, gdzie dawniej ukrył zaklętego rumaka. Księżniczka spojrzała na rumaka i rzekła:

— Wątpię, aby ten rumak był tak silny, żeby unieść dwóch jeźdźców na grzbiecie.

— Nie bój się — rzekł Firuz-Szach — jestem z góry pewien, że uniesie.

I Firuz-Szach dosiadł rumaka, przechylił się w siodle, ujął wpół księżniczkę i posadził ją przed sobą.

— Pozwól mi pokręcić śrubkę! — rzekła księżniczka. — Kiedy mi opowiadałeś o zaklętym rumaku, marzyłam w duszy, że sama kiedyś zakręcę śrubkę magiczną.

Książę wskazał odpowiednią śrubkę, księżniczka pokręciła i rumak uniósł się wysoko w powietrze. Firuz-Szach skierował go wprost z Bengalu do Persji.

Rumak zaklęty tak szybko unosił księcia i księżniczkę, że w ciągu dwóch godzin już byli w Persji. Książę Firuz-Szach zatrzymał rumaka nie przed pałacem królewskim, lecz przed innym, letnim pałacem, za miastem. Chciał bowiem osobiście uprzedzić króla o wszystkim, co się stało, a potem dopiero uroczystie zapoznać go ze swoją narzeczoną. Zsiadli więc oboje z rumaka przed pałacem letnim, w którym znajdowała się jedna tylko stara i wierna służąca — Badora. Książę oddał księżniczkę bengalską pod opiekę Badory, zostawił rumaka zaklętego w podwórzu pałacowym, a sam pośpieszył do pałacu królewskiego, aby się zobaczyć z ojcem.

Książę zastał króla perskiego i całą jego świtę w żałobie, gdyż wszyscy sądzili, że młody książę od dawna już nie żyje. Jakaż była radość starego króla, gdy ujrzał swego syna i gdy go przycisnął do piersi! Książę Firuz-Szach opowiedział mu wszystkie przygody od początku do końca, a na samym właśnie końcu swego opowiadania zarumienił się i rzekł:

— Księżniczka bengalska, która mnie przyjęła tak serdecznie w swoim pałacu, opuściła dzisiaj państwo Bengalu.

— Gdzież się obecnie znajduje ta piękna księżniczka? — zapytał król Persji z wielkim zaciekawieniem.

— Znajduje się w Persji — odparł książę Firuz-Szach, spuszczać oczy.

— Persja jest obszerna — zauważył król — i mnóstwo miast rozmaitych posiada. Powiedź mi, w którym z tych miast przebywa obecnie księżniczka?

Książę Firuz-Szach uśmiechnął się tajemniczo i rzekł:

— W tym samym mieście, w którym i my w tej chwili przebywamy...

— W takim razie powiedz mi dokładniej, gdzie się ukryła, abym mógł ją powitać uroczystie i zaprosić do swego pałacu.

— Zostawiłem ją w pałacu letnim — za miastem. Chciałem cię uprzedzić, ojcze, że kocham ją i posiadam jej wzajemność. Przyjmij więc księżniczkę jako moją narzeczoną, a swoją synową. Chciałbym dziś jeszcze ją poślubić i zawiadomić jak najprędzej króla bengalskiego o naszym ślubie. Przypuszczam bowiem, że król bengalski może się zaniepokoić o losy swojej córki, która tak nagle zniknęła ze swego pałacu.

— Przydał wam się ten rumak zaklęty! — zawołał król. — Bez tego rumaka nie moglibyście tak szybko odbyć podróży z Bengalu do Persji. Otóż pragnę natychmiast pójść wraz z tobą do pałacu letniego i poznać swoją przyszłą synową. Dziś jeszcze wesele wam wyprawię huczne. Z powodu zaś tak uroczystego dnia każę uwolnić z więzienia stu przestępców, a przede wszystkim Indianina. Wtrąciłem go bowiem do więzienia aż do czasu twego powrotu. Gdybyś wrócił o dzień jeden później, już by to przyplacił głową.

— Teraz rozumiem moje sny w Bengalu — rzekł książę Firuz-Szach. — Indianin w moich snach zjawiał się błądliwy, zląkniony i zniecierpliwiony i naglił mnie do powrotu.

Król klasnął w dłonie na służbę i wydał rozkaz, ażeby Indianinowi przywrócono wolność. Po czym i król, i książę przybrali się w szaty odświętne i, otoczeni świtą, skierowali swe kroki w stronę pałacu letniego, gdzie księżniczka bengalska wyczekiwała niecierpliwie przybycia swego narzeczonego.

Tymczasem Indianin, wypuszczony z więzienia, dowiedział się od tłumu, zebranego na ulicach z powodu powrotu młodego księcia, o wszystkim, co się stało. Nie zwlekając chwili, pobiegł do pałacu letniego, zanim król i książę zdążyli tam przybyć. Zapukał do drzwi, które mu otworzyła Badora.

— Król i książę — rzekł Indianin do Badory — przysyłają mnie tutaj, abym na rumaku zaklętym przywiózł księżniczkę bengalską do pałacu królewskiego. Tam bowiem

Podróż, Zamek

Wolność

Podstęp

dzisiaj jeszcze ma się odbyć ślub młodej pary. Wskaż mi więc, gdzie się znajduje rumak zakłęty, i uprzedź księżniczkę, aby była gotowa do odjazdu.

Stara i wierna Badora uwierzyła Indianinowi, wskazała mu miejsce schowania rumaka zakłętego i przyprowadziła księżniczkę, uradowaną wieścią o prędkim ślubie.

— Księżniczko! — rzekł Indianin z niskim ukłonem — Dosiądź rumaka i pozwól, że odwiozę cię wprost w objęcia pięknego Firuz-Szacha, który w pałacu królewskim czeka na twój przyjazd.

Księżniczka, promieniejąca od szczęścia, zręcznie wskoczyła na siodło, Indianin wskoczył za nią niemal jednocześnie, zakręcił śrubkę odpowiednią — i rumak jak strzała uniósł się w powietrze.

W tej właśnie chwili nadszedł orszak uroczysty z królem i księciem na czele. Książę pierwszy zobaczył piękną księżniczkę w potwornych objęciach Indianina. Rumak zakłęty, tańcząc, galopował po powietrzu. Indianin, ujrawszy orszak uroczysty, zaczął śmiać się wniebogłosy i szydzić z króla i księcia.

— Kto późno przychodzi — ten sam sobie szkodzi — wołał, obejmując coraz mocniej zlekniętą i nieprzytomną prawie księżniczkę, która zrozumiała podstęp i zdradę Indianina.

— Oddaj nam księżniczkę, a dostaniesz w zamian pół mego królestwa! — krzyknął mu w odpowiedzi stary król, zadzierając głowę do góry i poprawiając na nosie ogromne okulary.

— Wolę moją zemstę niż pół twego królestwa — odpowiedział Indianin. — Po coś mnie wtrącił do więzienia? Po coś trzymał mnie przez trzy prawie miesiące w strachu o moją głowę? A ty — hardy młodziku, głupi Firuz-Szachu — czemuś tak długo siedział w Bengal, pomimo, iż ci się zjawiałem we śnie i nagliłem do powrotu?

— Podły Indianinie, nikczemny czarnoksiężniku — zawołał Firuz-Szach — wiem, że żadne obietnice ani groźby, ani prośby nie zmuszą cię do oddania mi porwanej podstępnie księżniczki. Ale wiedz o tym, że zemsta moja dosięgnie ciebie wszędzie, choćbyś miał sto rumaków zakłętych i choćbyś ukrył moją księżniczkę w najdalszym obłoku!

— Do widzenia — odparł ze śmiechem Indianin, kierując rumaka w górę, w sam błękit. — Bywajcie zdrowi! Nie troszczcie się o nas! Damy sobie rady na świecie. Świat jest szeroki, a rumak mój nie zna ani przeszkód, ani zmęczenia! Żegnajcie raz na zawsze!

I, mówiąc to, jeszcze mocniej pokręcił śrubką. Rumak wzbił się w obłoki i znikł z oczu króla, księcia i całej świty.

Któż opíše rozpacz Firuz-Szacha, jego łzy i jego lamentowania? Rzadko to bowiem się zdarza, aby ktokolwiek komukolwiek przed samym ślubem porwał narzeczoną i uciekł z nią w obłoki na rumaku zakłętym. Niezwykły ten zbieg okoliczności zwiększał tylko rozpacz biednego Firuz-Szacha. Postanowił on jednak nie tracić czasu i natychmiast wyruszyć w podróż niewiadomą na poszukiwanie księżniczki. Przebrał się tedy za derwisza<sup>54</sup>, pożegnał się z ojcem i poszedł w świat — przed siebie, gdzie oczy poniosą.

\*

Indianin, szybując po obłokach, mówił do omdlełej księżniczki:

— Ocknij się i spójrz na mnie. Musisz zostać moją żoną. Nikt cię teraz nie wyrwie z mych objęć. Bądź mi więc posłuszna i przyzwyczaj się do myśli, że należysz do mnie.

— Kocham Firuz-Szacha — szepnęła księżniczka, budząc się z omdlenia.

— Firuz-Szach jest już daleko — rzekł Indianin — nigdy go nie zobaczysz. Rumak zakłęty uniesie nas na drugi kraniec ziemi — w krainę samotną, gdzie będą kwiaty i drzewa, i ptaki, i strumienie, i ogrody, i pałace, ale nie będzie Firuz-Szacha.

— Kocham Firuz-Szacha — szepnęła znowu księżniczka.

— Nie powtarzaj tych słów! — zawołał gniewnie Indianin. — Ja teraz jestem twoim panem i nie wolno ci nikogo prócz mnie kochać. Jeżeli raz jeszcze szepniesz o miłości swojej do Firuz-Szacha, to zrzucę cię z siodła i spadniesz w przepaść!

— Kocham Firuz-Szacha — szepnęła znowu księżniczka.

Słyszając te słowa, Indianin chwycił ją mocno w objęcia, uniósł w górę nad siodło i już chciał rzucić księżniczkę w otchłań, która ich od ziemi dzieliła, ale spojrzał raz jeszcze

<sup>54</sup>derwisz — wędrowny mnich muzułmański, pobożny żebrak. [przypis edytorski]

Porwanie

Zemsta

Rozpacz, Porwanie

Podróż

Przebranie

Morderstwo, Zazdrość

w jej twarz i powstrzymał się. Była tak piękna, że nie mógł wykonać zbrodniczego zamiaru. Posadził ją z powrotem na siodle i w milczeniu cwałował z nią razem po obłokach. Wszakże głód zaczął dokuczać Indianinowi. Postanowił spuścić się na ziemię, aby głód zaspokoić i w dalszą podróż wyruszyć. Zakręcił więc inną śrubkę, i po chwili rumak, kołysząc się lekko, opadł na polanę leśną — pustą i samotną. Indianin przywiązał księżniczkę do drzewa, rumaka zostawił w pobliżu, a sam poszedł w las, aby tam upolować jakąkolwiek zwierzynę. Gdy Indianin odszedł, księżniczka próbowała zerwać powrozy i uciec. Lecz daremnie! Była związana tak mocno, że wszelkie wysiłki spetzły na niczym. Prócz tego osłabił ją głód i niezwykle wypadki tego dnia ostatniego. Westchnęła więc i trwała nadal — nieruchoma i cicha. W tej chwili właśnie usłyszała tętent koni. Z lasu na polanę wjechało kilku jeźdźców bogato i jaskrawo ubranych. Na czele ich jechał najpiękniej i najbogaciej ubrany, zapewne król jakiegoś państwa, bo miał ruchy królewskie i królewski wyraz twarzy. I rzeczywiście był to sułtan<sup>55</sup> Kaszmiru<sup>56</sup> ze świtą swoich dworzan.

Niewola

Król

Sułtan spostrzegł księżniczkę przywiązaną do drzewa, podjechał ku niej i pochyliwszy się z konia, zapytał:

— Kto cię przywiązał do drzewa, piękna księżniczko? Bo na pewno jesteś księżniczką, ponieważ masz książęcą postawę i książęcy wyraz twarzy.

— Zgaduję, że jesteś sułtanem — rzekła księżniczka — więc zwracam się do ciebie z prośbą o ratunek.

I księżniczka opowiedziała sułtanowi o tym, jak zły czarownik wykradł ją z domu na rumaku zaklętym, lecz przemilczała o swej miłości dla Firuz-Szacha... Ze łzami na oczach skarżyła się sułtanowi na Indianina, który ją do drzewa przywiązał, aby mu nie uciekła. Właśnie gdy księżniczka kończyła swe opowiadanie i swoje skargi, Indianin wrócił i, widząc co się stało, rzekł do sułtana:

— Ta kobieta przywiązana do drzewa jest moją żoną. Sprzeniewierzyła mi się i dlatego ją w ten sposób ukarałem. Nikt nie ma prawa wtrącać się do naszych kłótni małżeńskich. Toteż żądam, abys ty, sułtanie, wraz ze swoją świtą oddalił się stąd i zostawił nas w spokoju. Sami, bez niczyjej pomocy, najlepiej dojdziemy do porozumienia.

Sułtan spojrział na Indianina najpierw lewym, potem prawym okiem, wreszcie obojgiem oczu i zawołał:

— Widzę, że jesteś złym czarownikiem i że porwałeś tę piękną księżniczkę przeciw jej woli! Ale nie ujdzie ci to bezkarnie!

To mówiąc, dał znak swym rycerzom, aby zabili Indianina. Rycerze natychmiast złotymi mieczami posiekali złego czarownika, a sułtan tymczasem własnoręcznie rozwiązał powrozy na rękach i nogach księżniczki.

— Teraz jesteś wolna — rzekł do niej. — Zapraszam cię do mego pałacu w Kaszmirze. Rumaka zaś zaklętego zabieram do swego skarbcza.

Rycerze podali księżniczce białego konia z purpurowym czaprakiem i złocistym siodłem i wszyscy udali się do Kaszmiru.

Wkrótce księżniczka znalazła się w komnacie pałacowej i, zmęczona, zasnęła. Co się jej śniło tej nocy — nie wiadomo. Zapewne widziała we śnie Firuz-Szacha. Spała wszakże mocno i bez przebudzenia aż do świtu. O świcie jednak zbudził ją hałas niezwykle. Zaczęła się przysłuchiwać temu hałasowi i zrozumiała wreszcie, że są to odgłosy trąb, bębnow, cymbałów i innych instrumentów. Wyrzała przez okno. Tłumy ludzi na ulicach otaczały jeźdźców, którzy na rozmaitych rogach ulic ogłaszali ludowi, że sułtan zakochał się w księżniczce i postanowił dziś jeszcze ją poślubić. Dlatego też kazał bić w bębny i dąć w trąby, ażeby tym sposobem zwiększyć uroczystość tego dnia. Zanim księżniczka zdążyła obmyślić plan dalszego postępowania z sułtanem, drzwi jej komnaty rozwarły się na oścież i wszedł sam sułtan, kłaniając się, uśmiechając i robiąc najprzyjemniejsze wyrazy twarzy, na jakie go stać było.

Śmierć, Morderstwo

Sen

Oświadczyły

— Księżniczko — szepnął — przynoszę ci wiadomość, która cię na pewno uraduje. Nie chcę ci tej wiadomości udzielać od razu, bo zbyt wielkie szczęście mogłoby cię przyprawić o zemdlenie. Wolę więc tę wiadomość podzielić na trzy pomniejsze szczegóły, które się złożą na piękną całość, mianowicie: po pierwsze — podobasz mi się, po

<sup>55</sup>sułtan — tytuł dawnych władców Turcji i niektórych innych państw muzułmańskich. [przypis edytorski]

<sup>56</sup>Kaszmir — region dziś leżący w Indiach i Pakistanie. [przypis edytorski]

wtóre — kocham cię, a po trzecie — dziś jeszcze postanowiłem cię poślubić i uczynić sultanką Kaszmiru.

I sultan przymrużył oczy, chcąc zobaczyć, jakie wrażenie na księżniczce sprawią te słowa.

Tymczasem księżniczka postanowiła udawać szaloną, która nie rozumie, co się do niej mówi. Zaczęła więc biegać i miotać się po komnacie, drapiąc każdego, ktokolwiek się do niej zbliżył.

— Niestety! — zawołał sultan, załamując dłonie. — Ta piękna księżniczka jest obłąkana! Obłąkanej poślubić nie wolno!

— Jestem chora, od rana do wieczora trapi mnie zhora! Połknęłam potwora! Wpadłam do jeziora! Ratujcie, bo już pora! Poślijcie po doktora! — wołała księżniczka, starając się dobierać słowa bez sensu i związku i, podbiegłszy do sultana, podrapała mu lewy policzek prawą ręką, a jednocześnie nogą uderzyła go w brzuch opasy i pulchny jak poduszka.

— Oj! Oj! Oj! — zawołał sultan. — Czyli się spodziewałem, że ta drobna rączka tak drapie, a ta mała nóżka tak kopie! Sprowadźcie jak najprędzej doktora! Niech uleczy tę piękną księżniczkę, abym ją mógł nareszcie poślubić!

I sultan wyszedł, zostawiając księżniczkę samą w komnacie. Natychmiast wydał rozkaz, aby sprowadzono najślawniejszych doktorów. Nazajutrz kilku słynnych w całym Kaszmirze lekarzy weszło do pokoju księżniczki. Księżniczka wciąż biegała błędnie od ściany do ściany, wykrzywiając twarz i krzycząc wniebogłosy:

— Kto się zbliży na łokieć — w krtań mu wsunę paznokcie! A kto bliżej przyskoczy — temu wydrapię oczy! Jestem straszna i wściekła, rodem z samego piekła! Mam ja duszę ponurą i diabła mam pod skórą! Brat mój — wąż, siostry — zmije! Kogo dotknę — zabiję! Zabitego w piec wkładam i smażę go, i zjadam!

Doktorzy, słysząc te groźne słowa, bali się podejść do księżniczki i zbadać jej puls oraz stan zdrowia. Gdyby zbadali, może by przyszli do przekonania, że tylko udaje chorobę. Ale ponieważ żaden z nich nie ośmielił się księżniczki dotknąć, więc tylko kiwali smętnie głową i mówili szeptem do siebie:

— Dziwna choroba... nieuleczalna choroba... niebezpieczna choroba...

Sultan, słysząc te szeptki doktorów, pogrążył się w rozpacz.

— Czy nie macie żadnej nadziei na uleczenie księżniczki? — zapytał drżącym głosem.

— Żadnej — odrzekli chórem doktorzy.

— Kocham ją — szeptał sultan — ale jest obłąkana, więc nie może mnie pokochać! Gdybyście ją uzdrowili, na pewno wyznałaby mi miłość i byłbym najszczęśliwszym ze wszystkich sultanów na świecie.

— Nie wątpimy o tym, że pokochałaby cię — rzekli doktorzy — przede wszystkim dlatego, że jesteś władcą Kaszmiru.

— I dlatego, że jestem piękny — dodał sultan, głaszcząc dłonią swoją brzydką twarz.

— I dlatego, że jesteś bogaty — rzekli doktorzy.

— I dlatego, że jestem mądry — dorzucił sultan, robiąc przy tym głupią minę.

— I dlatego, żeś ją wyzwolił z rąk złego czarownika — mówili dalej doktorzy.

— I dlatego, że mam miły głos, wyraziste oczy, ponętny podbródek i czarujący nos — zawołał sultan, wzdychając głęboko.

— Tak! — rzekli doktorzy — posiadasz mnóstwo zalet, ale musisz się wyrzec księżniczki. Nie znamy środka, który by ją uleczył! Przez całe życie będzie obłąkana.

Powiedziawszy te słowa, złożyli niskie ukłony i wyszli. Sultan, pobity i posiniaczony przez księżniczkę, też opuścił komnatę i udał się w głąb pałacu, aby tam rozmyślać o swoim nieszczęściu.

W tym właśnie czasie przybył do Kaszmiru jakiś derwisz z obcej krainy. Był to Firuz-Szach, przebrany za derwisza. Ponieważ w całym mieście mówiono o chorobie księżniczki bengalskiej i o tym, jak ją sultan wybawił od przemocy złego czarownika, właściciela zakłętogo rumaka, więc Firuz-Szach od razu się domyślił wszystkiego. Był pewien, że jego narzeczona udaje obłąkaną, ażeby tym sposobem uniknąć przymusowego ślubu z sultaniem. Natychmiast zrzucił szaty derwisza, przebrał się za doktora i poszedł wprost do pałacu sultana.

Szaleństwo, Podstęp

Lekarz

Szaleństwo

Próżność, Miłość,  
Szaleństwo, Kobieta,  
Męczyzna

Zdziwiono się wielce w pałacu, że znowu nieznanym jakiemuś doktorowi zamierza leczyć księżniczkę. Sułtan sam wybiegł na jego spotkanie i zawołał:

— Nieszczęsny doktorze, nie mam już nadziei na twoją pomoc i na twoje znanstwo. Czekają cię tylko kopnięcia nogą, uderzenia ręką i przekleństwa tak straszne, że włosy dęba stają na głowie! Nie będziesz mógł nawet zbliżyć się do obłąkanej księżniczki, ażeby zbadać puls, ale jeżeli chcesz koniecznie spróbować szczęścia — to spróbuj! Wszakże trudno znaleźć mędrszego, piękniejszego i ponętniejszego człowieka ode mnie, a pomimo to księżniczka nie pozwala mi zbliżyć się do siebie!

— Znam takie tajemnice medycyny — odrzekł Firuz-Szach — i posiadam taką potęgę spojrzenia, że potrafię ugłaskać księżniczkę i nawet — o ile los mi dopomoże — uzdrowić zupełnie.

— A więc wejdź jak najprędzej do jej komnaty — zawołał ucieszony sułtan — i zrób wszystko, ażeby wyzdrowiała i mogła nareszcie wyznać mi swoją miłość, bo wiem, że mnie kocha, lecz obłąkanie mąci jej rozum i przeszkadza rzucić mi się na szyję z wyznaniem miłości.

Firuz-Szach pogładził siwą, przyprawioną brodę i szybkim krokiem wszedł do komnaty księżniczki. Księżniczka, ujrawszy doktora, zaczęła jak zwykle biegać po pokoju, wrzeszcząc i wygrażając pazurkami. Sułtan stanął opodal i przyglądał się tej scenie.

— Niech śmierć ciebie zaskoczy, niech czart wyżre ci oczy, niech cię obłąd zamroczy! — wołała księżniczka, zaciskając pięści i tupiąc nogami.

Firuz-Szach zbliżył się do niej i szepnął tak cicho, ażeby go sułtan nie słyszał:

— Księżniczko, jestem Firuz-Szach, twój narzeczony, przebrałem się za doktora, żeby cię ratować. Uspokój się i nie lękaj niczego. Powiedz mi tylko, gdzie się znajduje rumak zaklęty?

— Zdaje mi się, że sułtan złożył go do swego skarbcza.

Tymczasem sułtan zdumiony był tym, co zobaczył. Po raz bowiem pierwszy obłąkana księżniczka pozwoliła doktorowi zbliżyć się do siebie. Firuz-Szach zbadał jej puls i rzekł do sułtana:

— Zdaje mi się, że potrafię chorą wyleczyć, ale muszę przedtem wiedzieć, z jakiego powodu zachorowała? Czy nie miała czasem jakiegoś osobliwego zdarzenia w życiu? Może rzucono na nią zły urok, który trzeba odczynić? Świat jest pełen czarów, zaklęć i tajemnic. Musiałbym wiedzieć dokładnie, jakie czary opętały księżniczkę.

— Zdaje mi się — rzekł sułtan — że ją opętał zły czarownik, który ją uwiózł skądś na rumaku zaklętym.

I sułtan opowiedział Firuz-Szachowi, jak wybawił księżniczkę z mocy złego czarownika. Wówczas Firuz-Szach po udanym namyśle rzekł:

— Przychodzę do przekonania, że jazda na rumaku zaklętym jest przyczyną obłąkania księżniczki. Aby ją uzdrowić, musiałbym w jej obecności odczarować rumaka zaklętego.

— Rumak zaklęty znajduje się w moim skarbcu — zawołał sułtan — możesz go stamtąd wydostać i odczarować.

— A więc jutro, skoro świt, każ mi sprowadzić rumaka zaklętego na plac przed pałacem. Księżniczka też przyjsć tam powinna. Mam kadzidła, których dym zniszczy wszelkie czary i w rumaku, i w księżniczce. Wówczas choroba ustąpi zupełnie.

Powiedziawszy te słowa, Firuz-Szach uklonił się i wyszedł.

Nazajutrz, skoro świt, sprowadzono na plac przed pałacem księżniczkę i rumaka zaklętego. Firuz-Szach ustawił rumaka na środku placu, a sam z księżniczką stanął tuż przy siodle. Potem otoczył rumaka i księżniczkę kadzidłami i zapalił wszystkie kadzidła. Gęsty dym, unosząc się w powietrzu, zasłonił i rumaka, i księżniczkę, i Firuz-Szacha przed oczami sułtana i gromady dworzaków, bo wszyscy zebrali się na placu, aby patrzeć na uzdrowienie księżniczki. Wówczas Firuz-Szach wraz z księżniczką dosiadł rumaka, śrubkę odpowiednią zakręcił i po chwili sułtan i cały dwór jego ujrzeni, jak ponad dymem kadzideł księżniczka w objęciu Firuz-Szacha unosiła się w górę na rumaku zaklętym. Sułtan zrozumiał, że go zdradzono, i zawołał:

— Podły doktorze, oddaj mi księżniczkę, która jest zachwycona moją urodą!

— Księżniczki ci nie oddam — odrzekł Firuz-Szach z konia — ale mogę ci oddać moją brodę, którą sobie przyprawilem.

Podstęp

Kara, Kobieta, Mężczyzna,  
Małżeństwo

Mówiąc to, zdjął przyprawioną brodę i rzucił ją tak, że upadła na łysinę sułtana.  
— Zdrada, zdrada, zdrada! — krzyczał sułtan.  
— Nie zdrada, lecz kara! — odpowiedział Firuz-Szach. — Tak niechaj będą karani wszyscy, którzy chcą poślubić młode dziewczęta, nie zapytawszy ich pierwej o zgodę.  
Rumak zaklęty z błyskawiczną szybkością pomknął w błękity i zginął z oczu sułtana.  
Jakaż była radość w Persji, gdy Firuz-Szach powrócił wraz z księżniczką! Tegoż dnia urządzono im huczne wesele i król perski natychmiast wysłał do króla bengalskiego posłów z zawiadomieniem o ślubie księżniczki z księciem Firuz-Szachem. Król bengalski uradował się bardzo i pojechał zaraz do Persji, aby poznać osobiście swego zięcia. Odtąd Firuz-Szach i jego piękna żona spędzali czas w szczęściu i weselu. Często wybierali się na spacer po obłokach na rumaku zaklętym i wspominali dawne przygody i nieszczęścia. Ale wspominali z uśmiechem, a rumak zaklęty wesoło galopował po błękicie.

Szczęście, Ślub, Wesele

## Opowiadanie Króla Wysp Hebanowych<sup>57</sup>

Oto jest bajka, w której Król Wysp Hebanowych opowiedział sułtanowi historię swego życia.

— Ojciec mój nazywał się Machmud i był królem tego państwa, które jest znane pod nazwą Ziemi Wysp Hebanowych. Nazwa ta pochodzi od czterech wzgórz, porośniętych drzewami hebanowymi. Wzgórza te za bardzo dawnych czasów były wyspami. Lecz na ziemi z biegiem czasu wszystko się zmienia: rzeki wysychają i na ich miejscu zjawiają się jary<sup>58</sup> lub doliny, wyspy zaś urastają we wzgórze. Tak się stało z owymi czterema wyspami — przemieniły się we wzgórze, ale kraj pomiędzy tymi wzgórzami zachował dawną nazwę Ziemi Wysp Hebanowych.

Przemiana, Imię

Stolica mego ojca Machmuda znajdowała się w samym środku czarno-złotego jeziora, tam, gdzie teraz kwitną cztery lilie czterech kolorów.

— Królu! — zawołał sułtan. — Początek twego opowiadania jest tak dziwny i ciekawy, że serce bije mi mocniej, a twarz cała płonie ogniem od natężonego słuchania. Zaledwo zdołałem przyzwyczaić się do myśli, że jesteś do połowy człowiekiem, od połowy zaś czarnym marmurem, a już muszę się pogodzić z inną myślą: że w samym środku jeziora, gdzie kwitną cztery lilie, znajdowała się stolica twego ojca! Jakimże sposobem ojciec twój Machmud potrafił na jeziorze zbudować stolicę? I czemu po zniknięciu owej stolicy zostały cztery lilie czterech kolorów?

— Sułtanie! — rzekł król Wysp Hebanowych. — Początek mego opowiadania pełen będzie dziwów i cudów niezrozumiałych, lecz przy końcu wszystkie te dziwy i cuda wyjaśnią się i wytłumaczą. Nie mogę dla zaspokojenia twojej ciekawości zacząć opowiadania od końca, bo powstałby taki zamęt i taka plątanina, że nic byś nie zrozumiał. Muszę opowiadać po kolei i w takim porządku, w jakim zdarzenia po sobie następowały.

Toteż nie przerywaj mi mojej opowieści i bądź cierpliwym słuchaczem.

Ojciec mój umarł w siedmdziesiątym roku życia. W trzy dni po jego śmierci objąłem tron i postanowiłem się ożenić.

Wybrałem na żonę jedną z moich dalekich kuzynek. Nazywała się Chryzeida. Była piękna, ale dziwnie małowówna i tajemnicza.

Przez lat pięć żyliśmy w zgodzie i w miłości.

Po upływie lat pięciu Chryzeida zaczęła stronić ode mnie i okazywać brak miłości. Zasmuciłem się bardzo, ale cierpiałem w milczeniu, nie robiąc jej żadnych uwag ani wyrzutów.

Pewnego razu Chryzeida wyszła za miasto na przechadzkę, ja zaś zostałem w pałacu. Dzień był duszny i upalny.

<sup>57</sup> *Opowiadanie Króla Wysp Hebanowych* — druga połowa baśni, rozpoczętej w opowiadaniu *Rybak i geniusz*. [przypis edytorski]

<sup>58</sup> *jar* — wąski wąwóz o stromych zboczach. [przypis edytorski]

Znużony upałem, położyłem się na otomanie<sup>59</sup>. Dwie niewolnice, stanąwszy po obu stronach otomany, poruszały z lekka złotymi wachlarzami, aby mi ochłodzić spoczone skronie. Miarowy ruch i chłodny powiew wachlarzy kołysał mnie do snu. Przymknąłem oczy, aby sen przyspieszyć, gdy nagle usłyszałem rozmowę dwóch niewolnic. Myślały, że już zasnąłem i nie słyszę ich rozmowy.

Przymknąłem więc oczy jeszcze mocniej i leżałem bez ruchu, udając śpiącego.

— Nie rozumiem — rzekła pierwsza niewolnica — czemu Chryzeida nie kocha naszego króla. Pięć lat minęło od czasu jak się pobrali, a król zawsze jest dla niej pełen miłości i dobroci.

— Żal mi naszego króla! — rzekła druga niewolnica. — Wziął za żonę czarownicę, bo jestem pewna, że Chryzeida jest czarownicą. Król się nawet nie domyśla, że Chryzeida co noc wychodzi cichaczem z pałacu, ażeby się spotkać z pewnym potworem, którego czci i uwielbia.

— Jakżeby król mógł się tego domyśleć? — zawołała pierwsza niewolnica. — Przecież Chryzeida daje mu wieczorem do picia krople czarodziejskie, które pogrążają króla w śnie kamiennym na całą noc. Król śpi snem zaklętym, a nad ranem Chryzeida budzi go uderzeniem róży błękitnej, bo zapach tej róży ma taką właściwość, że usuwa wszelką senność, owymi kroplami wywołaną.

— Czemuż król się zgadza na zażywanie tych kropli? — spytała druga niewolnica.

— Król nic nie wie o tym, że ich zażywa — odpowiedziała pierwsza. — Ma on zwyczaj pić na noc szklankę wody. Chryzeida korzysta z tego zwyczaju króla i potajemnie wlewa do wody kilka kropeł czarodziejskich. Król natychmiast zasypia, a Chryzeida wychodzi z pałacu do ogrodu, gdzie na nią czeka potworny Murzyn. Murzyn ten lubi, aby go czczono jak bożka. Chryzeida od dawna czci Murzyna i chce podobno zmusić naszego króla, aby też go czcił jak bożka. Jestem jednak pewna, że król się nigdy na to nie zgodzi.

Mówiąc to, niewolnica wachlowała moje skronie złotym wachlarzem.

Rozmowa niewolnic wprawiła mnie w takie zdziwienie, że o mało nie porwał się z otomany na równe nogi.

Powstrzymałem się jednak i udałem, że się powoli budzę ze snu. Przetarłem oczy, ziewnąłem i wstałem. Niewolnice przestały mnie wachlować i skłoniwszy się, wyszły z pokoju.

Chryzeida wieczorem wróciła z przechadzki do pałacu. Była uśmiechnięta, ale mało-mówna.

— Jestem zmęczona przechadzką — rzekła, nie patrząc mi w oczy. — Noc się już zbliża. Trzeba się do snu ułożyć. Przygotowałam już dla ciebie szklankę wody, bo wiem, że, jako dobra żona, powinnam dogodzić twoim upodobaniom i obyczajom.

I z uśmiechem podała mi szklankę wody.

Wziąłem szklankę do ręki i udając, że piję, wylałem wodę za okno tak, że Chryzeida nie zauważyła mego ruchu.

Natychmiast położyłem się do łóżka i przymknąłem oczy, udając sen kamienny.

Noc już zapadła i w pokoju zapanowała ciemność zupełna.

— Czy śpisz, mój drogi mężu? — zapytała Chryzeida.

Nie odpowiedziałem na to obłudne pytanie.

Chryzeida, przekonana, że mnie zmorzył sen zaklęty, zawołała radośnie:

— Śpij, śpij, śpij, dopóki w twarz cię nie uderzę różą błękitną! Nadeszła noc, pełna czarów. Muszę przywdziać strój najpiękniejszy, aby się podobać temu, kogo czczę i uwielbiam.

Wyciągnęła potem dłonie ku lampom, zawieszonym na ścianach i szepnęła:

— Zapłońcie, lampy, zapłońcie.

Wszystkie lampy zapłonęły nagle światłem złocisto-zielonym. W tym złocisto-zielonym świetle ujrzałem Chryzeidę uśmiechniętą i straszną. Nie wątpiłem, że jest czarownicą. Nie tylko lampy, ale wszystkie przedmioty w pokoju były posłuszne jej rozkazom. Stała wyprostowana, z rękami wyciągniętymi przed siebie. Oczy jej powiększyły się, nozdrza rozszerzyły, a na ustach trwał uśmiech tajemniczy, cudowny, lecz groźny.

Czary, Czarownica, Zdrada,  
Podstęp

Pozory, Fałsz

Sen, Podstęp

Uroda, Strój

Czary, Czarownica

Lustro

<sup>59</sup>otomana — sofa, niska wyścielana kanapa z poduszkami i wałkami stanowiącymi oparcie. [przypis edytorski]



Spojrzała na zwierciadło, stojące na drugim końcu pokoju i rzekła:

— Pójdź do mnie, zwierciadło, pójdź do mnie!

Natychmiast zwierciadło poruszyło się niby żywe i przesunawszy się szybko po podłodze, stanęło naprzeciw Chryzeidy!

Chryzeida przejrzała się w zwierciadle i zawołała:

— Pójdź do mnie, suknie złocista, pójdź do mnie!

Szafa, w której zamknięta była suknia Chryzeidy, sama rozwarła się na oścież. Złocista suknia wyskoczyła z szafy, podbiegła do Chryzeidy i przystroiła ją w swe fałdy bogate.

Wówczas Chryzeida zawołała znowu:

— Pójdźcie do mnie, wierne moje klejnoty, pójdźcie do mnie!

Na te słowa otworzyły się wszystkie szuflady i szkatułki. Na własne oczy widziałem, jak ze szkatulek i szuflad wyfrunęły pierścienie, naszyjniki i bransolety. Fruwając w powietrzu, napęliły cały pokój, niby owady złote, i z brzękiem uderzały o siebie nawzajem. Potem skierowały swój lot ku Chryzeidzie, wtłaczając się na jej szyję, na ręce i na palce. W jednej chwili Chryzeida została suto przybrana w pierścienie, bransolety i naszyjniki.

Raz jeszcze przejrzała się w zwierciadle i uczyniła ręką znak tajemniczy. Zwierciadło wróciło na dawne miejsce, lampy zgasły i pokój znów się pogрузzył w ciemności.

— Śpij, śpij, śpij! — szepnęła do mnie Chryzeida. — Obyś się nigdy nie obudził!

I szybko wyszła z pokoju. Wsunąłem się z łóżka za nią. Stąpałem tak cicho, że nie słyszała moich kroków.

Przeszła przez szereg komnat, aż do ostatniej komnaty, której drzwi wychodziły na ogród. Drzwi były zamknięte. Chryzeida szepnęła jakieś słowo czarnoksięskie — i drzwi się same przed nią otworzyły. Chłodne powietrze ogrodu powiało przez drzwi otwarte i poruszyło fałdy sukni złocistej.

Chryzeida wbiegła do ogrodu. Szedłem wciąż za nią. Noc była pogodna. Gwiazdy błyszczwały.

Chryzeida szła przez aleję kasztanową i skręciła w aleję cyprysową. Z alei cyprysowej udała się do alei palmowej. Minęła aleję palmową i weszła w aleję krzewów różanych, gdzie czekał na nią olbrzymi, potworny Murzyn.

Ukryłem się pod jednym z krzewów różanych i z zapiętym oddechem przysłuchiwałem się ich rozmowie.

— Dlaczego przychodzisz tak późno? — spytał Murzyn.

— Nie mogłam przyjść wcześniej — odrzekła Chryzeida. — Musiałam czekać, aż sen zakłęty zmorzy króla.

— Jestem niezadowolony i jest mi smutno — rzekł Murzyn.

— Czemu ci smutno? — spytała Chryzeida. — Czyż nie dość ci czczę i uwielbiam?

— Cóż mi z tego, że ty jedna mnie czcisz i uwielbiasz? — odparł Murzyn. — Nikt, prócz ciebie, nie chce uznać mego piękna. Wszyscy mnie nazywają potworem. Smutno mi i nudno na tym świecie. Marzyłem o tym, że zostanę bożkiem nie tylko twoim, lecz i króla, i wszystkich jego poddanych. Obiecałaś mi, że zmusisz króla do tego, ażeby mnie czcił i uwielbiał. Tymczasem dotąd nie spełniłaś swej obietnicy.

— Nie mogę jej jeszcze spełnić — odpowiedziała Chryzeida — bo wiem, że król jest uparty. Wolę zachować przed nim w tajemnicy nasze spotkania w ogrodzie. O, nie bądź smutny, mój drogi, mój kochany Murzynie! Uczynię wszystko, czego tylko zapragniesz! Dość mi szepnąć słowo, aby całe państwo mego męża zamienić w pustynię, a jego poddanych — w sępy i kruki. Jeśli wolisz — rozkażę piorunom, aby spadły na stolicę królewską i objęły ją pożarem. Może widok pożaru rozweseli cię i zabawi, mój drogi, mój kochany Murzynie! Powiedz mi tylko swoje życzenie — a spełnię je natychmiast!

— Ja chcę być bożkiem, ja chcę być bożkiem! — powtarzał Murzyn uparcie, a twarz jego pełna była smutku i niezadowolenia.

Zbliżyli się oboje do krzewu różanego, w którym się właśnie ukryłem. Szybko obnażyłem miecz i ugodziłem mieczem w kark potwornego Murzyna.

Zanim Chryzeida spostrzegła, co się stało, wysunąłem się niepostrzeżenie z krzaka i jąłem uchodzić z powrotem do pałacu.

Klejnot

Potwór, Marzenie, Ambicja

Morderstwo

Chryzeida, przerażona krwią, która trysnęła z karku Murzyna, nie zwracała na mnie uwagi. Zdawało się jej, że jakiś włóczęga nocny przedostał się do ogrodu i zranił Murzyna, aby go potem zrabować.

Gdy już był w alei kasztanowej, usłyszałem przeraźliwe, pełne bólu jęki Chryzeydy. Wróciłem do mego pokoju i położyłem się znów do łóżka.

Zamordowanie potwornego Murzyna zmęczyło mnie tak bardzo, że<sup>60</sup> wkrótce zasnął snem głębokim.

Całą noc przespałem bez przebudzeń. Śnił mi się tylko czarny kark Murzyna z wetkniętym weń mieczem, ale śnił się niewyraźnie i mgliście. To znikał, to znów się zjawiał, brocząc krwią, która ściekała falistymi strugami.

Staralem się nie patrzeć na ten kark, co chwila zjawiający się przed oczami i spałem zawzięcie, krzepiąc snem ciało, znużone okropnymi wypadkami nocy ostatniej.

Nad ranem zbudziłem się nagle, uderzony w twarz różą błękitną. Chryzeida rzuciła we mnie tę różę, myśląc, że po zażyciu kropli czarodziejskich śpię snem zaklętym. Nie podejrzewała mnie o nic i była pewna, że ktoś inny zabił czczonego przez nią Murzyna.

Nie wątpiłem, że zadał mi w kark cios śmiertelny, gdyż Chryzeida stała przede mną blada, w szatach żałobnych. Oczy miała czerwone od łez, a usta wykrzywione bólem.

Udałem, że nie wiem o tym, co się stało tej nocy i spytałem zdziwiony, czemu przywdziała szaty żałobne i czemu ma oczy zapłakane?

— Nie pytaj mnie o to! — odrzekła smutnie Chryzeida. — Tej nocy spadły na mnie trzy największe i najsrozsze nieszczęścia. Już do końca życia na ziemi nie zrzucę żaloby, którą dzisiaj przywdziałam!

— Cóż to za trzy nieszczęścia spadły na ciebie tej nocy? — spytałem znowu.

Chryzeida załamała dłonie i rzekła smutnie:

— Śmierć ojca, który zginął na wojnie, śmierć matki, która umarła nagle od porażenia słonecznego i śmierć brata, który utonął w morzu podczas podróży...

Wiedziałem dobrze, że Chryzeida zmyśla te trzy nieszczęścia, aby w ten sposób wytłumaczyć mi przyczynę swego smutku i swej żaloby. Wszakże znów udałem, że jej wierzę najzupełniej.

— Chryzeido! — rzekłem — trzy nieszczęścia, które cię tej nocy spotkały, są rzeczywiście tak wielkie, że chyba większych na świecie być nie może. Powiedz mi jednak, jakim sposobem dowiedziałaś się o nich tej nocy? O ile pamiętam, wczoraj wieczorem byłaś jeszcze wesola i spokojna, więc zapewne nie wiedziałaś o śmierci swego ojca, matki i brata?

— Dowiedziałam się dziś w nocy — odparła Chryzeida. — Gdy spałeś snem smacznym, przybył do pałacu zwiastun<sup>61</sup>, który mi przyniósł te trzy smutne wieści. Chcę cię prosić, abys rozkazał wybudować w ogrodzie małą świątynię z marmurowym sarkofagiem we wnętrzu. W tym sarkofagu ułożę zwłoki mego ojca i będę tam co dzień spędzała kilka godzin na smutnych rozmyślaniach. Lecz nikomu, prócz mnie jednej, nie wolno będzie wchodzić do tej świątyni, bo smutek mój jest tak wielki, że wymaga zupełnej samotności.

— Czy i mnie wstęp do tej świątyni będzie wzbroniony? — spytałem, uważnie przyglądając się Chryzeidzie.

— I tobie, i wszystkim twoim poddanym! — odrzekła groźnie Chryzeida i w oczach jej błysnęła nienawiść.

— Dobrze! — odpowiedziałem — uczynię to, czego pragniesz. Dziś jeszcze każę zbudować świątynię z marmurowym sarkofagiem we wnętrzu. Ani ja, ani żaden z moich poddanych nie wejdzie do tej świątyni i nie zakłóci twego spokoju i twej samotności. Spełniam posłusznie twe życzenie na dowód, jak cię kocham. Może z biegiem czasu zapomnisz o swych nieszczęściach, zrzucisz żalobę i przestaniesz poglądać na mnie z nienawiścią, jak poglądałaś przed chwilą...

Chryzeida nic na to nie odpowiedziała. Wzruszyła tylko ramionami i wyszła z pokoju.

Co do mnie — spełniłem swoją obietnicę. Kazałem natychmiast budować świątynię na końcu ogrodu, w miejscu, gdzie został zabity potworny Murzyn, gdyż Chryzeida sama wskazała to miejsce, żądając, aby tu właśnie stanęła świątynia.

<sup>60</sup>żem zasnął — dziś raczej: że zasnąłem. [przypis edytorski]

<sup>61</sup>zwiastun — tu : osoba przynosząca nowiny. [przypis edytorski]

Nazajutrz świątynia była już gotowa. Zbudowano ją według wskazówek samej Chryzeidy, która była obecna przy robocie.

Dziwna to była świątynia! Cała z różowego marmuru, bez okien i bez drzwi. Zamiast drzwi, Chryzeida kazała zostawić jedną tylko wąską szczelinę, przez którą jeden tylko człowiek mógł się przecisnąć do wnętrza. Szczelinę tę Chryzeida zasłoniła ciężką, złocistą kotarą. Na samym środku świątyni ustawiono olbrzymi sarkofag z białego marmuru.

Wieczorem, Chryzeida sama poniosła zwłoki Murzyna do świątyni i złożyła je w marmurowym sarkofagu. Widziałem przez okno mego pokoju, jak dźwigała na rękach te potworne, czarne zwłoki w purpurowym świetle zachodzącego słońca. Niosła je przez aleję kasztanową, cyprysową, palmową, aż wreszcie wkroczyła wraz z nimi w aleję krzewów różanych, gdzie właśnie znajdowała się świątynia.

Widziałem potem, jak odsłoniła złocistą kotarę i wsunęła przez szczelinę potworne zwłoki, a potem sama wniknęła do wnętrza świątyni.

Ciekawość nie dawała mi spokoju. Chciałem zobaczyć, co Chryzeida robi teraz we wnętrzu tajemniczej świątyni.

Ponieważ noc już nadchodziła i ogród pograżył się w mroku, więc wyszedłem z pałacu do ogrodu i udałem się wprost do świątyni.

Szybko przebiegłem aleję kasztanową, cyprysową i palmową, aż przedostałem się wreszcie do alei krzewów różanych.

Księżyc wysunął się zza chmury i oświetlił nagle całą świątynię. Jej różowe marmury zdawały się przejrzysieć w jego srebrnym blasku. Złocista kotara jarzyła się tak mocno, że oślepiła moje oczy.

Przysunąłem się na palcach do tajemniczej kotary i uchyliłem jej z lekka, tak, że mogłem zajrzeć do wnętrza.

Serce zabiło mi mocniej, zaparłem oddech i zajrzałem.

To, com zobaczył, sprawiło mnie w zdumienie! Raz jeszcze miałem sposobność przekonania się, że Chryzeida jest jedną z potężnych czarownic.

W pierwszej chwili, gdy zajrzałem do wnętrza, panował tam zmrok i trudno mi było w tym zmroku rozróżnić oddzielne przedmioty. Rozróżniałem tylko marmurowy sarkofag i obok niego ciemną postać Chryzeidy. Niedługo wszakże trwała ciemność we wnętrzu świątyni. Chryzeida bowiem wyciągnęła przed siebie obydwie dłonie i szepnęła:

— Światło moje, światło zakłętę, zjaw się w ciemnościach nocnych!

Natychmiast złocisto-zielone światło wypełniło świątynię bez pomocy świec i lamp. W tym złocisto-zielonym oświetleniu ujrzałem zwłoki potwornego Murzyna, który leżał w sarkofagu, przybrany w wieniec z róż.

Po bokach świątyni stały złote kadzielnice i dymiąc, przepajały powietrze taką rozkoszną wonią, że na chwilę przymknąłem oczy i rozszerzyłem nozdrza, aby tę woń wdychać.

Tymczasem Chryzeida, stojąc nad sarkofagiem, mówiła:

— Mój drogi, mój kochany Murzynie! Podły miecz nieznanego mordercy zadał ci ranę śmiertelną! Śmierć przedostała się do twego cudownego karku, a z karku do głowy, do oczu, do warg, do rąk, do nóg, do serca! Leżysz teraz martwy i nieruchomy! Ale znam ja maść czarodziejską, która cię uleczy i uzdrowi! Tą maścią natrę twe szlachetne zwłoki, aby im przywrócić utracone życie!

Chryzeida wyjęła szkatułkę małą ze słoniowej kości, pełną wonnej czarodziejskiej maści. Starannie natarła tą maścią zwłoki Murzyna i rzeczywiście po tym starannym natarciu, Murzyn poruszył się w sarkofagu.

Chryzeida zauważyła jego poruszenie i radośnie klaszcząc w dłonie, zawołała:

— Poruszyłeś się, mój drogi! Poruszyłeś się w sarkofagu! O prędzej, prędzej powracaj do życia! O śmielej, śmielej podnieś głowę! O szerzej, szerzej rozewrzyj powieki!

Pod wpływem jej słów Murzyn podniósł głowę i otworzył oczy. Zdawało się, iż patrzy tymi oczyma w Chryzeidę i wsłuchuje się uważnie w każde jej słowo.

— Nie lękaj się miecza, nie lękaj się rany, nie lękaj się śmierci! — wołała Chryzeida. — Starannie i dokładnie natarłam cię maścią czarodziejską. Uchwyc się rękami za brzeg sarkofagu, oprzy się kolanem o dno sarkofagu, a potem powstań i wyjdź z głębi sarkofagu na marmurową posadzkę tej świątyni, którą zbudowałam dla ciebie!

Czary, Śmierć, Trup

Murzyn w tej chwili uchwycił się rękami za brzeg sarkofagu, kolanem się oparł o dno sarkofagu, potem nagle powstał i wyszedł na posadzkę tajemnicznej świątyni.

Złocisto-zielone światło płonęło coraz mocniej i rzęsiściej, a Chryzeida wołała:

— Różami uwienczyłam twe skronie! Bądź dumny! Bądź wesoły! Bądź szczęśliwy! Mów do mnie, bo pragnę głos twój posłyszeć! Jeżeli maść czarodziejska obdarzyła cię możliwością ruchu, to na pewno przywróciła ci zdolność mowy. Przemów do mnie choćby słówko jedno!

Murzyn poruszył wargami, jakby chciał coś powiedzieć, ale widocznie nie mógł głosu wydobyć. Maść czarodziejska przywróciła mu tylko pozory życia, nie życie samo. Mógł z trudnością otwierać oczy, poruszać się i chodzić, ale nie mógł mówić. Nie był martwy, ale też i nie był żywy. Posiadał jakieś dziwne, sztuczne, ociężałe i nieme istnienie.

Odtąd Chryzeida musiała go co dzień starannie nacierać maścią, aby mu przywracać zdolność ruchu. Na noc zaś układała go do sarkofagu, gdzie wypoczywał, umęczony sztucznym ruchem i dziwnym, zakłętym istnieniem.

Chryzeida przyglądała się uważnie, jak Murzyn przechadzał się ociężałe po świątyni. Złocisto-zielone światło podobało mu się zapewne, bo szeroko otwierał oczy, ażeby napęlić tym światłem swoje martwe źrenice. Podchodził po kolei do złotych kadzielnic i wdychał ich wonne dymy. Dotykał rękami marmurowego sarkofagu, jakby chciał się przekonać, czy jest dość mocny i wygodny dla noclegu. Wreszcie zaczął palcami prawej dłoni szukać na karku rany od miecza. Znalazł ją i spojrzał na Chryzeidę.

— Rozumiem, co chcesz mi powiedzieć! — zawołała Chryzeida. — Pytasz mnie, czym<sup>62</sup> się już zemściła na zbrodniarzu, który cię życia pozbawił?

Murzyn kiwnął głową na znak, że Chryzeida zgadła jego myśli.

— Nie jeszcze, nie zemściłam się — odrzekła Chryzeida. — Nie mam teraz czasu na zemstę. Muszę pierwej ciebie uleczyć zupełnie, abys mógł mówić jak dawniej, gdyś był żywy. Widzę, że tęsknisz do mowy i męczy cię twoja niemota.

Murzyn znów kiwnął głową potwierdzająco. Chryzeida zamyśliła się, westchnęła i rzekła:

— Nie wiem, czy maść czarodziejska przywróci ci zdolność mowy, ale w razie potrzeby potrafię cię sztuczną mową obdarzyć. Wsunę ci do gardła — gardło najmędrzej papugi, a będziesz mógł wówczas wymawiać te słowa, których cię sama nauczę. Widzę, że jesteś teraz zmęczony. Musisz ułożyć się znów w sarkofagu, ażeby wypocząć.

Murzyn podszedł posłusznie do sarkofagu, ja zaś co prędzej odsunąłem się od kotary i wróciłem do domu.

Odtąd Chryzeida dni całe i noce spędzała w świątyni, którą nazwała Świątynią Łez.

Nadaremnie wyczekiwałem tej chwili, gdy przestanie czcić i uwielbiać martwego Murzyna. Była mu wierna i co dzień nacierała go maścią, aby go pobudzić do sztucznego istnienia. Co dzień też napełniała kadzielnice świeżymi wonnościami i co dzień świeżymi różami wienczyła skronie czarnego potwora.

Minęły trzy lata, a Chryzeida nie zrzuciła szat żalobnych i nie przestała odwiedzać Świątyni Łez.

Zniecierpliwiła mnie wreszcie ta wierność dla martwego Murzyna. Postanowiłem wyznać Chryzeidzie, iż znam jej tajemnicę i nie zgadzam się na dalsze ubóstwanie przez nią nieżywego i nierozumnego potwora.

Pewnego razu — skoro noc zapadła — zbliżyłem się do Świątyni Łez i zajrzałem przez kotarę do wnętrza.

Murzyn, natarty maścią, ociężałe kroczył po świątyni tam i z powrotem, zawadzając czarnymi stopami o złote kadzielnice.

Chryzeida, wsparta łokciem o sarkofag, płakała. Łzy jej spływały po twarzy na marmurową posadzkę.

— Mój drogi, mój kochany Murzynie! — mówiła, płacząc coraz głośniejsze. — Już trzy lata nacieram cię maścią czarodziejską, a dotąd nie przemówiłeś do mnie ani słowa! Mówisz tylko wówczas, gdy do gardła ci wsuwam gardło papugi, ale mówisz słowa nie własne, jeno te, których sama ciebie nauczę. Jestem nieszczęśliwa, bo nie znam twych myśli, twych pragnień, twych marzeń... Czy długo jeszcze będziesz tak milczał uparcie?

<sup>62</sup>czym się już zemściła — dziś raczej: czy się już zemściłam. [przypis edytorski]

Czyż nigdy nie przemówisz do mnie z własnej, nieprzymuszonej woli? Twoje sztuczne istnienie i sztuczne ruchy przypominają mi tylko, że nie jesteś ani żywy, ani umarły. Nie należysz ani do życia, ani do śmierci. Pragnę, abys stał się żywy, jak dawniej, kiedyśmy się spotkali w ogrodzie. Może ci przywrócę prawdziwe życie wówczas, gdy spełnię twe najgorętsze życzenie, które pamiętam dobrze, a którego nie zdążyłam spełnić? Dawniej nieraz mi mówiłeś, że pragniesz, aby mój mąż i wszyscy jego poddani czcili cię, jak bożka. W państwie mego męża znajdują się cztery odrębne plemiona, mianowicie: czciciele Ognia, czciciele Nieba, czciciele Obłoków i czciciele Mogił. Zmuszę ich wszystkich oraz samego króla, aby uczcili ciebie. Czy będziesz wówczas zadowolony? Czy przemówisz do mnie? Czy nabierzesz życia i wesołości?

Murzyn kiwnął głową potakująco, ale doprawdy trudno było zgadnąć, czy rozumiał słowa Chryzeidy, czy też kiwał głową machinalnie, bez żadnego rozumienia.

— Zaczę więc od króla! — zawołała Chryzeida. — On pierwszy musi złożyć ci hołdy i klęknąć przed tobą w pokorze!

Na te słowa zawrzałem gniewem. Nie mogłem już dłużej hamować ani mego żalu, ani oburzenia. Rozsunąłem nagle kotarę, wpadłem do wnętrza świątyni, stanąłem przed Chryzeidą i tupnąwszy nogą o ziemię, zawołałem:

— Dość tego! Trzy lata znoszę cierpliwie twoje wybryki! Trzy lata patrzę na to, jak czcisz i uwielbiasz tego potwora! Nie wystarcza ci twoje własne dla niego uwielbienie, żądasz jeszcze, abym ja i moi poddani uznali bożka w tym martwym Murzynie! Zamiast tego, żeby opiekować się mną, człowiekiem żywym, który posiada serce i duszę, spędzasz dni całe z tym martwym potworem, nacierasz go co dzień maścią czarodziejską i pobudzasz do sztucznego istnienia! Dość tego! Zbudowałaś dla niego świątynię, różami wieńczyś jego skronie, smucisz się i płaczesz, że nie chce, czy też nie może przemówić do ciebie! Nie rozumiem, jak można uwielbiać takiego potwora? Żałuję, że głębiej nie pograżył mego miecza w jego przebrzydłym karku!

— Więc to tyś zabił mego drogiego Murzyna? — zawołała Chryzeida, pieniąc się od złości. — Więc to twoja zbrodnicza dłoń ośmieliła się ugodzić mieczem w jego kark wspaniały i szlachetny? Więc to przez ciebie, podły morderco, skazana jestem na nieustanne cierpienie z powodu, że mój drogi Murzyn nie może przemówić do mnie? Nie ujdiesz kary i zemsty!

I Chryzeida chwyciła muszlę pełną wody, szepnęła jakieś zaklęcie i zanim zdołałem się usunąć, wylała na mnie wodę, wymawiając te słowa:

*Do połowy bądź człowiekiem marnym,  
Od połowy bądź marmurem czarnym!*

Natychmiast uczułem, że nogi moje marmurowieją... Straszne to było uczucie! Trudno mi je nawet opisać! Miałem wrażenie, że ktoś mnie z całych sił uderzył po nogach twardą kamienną maczugą, a potem nagły bolesny chłód przeszył mnie od stóp aż do pasa!

I właśnie od stóp aż do pasa stałem się czarnym marmurem.

Murzyn spojrział na mnie i na ustach jego zjawilo się jakieś potworne skrzywienie, które Chryzeidzie wydało się uśmiechem zadowolenia.

— O jakżem szczęśliwa, że widzę na twych ustach ten cudowny uśmiech! — zawołała Chryzeida. — Ciesz się, mój drogi Murzynie, bo zemsta moja nie jest jeszcze skończona!

Chryzeida znów szepnęła zaklęcie, które i mnie, i Murzyna przeniosło nagle ze świątyni na pobliskie wzgórze.

Staliśmy teraz na wzgórzu wszyscy troje: ja, Murzyn i Chryzeida.

Pod nami w dole widniało miasto ludne — stolica mego państwa, a dalej — inne pomniejszych miasta i wsie, pełne światła w domach i dymów, które kłębiły się nad kominami, powoli tając w powietrzu. Księżyc w pełni świecił nad miastem, tak, że widać było niektóre ulice, księżycowym światłem zalane.

Cudownie wyglądało to miasto, które było stolicą mego państwa i w którym od wieków królowali moi dziadowie i pradziadowie!

Widok był tak piękny, że nawet potworny Murzyn rozszerzył swoje martwe oczy, w których wszakże nie było ani śmierci, ani życia. Nie wiem, czy te oczy widziały cokolwiek, ale zdawały się patrzeć i widzieć.

Opieka, Mąż, Żona

Zemsta

Czary, Przemiana

Chryzeida wyciągnęła dłonie nad miastem i rzekła:

— Zemsta moja nie ominie twej stolicy i całego państwa, nędzny królu, morderco uwielbianego przeze mnie Murzyna! Oto rzucę zaklęcie na twoje państwo i zamienię je w jezioro, mieszkańców zaś w ryby. Nie cofnę zaklęcia dopóty, dopóki rybia ludność zaklętego jeziora nie uzna w Murzynie swego bożka!

Na wstrętnych ustach Murzyna znów się zjawił uśmiech zadowolenia. Widocznie Murzyn za życia bardzo pragnął zostać bożkiem w jakimkolwiek państwie bałwochwalczym, bo nawet po śmierci myśl ta sprawiała mu wielką przyjemność i wywoływała na ustach uśmiech potwornego zadowolenia. Martwe jego oczy spoglądały teraz wprost na cztery świątynie, które się wznosiły w samym środku wspaniałej stolicy. Było ich cztery, ponieważ z czterech odrębnych plemion składała się ludność mego państwa. Bezbarwne oczy Murzyna zdawały się po kolei oglądać Świątynię Ognia, Świątynię Nieba, Świątynię Obloków i Świątynię Mogił.

Zapewne Murzyn marzył w tej chwili o zburzeniu tych czterech świątyń i o zbudowaniu na ich miejscu wielkiej Świątyni Murzyna, gdzie cała ludność z królem na czele składałaby hołdy jego wstrętnej i czarnej osobie.

Chryzeida trzymała w ręku muszlę pełną wody. Wargi jej szeptały nad muszlą niezrozumiałe słowa i zaklęcia. Pod tajemniczym wpływem tych słów i zaklęć, woda w muszli zaczęła wzbierać, kipieć, bulgotać i szumieć.

Wówczas Chryzeida wypłusnęła wodę z muszli w stronę stolicy i całego państwa i wyszeptala przy tym te dziwne wyrazy:

*Zemsto, zemsto, czyn swój trud!*

*Niech się stanie wodny cud!*

*Niech się stanie rybny dziw*

*Wpóśród miast i pól, i niw!*

Zaledwie Chryzeida wyszeptala to zaklęcie, a już całe państwo moje zakolysało się i zachwiało w swych posiadach. Domy poczęły znikać jeden za drugim, zapadając się w ziemię, która powoli stawała się płynną i coraz wyraźniej falowała. Zdziwiona ludność stała na ulicach bez ruchu, ale stała niedługo, bo naraz wszyscy zaczęli się zmniejszać i kurczyć, przybierając kształty rybie. Ponieważ księżyc świecił jasno, więc sam na własne oczy widziałem, jak moim wiernym poddanym wyrastają skrzela, pletwy i ogony rybie. Niektórzy z tych biednych ludzi, zaskoczonych nagłym zaklęciem, chcieli krzyczeć o pomoc, o ratunek — ale nikt z nich krzyknąć nawet nie zdążył, bo zanim usta do krzyku otworzył, już tracił głos i stawał się rybą. A wszakże wiadomo, że ryby głosu nie mają.

Widziałem też na własne oczy, jak łąki, pola, pastwiska, ogrody i lasy znikaly z powierzchni ziemi.

Widziałem to i nie mogłem temu zaradzić, chociaż byłem królem tej nieszczęsnej ziemi! Czulem się bezsilny wobec czarnoksięskiej potęgi Chryzeidy. Zamknąłem więc oczy, żeby nie patrzeć na nieszczęście swej ojczyzny.

Gdy po chwili oczy otworzył, nie było już śladu mego państwa! Zamiast ludnych i wesołych miast i wsi, zamiast bujnych łąk i lasów — ujrzałem olbrzymie czarno-złote jezioro. W miejscu, gdzie dawniej wznosiły się cztery świątynie czterech męźnych plemion — kwitły teraz na czarno-złotej wodzie cztery lilie czterech kolorów. Jedna — biała, druga — niebieska, trzecia — czerwona i czwarta — żółta.

Poddani moi zamienili się w ryby.

Łzy trysnęły mi z oczu, gdy się uczułem nagle do połowy zmarmurowiałym królem niemych, bezradnych i bezsilnych ryb, błakających się bez celu w zaklętych falach czarno-złotego jeziora! Chryzeida zaklęła czcicieli Ognia w czerwone ryby, czcicieli Nieba — w błękitne, czcicieli Obloków — w białe, czcicieli zaś Mogił — w żółte. Zostały tylko cztery wzgórza, pokryte drzewami hebanowymi. A zresztą smutno było i pusto dokoła. Księżyc jarzył się nad czarno-złotym jeziorem. Jezioro zaś było gładkie i nieruchome. Cztery tylko fale kołysały się pod czterema wzgórzami, jakby na znak, że w tym jeziorze znajdują się cztery dzielne plemiona potężnego niegdyś państwa.

Na wstrętnych ustach Murzyna znów się zjawił uśmiech potwornego zadowolenia. Jego martwe oczy zdawały się uważnie przyglądać czterem falom czarno-złotego jeziora

Zemsta, Czary

Szantaż

Przemiana

i czterem liliom, które rozkwitły na środku. Wątpię jednak, aby te oczy widziały cokolwiek naprawdę.

Staranne i codzienne nacieranie maścią czarodziejską dodawało sił martwemu Murzynowi. Siły te wszakże były sztuczne i pozorne. Chociaż Murzyn nie należał do umarłych, nie był jednak żywy. Jestem pewien, że był pozbawiony wszelkich uczuć, wzruszeń i wrażeń. Nic nie widział, nic nie słyszał i nic nie myślał.

Chryzeidzie wszakże zdawało się, że Murzyn jest zadowolony z zemsty, którą przed chwilą spełniła. Zwróciła się więc do Murzyna i rzekła:

— Mój drogi, mój wspaniały Murzynie! Obiecałam ci zemścić się na zbrodniarzu, który cię pozbawił życia — i spełniłam obietnicę. Wiem, że widok zemsty spełnionej napawa cię radością. Radość uleczy cię i uzdrowi zupełnie. Odzyskasz zdolność mowy i nareszcie przemówisz do mnie. Jestem tak stęskniona do dźwięku twego głosu, że nie chcę słuchać nawet szumu drzew i śpiewu ptaków. O mój wspaniały, mój szlachetny Murzynie! Zemsta napelniła radością twe serce. Lecz radość twoja zwiększy się, gdy król i jego poddani uznają w tobie bożka i wybudują dla ciebie świątynię w tym miejscu, gdzie teraz kwitną cztery lilie czterech kolorów! Co dzień z rana będę chodziła na brzeg czarno-złotego jeziora, aby zapytać ryby, czy chcą cię uczcić i uwielbić. Jeśli się zgodzą na to — zniszczę zakłęcie i przywrócę im dawny kształt ludzki. W przeciwnym razie niech nadal trwają w jeziorze. Z królem zaś postąpię srożej niż z jego poddanymi. Co dzień z rana do krwi będę biczowała jego plecy, dopóki nie zgodzi się uznać w tobie bożka!

Murzyn rozszerzył swoje martwe oczy i spojrzał na mnie. Zimny dreszcz przeszył mnie na wskroś od tego spojrzenia. Nie wiedziałem bowiem, czy spojrzał na mnie żywy czy umarły. Trudno mi zaś było w tej chwili zrozumieć, jak można w ten sposób patrzeć, nie będąc ani żywym, ani umarłym.

Chryzeida podniosła dłonie do góry i wyszeptła dwa zaklęcia. Za pomocą pierwszego zaklęcia przeniosła Murzyna ze wzgórza do Świątyni Łez, wprost do marmurowego sarkofagu. Za pomocą zaś drugiego zaklęcia przeniosła mnie do pałacu, do tej sali, w której się teraz znajduję.

Zaklęcie było tak zręcznie ułożone, że od razu znalazł się na tronie w postawie siedzącej. Chryzeida skinęła ręką — i natychmiast meble, i wszystkie przedmioty same usunęły się z sali do przyległej komnaty.

Zostałem w pustym pokoju, na tronie.

Wówczas Chryzeida zawołała:

*Ryby czterech kolorów,  
W cztery przybrane szaty,  
Zjawcie się w kształcie wzorów  
Na ścianach tej komnaty!*

Natychmiast ściany mego pokoju pokryły się od góry do dołu wizerunkami ryb białych, błękitnych, czerwonych i żółtych. Chryzeida zrobiła to umyślnie, ażeby malowidła moich ścian przypominały mi nieustannie jej czarnoksiężską zemstę.

Ponieważ zamiast nóg miałem czarne marmury, nie mogłem poruszyć się na swym tronie, nie mogłem podbiec do Chryzeidy i mieczem ugodzić ją w serce za tę zbrodnię zakłątą, którą popełniła na mnie i na moich poddanych.

Odtąd skazany byłem na życie samotne w pustej komnacie. Oczy moje błękały się się wciąż po ścianach, pokrytych wizerunkami ryb kolorowych. W tych czterech dziwacznych ścianach wspominałem dawną swoją władzę królewską i dawne państwo, pełne bogactw i przepychu.

Chryzeida co dzień z rana zjawia się na brzegu czarno-złotego jeziora i rybom, które pływają w jego falach, zadaje co dzień jednakie pytanie:

*Już słońce wraca z dalekich krajów,  
W niebie poranna dzwoni godzina —  
Mówcie mi, ryby czterech kolorów,  
Czy chcecie uczcić mego Murzyna?*

Ryby wysuwają z fal swe pyszczki i chórem odpowiadają:

Zemsta, Przemoc, Szantaż

Strach, Trup, Wzrok

*Wolimy płasnąć w falach jeziora,  
Niżeli uczcić twego potwora.*

Chryzeida, rozgniewana tą niezmienną odpowiedzią, udaje się do pałacu. Serce we mnie zamiera, gdy słyszę jej kroki w pobliżu.

Pełna gniewu i okrucieństwa, wbiega do mojej komnaty.

— Czy już uznałeś bożka w moim szlachetnym i wspaniałym Murzynie? — pyta, marszcząc brwi i błyskając oczami.

— Nie uznałem i nigdy nie uznam! — odpowiadam, dumnie podnosząc głowę.

Chryzeida obnaża wtedy moje plecy i chłoszcze je do krwi żelaznym biczem. Całe plecy pokryte mam ranami. Rany te nie mają czasu zabliznić się i zagoić, gdyż Chryzeida odnawia je co dzień.

Życie moje pełne jest męczarni nie ludzkiej. Męczarnia ta trwa już od lat pięciu. Dzień w dzień znoszę okrutną chłostę i nie mogę nawet uciec z pałacu, i całemu światu opowiedzieć zbrodni, która się tu co dzień odbywa. Nie mogę, bo zamiast nóg mam czarne marmury.

Ale nie dość na tym. Od chwili zaklęcia nie mogę zasnąć. Zaklęcie bowiem wpływa na niektóre osoby w ten sposób, że odbiera im zdolność snu i wypoczynku. Ja, niestety należę właśnie do tych osób. Od lat pięciu nie zamknąłem powiek! Bezsenność, codzienna chłosta i okropna myśl, że straciłem swoje państwo — wszystko to razem do głębi rozrania moje serce!

Oto jest historia mego życia. Chciałeś ją posłyszeć, szlachetny sułtanie, więc ci ją opowiedziałem.

Od lat pięciu po raz pierwszy człowiek żywy odwiedził mnie w mojej pustej komnacie. Toteż uradowałem się niezmiernie, ujrawszy ciebie. Przynajmniej miałem przed kim zwierzyć się ze swoich cierpień. Nie mogę wszakże mówić dłużej, bo płacz ściska mi gardło i nie pozwala mówić.

Król Wysp Hebanowych zasłonił twarz dłońmi i począł płakać.

— Królu! — zawołał sułtan. — Łzy nic nie pomogą. Trzeba pomyśleć o ratunku. Mam nadzieję, że uda mi się wyratować ciebie i twoich poddanych. Chcę nawet w tej chwili udać się do Świątyni Łez, aby zabić raz jeszcze Murzyna. Może maść czarodziejska nie utrzyma przy życiu potwora, po raz wtóry zabitego. A może uda mi się zabić samą Chryzeidę, której nienawidzę z całego serca. Zjawiła się ona memu kucharzowi i wielkiemu wezyrowi. Murzyna zaś widziałem osobiście w chwili, gdy smażył ryby zaklęte. Zdaje mi się, że trafię do Świątyni Łez. Pamiętam bowiem dobrze, iż trzeba przejść aleję kasztanową, cyprysową i palmową, a potem skrócić do alei krzewów różanych, gdzie właśnie znajduje się Świątynia Łez.

— Sułtanie! — odpowiedział król Wysp Hebanowych. — Widzę, że nie brak ci zapалу i że nie chcesz nawet do jutra odkładać swych zamiarów. Musisz jednak do jutra odłożyć. Chryzeida teraz jest w Świątyni Łez. Łatwo cię może postrzec i obezwładnić zaklęciem czarodziejskim. Najlepiej zrobisz, udając się do Świątyni Łez jutro z rana, kiedy Chryzeida pójdzie na brzeg jeziora, a potem wejdzie do pałacu, aby biczem żelaznym chłostać moje plecy. Tymczasem przenocuj w pałacu, bo na pewno jesteś zmęczony podróżą.

— Masz słuszność — rzekł sułtan — trzeba być rozsądnym i przebiegłym w walce z taką potężną czarownicą, jaką jest Chryzeida.

I rzeczywiście sułtan usłuchał rady króla Wysp Hebanowych i przenocował w pałacu.

Nazajutrz, skoro świt, sułtan udał się do Świątyni Łez. Przeszedł aleję kasztanową, cyprysową i palmową, potem skrócił do alei krzewów różanych i na końcu tej alei postrzegł od razu Świątynię Łez.

Ponieważ Chryzeida wyszła ze Świątyni Łez na brzeg jeziora, sułtan śmiało rozsunął złocistą kotarę i wszedł do wnętrza tajemniczej świątyni.

Owionął go wonny dym, unoszący się ze złotych kadzielnic.

Na środku świątyni stał sarkofag z białego marmuru. Sułtan podszedł do sarkofagu. Murzyn spał w głębi sarkofagu, wypoczywając po smutnym swoim dziennym żywocie. Chryzeida nie natarła go jeszcze maścią czarodziejską, gdyż nacierała zazwyczaj po powrocie z pałacu.



Sułtan obnażył miecz i rozciął Murzyna na dwoje. Wyniósł potem rozcięte zwłoki do ogrodu i ukrył je w krzewach różanych. Wrócił natychmiast do Świątyni Łez, położył się w głębi sarkofagu na miejscu Murzyna, a ponieważ w Świątyni Łez było ciemno i zaledwo źdźbło światła dziennego przenikało przez kotarę złocistą, więc trudno było odróżnić sultana od Murzyna.

Wkrótce sułtan posłyszał straszliwe jęki i krzyki króla Wysp Hebanowych. Domyślił się, że to Chryzeida biczem żelaznym chłoszcze zbolące plecy nieszczęśliwego króla. Po chwili jęki ucichły.

W pobliżu Świątyni rozległy się kroki Chryzeydy i wówczas sama Chryzeida weszła do Świątyni Łez.

Podbiegła szybko do sarkofagu i rzekła:

— O drogi mój, wspaniały Murzynie! Już byłam nad brzegiem czarno-złotego jeziora i zadałam rybom zwykłe pytanie, ale niestety, otrzymałam tę samą upartą odpowiedź! Już wychłostałam biczem żelaznym plecy króla Wysp Hebanowych! A teraz przybiegłam do ciebie z prośbą, abys przemówił do mnie choćby jedno słowo! Od lat pięciu czekam na dźwięk twego głosu — ale czekam nadaremnie! O, kiedyż nareszcie przemówisz do mnie, abym знаła twoje myśli, pragnienia i marzenia!

Sułtan z lekka poruszył się w sarkofagu i z cicha mruknął, jakby chciał coś powiedzieć.

— Czy słuch mnie myli? — zawołała radośnie Chryzeida. — Czyż rzeczywiście sły-  
szałam przed chwilą twoje cudowne, rozkoszne mruknięcie?

— Tak, to ja mruknąłem — rzekł sułtan, udając gruby głos Murzyna. — Mruknąłem, bo jestem niezadowolony z ciebie. Już od lat pięciu patrzę na twoje głupie czyny i milczę uparcie, bo nie chcę rozmawiać z tobą. Znużyło mnie wreszcie to pięcioletnie milczenie i mruknąłem z niezadowolenia. Od dawna bym się wyleczył ze swojej martwoty, gdyby nie jęki króla Wysp Hebanowych. Te jęki psują mi humor i wesołość i przeszkadzają działaniu maści czarodziejskiej. Idź natychmiast do pałacu i zdejm<sup>63</sup> z króla zakłęcie!

— Spełnię niezwłocznie twoje życzenie! — rzekła Chryzeida i pobiegła do pałacu.

Zdziwił się i zatrwożył król Wysp Hebanowych, ujrawszy znowu Chryzeydę w swojej komnacie, gdyż Chryzeida odwiedzała go raz tylko dziennie, nad ranem.

— Czy chcesz mnie dwa razy dziennie chłostać biczem żelaznym? — zapytał, dumnie podnosząc głowę.

— Nie! — odparła Chryzeida. — Tym razem przychodzę po to, aby cię odkląć, gdyż mój szlachetny i wspaniały Murzyn zażądał tego odklęcia.

Chryzeida wyjęła muszlę pełną wody i wylała ją na króla, wymawiając te wyrazy:

*Zamiast biczem ciebie chłostać,  
Chcę ci dawną wrócić postać.*

W tej chwili król Wysp Hebanowych uczuł, że czarne marmury zeń spadły, i że mu odrosły nogi, silne i zwinne, jak za dawnych czasów.

Chryzeida wróciła do Świątyni Łez i znów stanęła koło sarkofagu.

— Mój drogi Murzynie! — rzekła. — Już król Wysp Hebanowych odzyskał swoje nogi. Czy jesteś teraz zadowolony?

— Nie! — mruknął sułtan. — Nie jestem jeszcze zadowolony. Ryby zakłęte co noc wysuwają z fal swe pyski i jęczą tak głośno, że spać mi nie dają! Brak snu opóźnia moje wyzdrowienie. Idź na brzeg jeziora i cofnij zakłęcie, które rzuciłaś na poddanych króla, na miasta, na grody, na łąki, na lasy i na pola. Wówczas dopiero będę mógł spać spokojnie i nabierać sił i życia.

Chryzeida pobiegła z muszlą w rękę na brzeg jeziora i wylała wodę z muszli na jezioro, wymawiając te wyrazy:

*Ludzie, łąki, lasy, grody —  
Wynurzcie się z głębi wody!*

W tej chwili jezioro znikło, a na jego miejscu zjawilo się dawne państwo, pełne miast, łąk, lasów i pól. Ulice zapelniły się ludźmi, którzy wesołymi okrzykami witali się nawza-

<sup>63</sup>zdejm — dziś popr. forma 2os. lp trybu rozkazującego: zdejmij. [przypis edytorski]

jem. Stada wołów, krów i kóz pasły się na łąkach. Drzewa zaroily się od ptaków. Wszędzie było pełno życia, szczęścia i wesela.

Stu rycerzy sultana z wielkim wezyrem na czele nie mogli zrozumieć, co się stało dookoła? Rozpięli bowiem namioty pod wzgórzem, w miejscu bezludnym i samotnym. I nagle ujrzeli, że znajdują się w olbrzymim mieście, wśród domów, pałaców i ogrodów.

Tymczasem Chryzeida wróciła do Świątyni Łez i rzekła:

— Mój szlachetny Murzynie! Już cofnęłam moje zaklęcie i ryby nie będą po nocy niepokoiły twego snu. Czy jesteś teraz zadowolony?

— Jestem teraz zadowolony! — mruknął sultan. — Chcę ci jednak powierzyć jedną tajemnicę, od której zależy moje uzdrowienie. Schyl się nad sarkofagiem i przybliż do mnie ucho, abym mógł ową tajemnicę szepnąć ci do ucha.

Chryzeida pochyliła się nad sarkofagiem, a sultan przygotowanym mieczem uderzył ją w kark tak mocno, że odrąbana głowa spadła na ziemię.

Wówczas sultan wyskoczył z sarkofagu i pobiegł do pałacu, gdzie nań czekał król Wysp Hebanowych.

Poszli razem do miasta, gdzie zastali zdziwionego wezyra i stu zdziwionych rycerzy. Sultan opowiedział wszystko, co uczynił ku zbawieniu króla i jego poddanych, a potem rzekł:

— Królu Wysp Hebanowych! Widziałem twoje cierpienia i pokochałem cię jak syna. Chcę, abyś został następcą mego tronu. Państwo moje znajduje się w pobliżu twego, zaledwo kilka godzin drogi dzieli twój kraj od mojego. Zapraszam cię więc do mojego pałacu, gdzie wypoczniesz po pięcioletnich męczarniach.

Król Wysp Hebanowych uśmiechnął się i odparł:

— Państwo moje leżało w pobliżu twego dopóty, dopóki było zaklęte, gdyż zaklęcie zmniejsza albo niweczy wszelką odległość. Wszakże teraz, gdy jest odklęte, odsunęło się na odległość rzeczywistą. Nie godzin kilka, ale rok cały musisz jechać, zanim do swego państwa dotrzesz. Pomimo to chętnie pojedę wraz z tobą, bom cię pokochał jak ojca. Postaram się być godnym ciebie następcą tronu. Pozwól jednak, abym twemu wielkiemu wezyrowi na czas mej nieobecności powierzył rządy mego kraju.

Sultan zgodził się na to chętnie. Wielki wezyr został w państwie Wysp Hebanowych, a sultan i król wraz ze stoma rycerzami wyruszyli w drogę.

Jechali rok cały, aż wreszcie dojechali do państwa sultana.

Król Wysp Hebanowych zamieszkał w pałacu sultana, a wkrótce potem ożenił się z jego córką, piękną i młodą Hassyną.

Oboje byli szczęśliwi i weseli.

Król co dzień niemal musiał opowiadać Hassynie bajkę o rybach zaklętych, o jeziorze czarno-złotym, o potwornym Murzynie i o okrutnej Chryzeidzie.

Ponieważ sultan zawarł znajomość z królem Wysp Hebanowych dzięki rybakowi, więc obdarzył rybaka skarbami i olbrzymim pałacem. Rybak stał się bogaty tak, jak mu to Geniusz przyobiegał. Zamieszkał wraz z żoną i czworgiem dzieci w pałacu i przestał łowić ryby.

Ale razu pewnego zachciało mu się ryb cudownych, które łowił w jeziorze czarno-złotym. Poszedł więc w stronę jeziora z siecią na plecach, jak to był dawniej zwykł czynić. Jakież wszakże było jego zdziwienie, gdy nie znalazł ani jeziora czarno-złotego, ani ryb czterech kolorów.

Wrócił do pałacu z pustą siecią i odtąd już postanowił nigdy ryb żadnych nie łowić.

## Rybak i geniusz<sup>64</sup>

Był pewien rybak ubogi i pracowity. Miał żonę i czworo dzieci. Mieszkał w nędznej chacie i co dzień chodził na połów ryb nad morze. Zarzucał sieć tylko cztery razy dziennie, gdyż taki miał dziwny obyczaj.

<sup>64</sup>Rybak i geniusz — pierwsza połowa baśni, której kontynuację stanowi *Opowiadanie Króla Wysp Hebanowych*. [przypis edytorski]

Pewnego razu szedł z siecią na plecach w stronę morza i tak, idąc, śpiewał:

*Dziwny rybak ze mnie,  
Żal się Panie Boże!  
Cztery razy tylko  
Sieć zarzucam w morze.*

*Cztery razy w morzu  
Szczęścia chcę próbować,  
Bo tylko do czterech  
Potrafię rachować<sup>65</sup>.*

*A teraz opowiem  
Słońcu na błękicie,  
Jak mego rachunku  
Uczyłem się skrycie.*

*Jeden księżyc w niebie  
Świeci na obłoku,  
Drugi — na jeziorze,  
Trzeci — w moim oku.*

*Więc razem trzy czynią:  
Jeden — drugi — trzeci,  
Liczę zaś do czterech,  
Bo mam czworo dzieci!*

Jakiś wróbel, siedząc na drzewie, przysłuchiwał się uważnie piosence rybaka. Gdy rybak skończył, wróbel strzepnął ze skrzydeł roś, otworzył dzióbek i odpowiedział:

Ptak

*Rybaku, rybaku,  
Szczęścia tobie życzę!  
Ty liczysz do czterech,  
Ja do pięciu liczę.*

*Mógłbym wytłumaczyć  
Małemu dziecąciciu,  
Jak się nauczyłem  
Rachować do pięciu.*

*Skrzydła moje pędzą  
W cztery strony świata,  
Bo po całym świecie  
Każdy wróbel lata.*

*Więc mi liczba cztery  
Wykreśla się cudnie  
Na wschód i na zachód,  
Północ i południe.*

*Cztery świata strony,  
Cztery świata kąty,  
Liczę zaś do pięciu,  
Bo sam jestem piąty!*

<sup>65</sup>rachować — dziś raczej: liczyć. [przypis edytorski]

Zdaje się, że rybak nie rozumiał tej piosenki wróbla, bo szedł dalej w milczeniu i nawet na wróbla nie spojrział. Tymczasem z dala już zabłękitniało morze, zaszumiały fale i powiał wiatr, zapachem morskiej wody przesycony.

Rybak stanął na brzegu i zarzucił sieć do wody. Po chwili wyciągnął ją, ale bardzo posmutniał, bo zamiast ryb ujrzał na dnie sieci piasek morski. Zarzucił więc sieć po raz wtóry i znowu wyciągnął, lecz nadaremnie, gdyż tym razem sieć nappełniła się tylko trawą morską.

Westchnął rybak i pogрузił sieć w morzu po raz trzeci, lecz znów na próżno, bo na dnie sieci tylko il<sup>66</sup> morski osiadł.

— Nie szczęści mi się dzisiaj! — zawołał rybak. — Dzieci w domu na obiad czekają, a ja dotąd ani jednej ryby nie złowiłem! Już trzy razy sieć zarzuciłem, więc tylko raz jeszcze, ostatni raz mogę ją zarzucić! Jeśli i tym razem nic nie złowię, to trzeba będzie cały dzień głodować.

Rybak zarzucił sieć po raz czwarty i ostatni. Sieć pogрузiła się w morzu, a rybak, patrząc na nią, mówił:

— W morzu odbija się niebo, pełne słońca i obłoków. Sieć moja pogрузiła się nie tylko w morzu, lecz i w tym niebie, które się w wodzie odbiło. Bóg zaś przebywa wszędzie — i w niebie prawdziwym, i w niebie odbitym na fali, więc widzi moją sieć i ryby, które dookoła sieci krążą. Boże, który przebywasz w niebie, odbitym na fali, pobłogosław sieć moją i rozkaż rybom, aby się w sieci zgromadziły!

Rybak westchnął głęboko i chwycił za sieć, aby ją na brzeg wyciągnąć. Wówczas uczuł, że sieć jest ciężka, więc uradował się bardzo, sądząc, że złowione ryby tak ciężą.

Co prędzej wywlócił sieć na brzeg i zajrzał do jej wnętrza, lecz zamiast ryb zobaczył małą szkatułkę miedzianą. Wyjął natychmiast szkatułkę i począł się jej przyglądać.

Szkatulka była na głucho zamknięta i miała na sobie pieczęć ze znakiem sygnetu.

Rybak, zdjęty ciekawością, zerwał pieczęć, otworzył szkatułkę i zajrzał do wnętrza.

Na razie nic nie zobaczył. Szkatulka była pusta. Po chwili wszakże z wnętrza szkatułki zaczęła się dobywać mgła biała. Dobywała się coraz szybciej i coraz swobodniej, aż wreszcie przesłoniła całe morze. Rybak nigdy jeszcze nie widział tak gęstej mgły.

Mgła powoli zaczęła się układać w kształty ludzkie. Najpierw zjawiała się olbrzymia głowa, potem szyja i ramiona, potem ręce i tułów, wreszcie nogi. Wówczas rybak ujrzał przed sobą jakiegoś wielkoluda, który stał na brzegu, a był tak wysoki, że rybak musiał głowę zadrzeć do góry, aby mu w twarz spojrzeć. Był to jeden z Geniuszów, którzy są mocniejsi od zwyczajnych czarnoksiężników i zjawiają się bardzo rzadko — w najsmotniejszych miejscowościach albo w najstraszniejszych bajkach. Rybak się zląkł, ale nie chciał pokazać, że jest tchórzem, więc uklonił się grzecznie i rzekł:

— Dzień dobry! Jakże się spało na dnie szkatułki?

Geniusz odpowiedział głosem grzmiącym:

— Spałem na dnie szkatułki trzy wieki, to znaczy trzysta lat, i po raz pierwszy od lat trzystu oglądam ziemię.

— Właśnie na ziemi panuje w tej chwili wiosna — zawołał rybak — słońce świeci, ptaki śpiewają i drzewa się zielenią. Pewno na dnie morza, gdzieś tak długo leżał zamknięty w szkatule, nie ma ani ptaków, ani drzew, ani słońca?

Geniusz znów odrzekł głosem grzmiącym:

— Po raz pierwszy od lat trzechset patrzę na słońce, na drzewa i na ptaki, lecz ty, rybaku, patrzysz na te cuda po raz ostatni, gdyż dziś jeszcze za chwil kilka muszę cię uśmiercić!

— Za co? — spytał rybak. — Przecież ci nic złego nie uczyniłem! Leżałeś zamknięty w szkatule na dnie morskim przez lat trzysta i leżałbyś nadal, gdybym cię nie wyratował. Zamiast mi się wywdzięczyć za ratunek, chcesz mnie zabić?

— Muszę cię zabić — rzekł Geniusz.

— Dlaczego musisz? — zawołał rybak.

— Nie pytaj mnie o nic, bo nie mam czasu na tłumaczenia — odpowiedział Geniusz. — Musisz umrzeć za chwil kilka. Przez wdzięczność za to, że mnie uratowałeś, pozwalam

Głód

Bóg, Modlitwa

Tajemnica

Wiosna

Śmierć, Morderstwo

<sup>66</sup>il — miękka skała osadowa złożona z bardzo drobnych ziarenek, podobna do gliny. [przypis edytorski]

ci wybrać rodzaj śmierci. Mów mi więc szczerze, jaką śmierć wolisz: przez utopienie, przez powieszenie, przez uduszenie, przez otrucie czy też przez rozplatanie głowy mieczem?

Rybak zamyślił się i rzekł:

— Jeśli mam być szczerzy, wtedy wyznaję, że żadna z tych śmierci nie przypada mi do gustu. Nie chcę być ani wisielcem, ani topielcem, ani uduszonym, ani zarżniętym. Wolę żyć tak, jak żyłem dotąd — w nędzy i w biedzie, byle zawsze widzieć słońce i drzewa, i kwiaty.

— Nie nadużywaj mojej cierpliwości i nie marudź z wyborem tej lub innej śmierci — zawołał Geniusz. — Powtarzam ci: musisz umrzeć za chwil kilka, więc na próżno żałujesz słońca i drzew, i kwiatów.

Zafrasował się rybak bardzo, podrapał się w głowę i rzekł:

— Widzę, że śmierci nie uniknę, ale niech się dowiem przynajmniej, dlaczego i za co umieram? Przecież jestem twoim zbawcą, więc mam prawo żądać jakiegokolwiek wdzięczności. Nie wymagam od ciebie innej nagrody za ratunek, prócz tej tylko, abyś mi wytłumaczył przed śmiercią, czemu umrzeć muszę?

— Dobrze! — odpowiedział Geniusz. — Zrobię dla ciebie to ustępstwo i wytłumaczę ci przyczynę twojej nieuniknionej śmierci, gdyż widzę, że nie chcesz umrzeć bez wyjaśnienia owej tajemniczej przyczyny. Słuchaj więc mojej dziwnej opowieści!

— Słucham! — zawołał rybak, Geniusz zaś mówił dalej:

— Za dawnych czasów, za panowania króla Salomona, świat był zupełnie inny niż dzisiaj. Na drzewach rosły wówczas, zamiast owoców, wonne i tajemnicze książki w złotej oprawie, pełne cudownych malowideł i czarodziejskich bajek. Uczone ptaki w błękitnych okularach przewracały dziobami karty owych książek i przyglądając się malowidłom, na głos czytały po kolei rozmaite bajki. Jesienią książki te więdły, jak więdną liście, i z szelestem spadały na ziemię. Wówczas osły, kozły i barany zjadały powiędłe książki, nie wiedząc wcale o tym, że zjadają czarodziejskie bajki i cudowne malowidła.

W lasach mnóstwo było mądrych słoni, które, zamiast trąb, miały ruchome lunety i patrzyły przez te lunety w gwiazdy dalekie, aby z gwiazd wyczytać przyszłość ojczystego lasu.

Węże ówczesne nosiły złociste bransolety i pierścienie i umiały tańczyć przy świetle księżycy dzikie, zakłete, opętane tańce, dzwoniąc przy tym nadmiarem pierścieni i bransolet.

Koniki zaś polne i świerszcze przychodziły na świat z małym, prawie niewidzialnym krzesiwem w łapkach. Strzygąc łapkami, krzesaly co chwila na łąkach iskry błękitne i czerwone tak, że łąki całe iskrzyły się w nocy, a kwiaty ciekawie się przyglądały tym błękitnym i czerwonym iskrom.

W świecie tym panował mądry i potężny król Salomon. Przeczytał on wszystkie księgi, poznał wszystkie czary, nauczył się na pamięć wszystkich zaklęć. Rozumiał też język zwierząt i ptaków. Żaden król, żaden czarnoksiężnik nie mógł walczyć z królem Salomonem! Nawet Geniusze byli mu posłuszni i bali się jego gniewu.

Ja tylko jeden byłem zbyt hardy i dumny, aby się upokorzyć przed potęgą króla Salomona! Ja tylko jeden zbuntowałem się przeciw jego władzy i odmówiłem mu posłuszeństwa!

Nazywam się Sakar i jestem największy i najsilniejszy ze wszystkich Geniuszów świata. Nie chciałem więc służyć królowi Salomonowi, nie chciałem wykonywać jego rozkazów.

Dowiedział się o tym król Salomon i przysłał po mnie Assafa, ministra swego dworu.

Assaf zaprowadził mnie przed tron Salomona.

Nie chciałem uklęknąć przed potężnym królem, tylko dumnie podniosłem głowę i rzekłem:

— Królu, jestem Geniuszem, który przyszedł na świat po to, aby panować. Żadną groźbą, żadnym zaklęciem nie zmusisz mnie do pokory i posłuszeństwa!

Wówczas król Salomon zmarszczył brwi i zawołał:

— Czyż nie wiesz o tym, że przeczytałem wszystkie księgi, że poznałem wszystkie czary i że się nauczyłem na pamięć wszystkich zaklęć? Nikt mi w potędze nie dorówna i nikomu nie wolno odmawiać mi posłuszeństwa!

I król Salomon spojrział na mnie groźnie.

Roześmiałem mu się w oczy i odparłem:

Zwierzęta

Taniec, Wąż

Buntownik

Więzień

— Zanim tyś na świat przyszedł — ja już od dawna istniałem na tym świecie! Zanim tyś zdążył przeczytać księgi, pełne tajemniczych baśni — ja już od dawna byłem bohaterem tych baśni! Czuję się większym i potężniejszym od ciebie i raz jeszcze powtarzam, że nie będę ci posłuszny!

Król Salomon tupnął gniewnie nogą o ziemię i rozkazał Assafowi, aby natychmiast przyniósł ze skarbca królewskiego szkatułę miedzianą.

Assaf przyniósł szkatułę. Król Salomon otworzył ją i wyszeptał jakieś dziwne nieznanne mi zaklęcie. Wówczas uczulem, że pod wpływem tego zaklęcia rozluźniam się i rozwiewam w mgłę białą.

Gdy się już cały w mgłę zamieniłem, król Salomon wdmuchnął mgłę do wnętrza szkatuły, zamknął pokrywę, położył na niej pieczęć czerwoną i odcisnął na pieczęci znak swego sygnetu, na którym było wyrzeźbione imię króla Salomona.

Robiłem w szkatule wysiłki, aby ją otworzyć — ale nadaremnie. Pieczęć z odcisniętym na niej imieniem króla Salomona okazała się mocniejszą ode mnie. Zrozumiałem, że nigdy nie potrafię złamać tej pieczęci i wydostać się z mego więzienia!

Król Salomon rozkazał Assafowi wrzucić szkatułę wraz ze mną do morza.

Assaf wrzucił. Szkatuła pograżyła się w morzu i osiadła na dnie morskim.

Ogarnęła mnie rozpacz i przerażenie! Zrozumiałem, że tylko szczęśliwy przypadek może mnie uratować. Marzyłem na dnie morskim, że jakiś rybak zawadzi nieostrożnie siecią o miedzianą szkatułę i na brzeg ją wyciągnie, a potem przez ciekawość złamie pieczęć i otworzy, aby zajrzeć do wnętrza. Postanowiłem więc czekać cierpliwie na taki przypadek sto lat. Przyrzekłem sobie, że tego, kto mnie zbawi, uczynię najbogatszym na świecie człowiekiem.

Wszakże czekałem nadaremnie! Sto lat minęło, a nikt mnie nie uratował.

Wówczas postanowiłem czekać na dnie morskim drugie sto lat i przyrzekłem sobie, iż tego, kto mnie w drugim stuleciu uratuje, uczynię królem całego świata.

Lecz znów czekałem na próżno. Drugie sto lat minęło, a nikt mnie nie wyzwolił z mego więzienia!

Byłem jednak cierpliwy. Postanowiłem czekać trzecie sto lat i poprzysiągłem w duchu, iż tego, kto mnie w trzecim stuleciu wyratuje, uczynię najpotężniejszym na świecie czarownikiem.

I znów minęło sto lat — bez żadnych zmian, bez żadnego ratunku. Nastąpiło czwarte stulecie... Widząc, jak mi się na dnie morskim nieszczęści, straciłem wreszcie wszelką cierpliwość. Zawrzał we mnie gniew i nienawiść przeciwko wszystkim ludziom, co chodzą tam na brzegu, na powierzchni ziemi. I przysiągłem wówczas sobie, że tego, kto mnie teraz wybawi, uśmiercę natychmiast. Przez wdzięczność zaś za ratunek pozwolę mu tylko wybrać rodzaj śmierci.

Właśnie w chwili, gdy wymówiłem tę przysięgę, sieć twoja, rybaku, zawadziła o szkatułę i wygarnęła ją z dna morskiego.

Dzięki tobie znów jestem wolny i znów widzę słońce, ptaki i drzewa. Przysięgi jednak złamać nie mogę. Sam to chyba dobrze rozumiesz, że przysięga Geniusza musi być spełniona. Nie marudź więc i nie zwlekaj. Wybierz rodzaj śmierci i umieraj w tym przekonaniu, że śmiercią swoją spełniłeś przysięgę Geniusza!

— Mój panie Geniuszu — odpowiedział rybak — opowieść twoja bardzo mnie zaciekawiła. Podobał mi się jej początek, ale wcale nie podobał mi się koniec. Nie rozumiem, czemu w końcu przysięgałeś, że pozbawisz życia swego zbawcę. Myślałem dotąd, że Geniusze są i mędrsi, i wdzięczniejsi, i nie składają tak lekkomyślnych przysięg.

— Rybaku! — zawołał Geniusz — okazuj mi więcej czci i szacunku! Nie nazywaj mnie „moim panem Geniuszem” i nie zarzucaj mi lekkomyślności. Jestem tak wielki, że ogarnąć mnie okiem nie możesz, a mimo to traktujesz mnie żartobliwie, jak równego sobie. Tylko tacy mali i zwyczajni ludzie, jak ty, lubią obchodzić się z Geniuszami poufale i niegrzecznie.

— Mój wielki panie Geniuszu! — zażartował znowu rybak. — Jakże mogę być grzeczny dla tego, który chce mnie zabić? Na domiar złego opowiadasz mi bajki, w które uwierzyć nie mogę. Twierdzisz, żeś to ty właśnie był ukryty w tej małej szkatułce, którą ja z dna morskiego wyłowilem. Ja zaś twierdzę, że stanowczo jesteś za wielki, abyś mógł się w tej szkatułce pomieścić. Uważam więc wszystko, coś mi mówił, za kłamstwo. I w to,

Przysięga

Podstęp, Kara

żeś sobie poprzysiągł zadać mi śmierć, też nie uwierzę dopóty, dopóki się nie przekonam naocznie, żeś to ty właśnie znajdował się we wnętrzu szkatułki. Wówczas dopiero chętnie się poddam twoim żądaniom i wybiorę rodzaj śmierci.

— O, niedowiarku! — zawołał Geniusz. — Tacy mali i zwyczajni ludzie, jak ty, nigdy nie ufają Geniuszom. Spójrz więc i naocznie się przekonaj, że mówiłem prawdę!

To rzekłszy, Geniusz rozluźnił się i rozwiął we mgłę białą. Mgła uniosła się nad brzegiem morskim i przesłoniła całe morze. Potem zaczęła się powoli zgęszczać i opadać falami na dno otwartej szkatuły.

Gdy już wszystka mgła zgromadziła się w szkatule, rybak usłyszał głos Geniusza, wychodzący ze szkatuły:

— Podejdź bliżej, niedowiarku, i przekonaj się teraz naocznie o prawdzie słów moich. Zobacz, czy się nie pomieściłem cały w tej szkatule miedzianej.

Rybak zbliżył się do szkatuły, zajrzał do jej wnętrza i zawołał:

— Widzę, żeś nie skłamał, mój mglisty panie Geniuszu. Twoja mglistość zaczyna mi się nawet bardzo podobać. Nie przypuszczałem, że z takiej mgły powstają tacy wielcy, jak ty, Geniusze.

— Przyjrzyj mi się uważnie — odpowiedział Geniusz z głębi szkatuły — ażebyś potem znów nie zaczął wątpić w moje zdolności rozwiewania się w mgłę i gromadzenia się w tej małej szkatule.

— Przyglądam ci się uważnie i dziwuję się niezmiernie — rzekł rybak, nagłym ruchem zatrzaskał pokrywę szkatuły i natychmiast przyłożył czerwoną pieczęć z odcisniętym na niej znakiem sygnetu Salomonowego.

Geniusz niespokojnie poruszył się w szkatule i zrobił wysiłek, aby ją otworzyć, ale na próżno. Już był uwięziony i nie mógł złamać potężnej pieczęci króla Salomona!

— O, przebiegły rybaku! — Oszukałeś mnie tak, jak ludzie zwyczajni oszukują Geniusza, który im zaufał! Otwórz szkatułę, gdyż w przeciwnym razie rzucę na ciebie przekleństwo!

— Nie otworzę szkatuły — odpowiedział rybak. — Chciałeś mnie zabić, więc słusznie cię ukarałem. Pozostań na zawsze mgłą, zamkniętą w szkatule. Wrzucę cię z powrotem do morza i postawię w tym miejscu na brzegu słup z napisem: Strzeżcie się miedzianej szkatułki, w której ukrywa się Geniusz. Wszyscy rybacy przez wieki całe będą czytali ten napis i jeżeli ich sieć wygarnie z morza przypadkiem twoją szkatułę, wrzucą ją z powrotem do wody, ostrzeżeni moim napisem. Aż do końca świata będziesz leżał na dnie morskim samotny, beznadziejny i mglisty. O jednego Geniusza mniej będzie na powierzchni ziemi, a o jedną szkatułę więcej na dnie morskim.

— Rybaku! — zawołał Geniusz. — Nie czyn tego! Kocham ziemię i chcę na ziemi przebywać. Jeśli nie chcesz otworzyć szkatuły, zdejmij przynajmniej pieczęć króla Salomona, gdyż brzemień tej pieczęci dławi mnie i dusi.

— Nie głupim<sup>67</sup>! — odrzekł rybak. — Wiem, że pieczęć Salomonowa potężniejsza jest od ciebie. Gdybym zdjął pieczęć, sam byś potrafił otworzyć szkatułę i zabiłbyś mnie natychmiast. My, ludzie zwyczajni, wymagamy wdzięczności i nagrody za nasze usługi, ty zaś zamiast wdzięczności i nagrody za to, że cię uratowałem, chciałeś mnie pozbawić życia.

— Pozwoliłem ci za to wybrać rodzaj śmierci — rzekł Geniusz.

— Kpisz ze mnie chyba — zawołał rybak. — Nie wiem, jak dla was, Geniuszów, ale dla mnie, człowieka zwyczajnego każdy rodzaj śmierci jest równie straszną karą. Nie rozumiem wcale twego postępowania ze mną. Jesteś dla mnie niezrozumiały, mglisty i muszę cię ukarać za twoją niewdzięczność, mglistość, niezrozumiałość i za to, że masz uczucia niepodobne do moich. Gdybym był takim, jak ty, Geniuszem, potrafiłbym wynagrodzić takiego, jak ja, rybaka, który ma czworo dzieci i żonę, i w pocie czoła musi na chleb czarny zarabiać.

— Rybaku! — zawołał Geniusz. — Otwórz szkatułę, a przysięgam ci, że uczynię cię człowiekiem bogatym.

— Nie ufam twoim przysięgom! — odpowiedział rybak.

Przysięga

<sup>67</sup>nie głupim — dziś raczej: nie jestem głupi. [przypis edytorski]

— Niedowiarku! Znów mi nie ufasz! — rzekł Geniusz. — Wiedz o tym, że Geniusze spełniają swe przysięgi i dotrzymują swego słowa.

— Przysięgnij mi na potężne imię króla Salomona, że nie pozbawisz mnie życia, lecz uczynisz człowiekiem bogatym — wówczas ci uwierzę.

— Przysięgam ci na króla Salomona! — zawołał Geniusz.

Rybak zdjął pieczęć i otworzył szkatułę.

Z wnętrza szkatuły natychmiast zaczęła się wydobywać mgła biała. Mgła przesłoniła wkrótce całe morze, a potem powoli ułożyła się w kształt ludzki — i rybak znów ujrzał przed sobą olbrzymią postać Geniusza.

Geniusz pośpiesznie stracił nogą do morza miedzianą szkatułę. Szkatuła z pluskiem wpadła do wody i utonęła.

— Toń, podła szkatuło! — zawołał Geniusz. — Nikt już odtąd nie potrafi uwięzić mnie w twym wnętrzu!

Te słowa Geniusza i nagle zniknięcie w morzu szkatuły przeraziły rybaka. Ukłękł, cały drżący, i szepnął:

— Geniuszu, przebac mi moją przebiegłość i chęć ukarania ciebie. Pamiętaj, żeś przysięgł na króla Salomona, iż nie pozbawisz mnie życia, ale uczynisz człowiekiem bogatym.

— Niedowiarku! — rzekł Geniusz. — Znów mi nie ufasz! Widzę, żeś po to tylko na świat się narodził, aby nie ufać Geniuszom... Nie wolno mi łamać swych przysięg. Muszę je spełniać dokładnie i sumiennie. Nie bój się! Nie zabiję ciebie, lecz przysporzę ci bogactw, o jakich nigdy nie śniłeś. Słuchaj mnie tylko uważnie i zapamiętaj każde słowo. Idź brzegiem morza dopóty, dopóki nie dojdiesz do różowej skały. Wówczas skreć na prawo i znów idź dopóty, dopóki nie ujrzysz czterech wielkich wzgórz, na których rosną drzewa hebanowe. Pomędzy tymi wzgórzami znajduje się jezioro. Zarzuć sieć do tego jeziora, ryby zaś, które tam złowisz, zanieś swemu sułtanowi. Oto wszystko, co mogę ci powiedzieć. Pamiętaj, że wolno ci tylko raz na dzień sieć zarzucać. Jeżeli zarzucisz dwa razy, czeka cię śmierć nieunikniona. A teraz żegnaj na zawsze! Odlatuję ku słońcu, aby w jego promieniach wyzłocić skrzydła, które tak długo na dnie morskim leżały bez ruchu.

I rybak nagle ujrzał, jak na plecach Geniusza wyrosły dwa olbrzymie skrzydła. Geniusz poruszył skrzydłami i, szumiąc, unióśł się w powietrze ku słońcu.

Długo patrzył rybak w odlatającego Geniusza, aż wreszcie Geniusz znikł mu z oczu, pograżając się w oślepiającym blasku złotego słońca.

\*

Rybak niezwłocznie udał się w drogę, wskazaną przez Geniusza. Szedł brzegiem morza, aż doszedł do różowej skały. Wówczas skreślił na prawo i szedł znowu tak długo aż doszedł do czterech wzgórz, na których rosły drzewa hebanowe.

Pomędzy wzgórzami zobaczył jezioro olbrzymie i tajemnicze.

Cztery wzgórza odbijały się w jeziorze wraz z hebanowymi drzewami. Woda tego jeziora była czarno-złota. Na samym środku jeziora kwitły cztery lilie wodne, każda innego koloru: jedna — biała, druga — czerwona, trzecia — niebieska, czwarta zaś — żółta.

Jezioro było gładkie i nieruchome i falowało tylko w czterech miejscach pod czterema wzgórzami, tak że tylko cztery fale z lekka kołysały się na jego czarno-złotej powierzchni.

— Nigdy nie widziałem tak dziwnego jeziora! — pomyślał rybak. — Otaczają je cztery wzgórza, kołyszą na nim cztery fale i kwitną na samym jego środku cztery lilie, każda innego koloru. Woda zaś tego jeziora jest czarno-złota i tak piękna, że nie można od niej oczu oderwać. Gdyby nie to, że własnymi oczyma oglądam to dziwne jezioro, pomyślałbym, że jest ono bajką albo snem. Mam bowiem wrażenie, że mi tylko śnią się cztery wzgórza i śnią się cztery fale i śnią się cztery lilie, każda innego koloru. A nawet wydaje mi się, że śnię się sam sobie na brzegu czarno-złotego jeziora. Ponieważ jednak nie jest ono snem, lecz rzeczywistością, więc zarzucę sieć, bo jestem ciekawy, jakie ryby znajdują się w takim dziwnym jeziorze?

Rybak zarzucił sieć i po chwili na brzeg ją wyciągnął. Na dnie sieci trzepotały się cztery tylko ryby, każda innego koloru. Jedna — biała, druga — czerwona, trzecia — niebieska, czwarta zaś żółta.

Strach

Lot

Woda

Przyroda nieożywiona

Sen

Czary, Tajemnica



— Co za dziwy niezbadane! — zawołał rybak. — Te cztery złowione ryby przypominają liczbą i kolorem cztery lilie, kwitnące na środku czarno-złotego jeziora. Nigdy jeszcze nie widziałem ryb tak dziwnych! Chętnie bym raz jeszcze sieć w jezioro pogrążył, żeby więcej takich ryb złowić, ale nie uczynię tego. Pamiętam dobrze przestrogę Geniusza! Gdybym zarzucił sieć po raz drugi, spotkałaby mnie śmierć nieunikniona. Zniosę więc te cztery ryby mojemu sułtanowi, gdyż tak mi Geniusz poradził.

Rybak raz jeszcze spojrzął na dziwne jezioro i począł szybkim krokiem oddalać się w stronę miasta — do pałacu sułtana.

\*

W pałacu sułtana był właśnie ruch przedobiedni. Murzyni nakrywali do stołu, ustawiając na nim złote półmichy, srebrne tace, kryształowe puchary, solniczki, rzeźbione w ametyście, i pieprzniczki, kute w pniach koralowych.

Sułtan siedział tymczasem na balkonie, doktor zaś poił go co chwila wywarem ziółek gorzkich, które budzą apetyt.

Jedzenie

Apetyt sułtana wzrastał pod wpływem tych ziółek, tak że w końcu sułtan kazał zawołać kucharza i, gdy kucharz stanął przed jego obliczem, przymknął oczy, mlasnął kilkakrotnie językiem i rzekł:

— Powiedz mi, mój drogi kucharzu, co będzie dzisiaj na obiad?

Tłusty i brzuchaty kucharz skrzyżował ręce na piersiach, uchylił czoła i odpowiedział:

— Obiad dzisiejszy składa się z tysiąca potraw: na pierwsze danie przyrządziłem zupę z pelikanów, na drugie danie — pieczeń ze śledziona hipopotama, na trzecie — jajecznicę ze strusich jaj ze szczypiorkiem, na czwarte — pasztet z wątróbek łabędzich, na piąte — kolibry z rożna.

— Zaczekaj! — przerwał sułtan. — Wszystkie potrawy, któreś wymienił, nie bardzo mi przypadają do smaku. Mam dzisiaj przede wszystkim apetyt na ryby. Powiedz mi w takim razie od razu, jakie ryby podasz do stołu?

Kucharz zbladł, zachwiał się na nogach i głosem drżącym wyszeptał:

— Żadnych ryb dzisiaj nie przyrządziłem. Wszakże nie moja to wina, tylko nieszczęśliwego zbiegu okoliczności. Na całym bowiem targu nie było ani jednej ryby. Podobno i w morzu i w rzekach panuje teraz chwilowe bezrybie. Wszystkich rybaków ogarnęła rozpacz, gdyż daremnie zarzucają sieci, wyczekując jakiegokolwiek połowu.

Sułtan smutnie zwiesił głowę i rzekł:

— Widzę, żeś rzeczywiście nie zawinił, więc nie mogę cię ukarać za nieobecność ryb na dzisiejszym obiedzie. Zażyłem ziółek gorzkich i apetyt mój wzrasta. Jest to wszakże dziwny i osobliwy apetyt wyłącznie na ryby. Oddałbym pół królestwa za jedną małą rybkę, smażoną na świeżym, wonnym maśle!

Smutek sułtana był tak wielki, że i kucharz, i doktor trwali w uroczystym milczeniu, ażeby zbytecznym słówkiem nie urazić tego szczerego i głębokiego smutku.

W tej chwili właśnie wszedł wielki wezyr i oznajmił sułtanowi, że jakiś rybak pragnie stanąć przed jego obliczem.

Ucieszył się sułtan i rozkazał wezyrowi, aby natychmiast rybaka przyprowadził.

Wezyr wyszedł i po chwili wrócił z rybakiem.

— Co mi przynosisz? — spytał sułtan rybaka.

— Przynoszę ryby — odpowiedział rybak i podał sułtanowi cztery cudowne ryby, złowione w jeziorze czarno-złotym.

Sułtan obejrzał dokładnie i po kolei najpierw białą, potem czerwoną, potem niebieską, a w końcu żółtą. Wszyscy przyglądali się tym rybom cudownym, bo nigdy jeszcze takich ryb nie widzieli.

Dziwił się sułtan, dziwił się wezyr i kucharz, i doktor.

A gdy już wszyscy do syta się napatrzyli i nadziwili, sułtan dał rybakowi sto złotych dukatów i rzekł:

— Przynoś mi co dzień takie ryby, a co dzień dostaniesz sto dukatów.

Uradowany rybak pokłonił się w nogi sułtanowi i, ściskając w garści dukaty, pobiegł co tchu do swojej chałupy, gdzie na niego od dawna czekała żona i czworo dzieci.

Sułtan tymczasem rzekł do kucharza:

— Usmaż mi te ryby na świeżym, wonnym maśle i podaj je do stołu.

Kucharz pobiegł z rybami do kuchni i zabrał się do ich przyrządzania. Postawił na ogniu patelnię i rzucił na nią świeżego, wonnego masła. Gdy się masło dostatecznie zżłociło i zarumieniło, położył na nim wszystkie cztery ryby.

Ponieważ kucharz po raz pierwszy w życiu smażył takie ryby, więc był ciekawy, czy po usmażeniu zachowają swoje barwy — białą, żółtą, niebieską i czerwoną.

Gdy się już ryby na jednej stronie dostatecznie zarumieniły, kucharz chciał je na drugą stronę odwrócić. Wszakże, zanim to uczynił, stał się cud, który mu w smażeniu ryb przeszkodził. Na ścianie kuchni zjawiała się nagle szczelina, niby błyskawica. Szczelina rozsunęła się i rozszerzyła w otwór głęboki i ciemny. Z otworu wyszła niespodzianie postać pięknej kobiety.

Zjawiona kobieta miała na sobie powłóczysty strój ze złotej tkaniny, haftowanej w kwiaty. W uszach jej błyskały kolczyki w kształcie wielkich półksiężyców. Na piersiach bielił się naszyjnik olbrzymich pereł. Nagie ramiona gęsto były przybrane w bransolety z brylantów, rubinów, szmaragdów i topazów. W ręku trzymała gałąź mirtową.

Nie spojrzawszy nawet na kucharza, podeszła wprost do patelni, na której smażyły się cudowne ryby z czarno-złotego jeziora. Dotknęła po kolei każdej ryby gałęzią mirtową i rzekła, wyraźnie i głośno wymawiając każde słowo:

— *Ryby żółte, ryby białe  
I niebieskie i czerwone,  
Czyli chcecie żyć na chwałę  
Tęgo, co ma z róż koronę?*

Wówczas ryby podniosły w górę swe pyszczki i zawołały chórem:

*Choćby nas przez życie całe  
Krwawy los na ogniu morzył,  
Będziemy żyły wciąż na chwałę  
Tylko tego, co nas stworzył!*

Wówczas tajemnicza pani, chwyciwszy gniewnie patelnię, odwróciła ją nad ogniem tak, że wszystkie ryby wpadły do ognia i spaliły się na węgiel czarny. Sama zaś cofnęła się do otworu w ścianie i znikła w jego ciemnej głębi. Ściana znów się zsunęła i zrosła tak, że żaden na niej znak nie pozostał.

Kucharz, osłupiały ze zdziwienia, z rozwartą na oścież gębą stał nieruchomo i tylko oczami mrugał co chwila.

Gdy przyszedł do siebie i rozumu nieco odzyskał, podbiegł natychmiast do ognia, aby widelcem ryby stamtąd powyciągać i choćby jedną z nich dla sultana uratować — ale na próżno! Wszystkie już zamieniły się w popiół szary.

Kucharz dłonie załamał i zawołał:

— Co ja teraz pocznę, nieszczęśliwy! Sultan mnie chyba zabije, nie dostawszysy ryb na obiad! Nie uwierzy mi, gdy opowiem, co się stało? Pomyśli, że kłamię mu w oczy! Trudno bowiem uwierzyć w to, że jakaś tajemnicza pani wyszła nagle ze ściany kuchennej, aby spalić w ogniu ryby, które smażyłem na patelni! Pójdę do wielkiego wezyra i opowiem mu wszystko. Może wezyr wytłumaczy mnie jakoś przed sultanem i obroni przed jego gniewem.

Poszedł więc kucharz do wezyra i opowiedział mu wszystko.

Zdziwił się bardzo wezyr i zamyślił głęboko. Potem głową pokiwał i rzekł:

— W dziwnych czasach żyjemy! Na każdym kroku albo cuda, albo dziwy, których nie można zrozumieć. Myślałem dotąd, że bajki są tylko w książkach, a teraz widzę, że zdarzają się i w życiu. Nie bój się gniewu sultana, bo mu to jakoś wytłumaczę i postaram się go udobruchać. Nie powiem mu o tym, co się stało, bo nie chcę go przerażać i niepokoić. Sam tę sprawę zbadam. Rybak obiecał, że co dzień będzie nam owe ryby przynosił. Jutro więc sam będę obecny w kuchni przy ich smażeniu i naocznie sprawdzę cud, o którym mi dziś opowiedziałeś.

Nazajutrz rybak znów przyniósł do pałacu cztery ryby tych samych kolorów i dostał za nie sto dukatów.

Tym razem wezyr sam własnoręcznie położył je na patelni i zaczął smażyć.

Gdy się na jednym boku dostatecznie podsmażyły, chciał je na drugi bok odwrócić. Wszakże, zanim to uczynił, stał się cud, który mu w smażeniu ryb przeszkodził. W ścianie kuchennej zjawiała się nagle szczelina, niby błyskawica. Szczelina rozsunęła się i rozszerzyła w otwór głęboki i ciemny. Z otworu wyszła niespodzianie tajemnicza pani, ubrana tak, jak to kucharz dokładnie wezyrowi wczoraj opisał.

Nie spojrzawszy nawet na wezyra i na kucharza, tajemnicza pani, połyskując klejnotami i szeleszcząc wspaniałą szatą, zbliżyła się do patelni, na której smażyły się cudowne ryby z czarno-złotego jeziora. Dotknęła każdej ryby po kolei gałęzią mirtową i rzekła głośniejszym i wyraźniejszym głosem niż wczoraj:

— *Nie każda ryba jest rybą w fali,  
Nie każda fala — falą w jeziorze!  
Czy nie dość mocno ogień was pali?  
Czyli wciąż trwacie w swoim uporze?*

Ryby podniosły w górę swe pyszczki i chórem odpowiedziały:

— *Jest czarno-złote kiedyś jezioro,  
I cztery fale, każda — zaklęta,  
I cztery wzgórza, i lilii czworo —  
Więc po czterokroć bądź nam — przeklęta!*

Wówczas tajemnicza pani, chwyciwszy gniewnie patelnię, odwróciła ją nad ogniem, tak że wszystkie ryby wpadły do ognia i spaliły się na węgiel czarny. Sama zaś cofnęła się do otworu w ścianie i znikła w jego ciemnej głębi. Ściana znów się zsunęła i zrosła, tak że żaden na niej znak nie pozostał.

Wezyr, osłupiały ze zdziwienia, z rozszerzonymi na oścież oczami stał nieruchomo i patrzył na kucharza, kucharz zaś patrzył na wezyra. Przez czas długi milczeli obydwa. Wreszcie wezyr przerwał milczenie:

— Pierwszy raz w życiu zdarza mi się oglądać w kuchni takie cuda! Co oznacza ta pani tajemnicza i te ryby czterech kolorów? I czemu dotyka ich gałęzią mirtową i zadaje dziwne, niezrozumiałe pytania? I dlaczego te ryby dają jej tak samo dziwną, niezrozumiałą odpowiedź? I z jakiej przyczyny tajemnicza pani na czarny węgiel spala tajemnicze ryby? Są to dla mnie zjawiska wprost niepojęte!

— Dla mnie także! — dodał kucharz. — Myślałem o tym noc całą, ale nie mogłem się domyślić.

— Nie dziwi mnie wcale, że nie mogłeś się domyślić, bo jesteś tylko kucharzem, — rzekł wezyr — ale dziwi mnie, że ja, choć jestem wielkim wezyrem — też nie mogę wpaść na żaden domysł. Nie chcę dłużej przed sułtanem ukrywać cudów, które zjawiają się w jego własnym pałacu. Zaraz mu wszystko opowiem, a być może, iż on osobiście łatwiej od nas zgadnie tajemnicę.

Wezyr natychmiast udał się do pokoju sułtana i opowiedział mu wszystko, co się stało w kuchni.

— Muszę te cuda na własne oczy zobaczyć! — zawołał rozciekawiony sułtan. — Nigdy jeszcze nic podobnego nie widziałem, ale mam nadzieję, że odgadnę tajemnicę tego niezwykłego zjawiska. Ponieważ rybak obiecał co dzień przynosić do pałacu owe cudowne ryby, więc i jutro przyniesie na pewno. Otóż zamknijmy się razem w moim pokoju i sami je usmażymy. Ciekawym, czy w mojej obecności tajemnicza pani ośmieli się wyjść z muru i spalić ryby, które sam własnoręcznie będę smażył.

Wezyr nic na to nie odpowiedział, tylko się zamyślił głęboko i z ciekawością zaczął wyczekiwać dnia jutrzejszego.

\*

Nazajutrz rybak, jak zazwyczaj, przyniósł do pałacu cztery ryby czterech kolorów i otrzymał za nie sto złotych dukatów.

Sułtan i wezyr przygotowali w pokoju wszystko, co było potrzebne do smażenia ryb. Zamknęli drzwi na klucz i zaczęli smażyć cudowne ryby. Gdy się ryby na jednej stronie obsmażyły, sułtan własnoręcznie chciał je na drugą stronę odwrócić, lecz, zanim to uczynił, coś w pokoju zagrzmiało, ściana rozstała się nagle, ukazując wielki i ciemny otwór. Z otworu tym razem, zamiast tajemniczej pani, wyłonił się olbrzymi, potworny Murzyn z dębową gałęzią w ręku. Na głowie miał wieniec z róż. Oczy jego zdawały się martwe i ślepe. Krokiem sztywnym i ociężałym podszedł do ryb, dotknął ich po kolei dębową gałęzią i rzekł głosem głuchym, bezbarwnym i jednostajnym:

— *O ryby, ryby! W nocy i z rana  
Śnią się wam dawne, człowiecze twarze!  
Uznajcie we mnie bożka i pana  
I czyńcie wszystko, co wam rozkażę!*

*Sto dni przeminie, a potem dwieście,  
A potem — tysiąc i dwa tysiące —  
Lecz nikt nie zgadnie, czym wy jesteście  
I czym są cztery lilie kwitnące?*

Ryby podniosły swe pyszczki do góry i chórem odpowiedziały Murzynowi:

— *Choć w ogniu cztery spalą się baśnie,  
Choć dola nasza w mroku ukryta —  
Wiedz, zły potworze, iż teraz właśnie  
Ktoś o nas bajkę cudowną czyta!*

*Czyta i czyta, aż wszystko zgadnie  
I na ratunek ku nam pośpieszy,  
A wówczas kara na ciebie spadnie,  
I śmierć twa wszystkie ryby ucieszy!*

Potworny Murzyn, chwyciwszy gniewnie patelnię, odwrócił ją nad ogniem, tak że wszystkie ryby wpadły do ognia i spaliły się na węgiel czarny. Sam zaś cofnął się do otworu w ścianie i znikł w jego ciemnym wnętrzu. Ściana natychmiast zsunęła się i zrosła, tak że żaden na niej znak nie pozostał.

Sułtan, osłupiały ze zdziwienia, z podniesionymi wysoko brwiami stał nieruchomo i patrzył na wezyra. Wezyr zaś patrzył na sułtana. Przez czas długi milczeli obydwoj. Wreszcie sułtan ozwał się pierwszy:

— Domyślam się, że te ryby są zakłete i czekają na kogoś, co by je uratował. Ciekawym bardzo, w jakiej rzece rybak je złowił? Poślij kogo po rybaka z moim rozkazem, aby natychmiast przyszedł do pałacu. Dowiem się od niego wielu rzeczy, które mi są potrzebne dla odgadnięcia tajemnicy.

Wezyr posłał kucharza z rozkazem, aby znalazł rybaka i przyprowadził do pałacu.

Kucharz dowiedział się w mieście, gdzie rybak mieszka; pobiegł ku niemu i natychmiast z nim razem wrócił do pałacu.

Rybak stanął przed obliczem sułtana, a sułtan zapytał:

— Gdzie łowisz te ryby cudowne, które co dzień przynosisz do pałacu?

— Łowię je w jeziorze czarno-złotym, na którym kołyszą się cztery fale i kwitną cztery lilie czterech kolorów.

— Czy daleko znajduje się to jezioro? — pytał dalej sułtan.

— Niedaleko! — odrzekł rybak. — Najwyżej trzy godziny drogi od pałacu.

— Naucz mnie, jak się idzie do tego jeziora — rzekł sułtan.

Cud, Czary, Tajemnica,  
Szantaż

— Łatwo trafić do jeziora — odpowiedział rybak. — Idzie się ku niemu prosto brzegiem morza aż do różowej skały. Od skały skręca się na prawo i znów się idzie prosto aż do czterech wzgórz, na których rosną drzewa hebanowe. Pomiedzy wzgórzami leży to dziwne jezioro, pełne ryb białych, niebieskich, żółtych i czerwonych. Tylko raz dziennie wolno mi się zarzucić i za każdym razem tylko cztery ryby z jeziora wylawiam.

— Muszę zbadać tajemnicę czarno-złotego jeziora! — zawołał sułtan. — Dziś jeszcze wyruszę w drogę, bo niecierpliwość i ciekawość nie pozwala mi zwlekać nawet dnia jednego. Rozkaż, wielki wezyrze, moim rycerzom, aby siodłali rumaki i zgromadzili się przed moim pałacem. Nim wieczór nadejdzie — już będziemy w drodze!

Na rozkaz wezyra stu konnych rycerzy stanęło przed pałacem. Sułtan przypasał miecz i dosiadł białego rumaka. Po czym dał znak ręką, aby wyruszono w drogę.

Słońce jeszcze nie zaszło, lecz świeciło już ku wieczorowi.

Sułtan i wezyr jechali na przodzie, aby drogę stu rycerzom wskazywać.

Zbliżyli się wkrótce do morza i jechali prosto brzegiem morskim aż do skały różowej. Od skały skręcili na prawo i znów jechali prosto aż do czterech wzgórz, na których rosły drzewa hebanowe.

Wówczas sułtan kazał wezyrowi i stu rycerzom zatrzymać się pod jednym ze wzgórz hebanowych i rzekł:

— Tu, pod tym wzgórzem, rozepnijcie namioty i czekajcie na mnie, aż powrócę, gdyż chcę sam, bez nikogo, udać się dalej na zwiady. Miejsca zakłete i zaczarowane powinno się zwiedzać samotnie, nie zaś w liczonym towarzystwie. Czytałem w życiu swoim dużo bajek, więc wiem, że tylko człowiek samotny potrafi zbliżyć się do tajemnicy. Żegnam ciebie, wielki wezyrze, i was, moi rycerze. Mam nadzieję, że się wkrótce zobaczymy.

Wezyr chciał koniecznie towarzyszyć sułtanowi w tej niebezpiecznej wycieczce, ale sułtan nie zgodził się i rozkazał mu zostać razem ze stu rycerzami. Wezyr musiał rozkaz sułtana wykonać. Rycerze porozbijali namioty.

Sułtan zsiadł z konia i pieszo poszedł w stronę jeziora, bo wiedział, że jezioro znajduje się pomiędzy czterema wzgórzami. Sułtan przyśpieszył kroku i wkrótce stanął nad brzegiem dziwnego jeziora.

Cztery wzgórza odbijały się w jeziorze wraz z hebanowymi drzewami. Woda jeziora była czarno-złota. Na samym środku kwitły cztery lilie wodne, każda innego koloru: jedna — biała, druga — czerwona, trzecia — niebieska, czwarta zaś — żółta.

Jezioro było gładkie i nieruchome i falowało tylko w czterech miejscach pod czterema wzgórzami, tak że tylko cztery fale z lekka kołysały się na jego czarno-złotej powierzchni.

Sułtan pochylił się ku czarno-złotej wodzie i ujrzał, iż roją się od ryb białych, czerwonych, niebieskich i żółtych. Ryby, płynąc, spotykały się w wodzie i poruszały pyszczkami, jak gdyby szeptały sobie nawzajem jakieś tajemnice. Białe szeptały do czerwonych, czerwone do niebieskich, niebieskie do żółtych.

Długo sułtan przyglądał się czarno-złotej wodzie i kolorowym rybom, i czterem wzgórzom, i czterem falom, i czterem liliom na środku jeziora. Zachwycony widokiem tych cudów, nie mógł od nich oczu oderwać. Wreszcie z trudem wielkim oderwał oczy od zakłetej wody i poszedł dalej brzegiem jeziora aż do czwartego wzgórza.

Pod czwartym wzgórzem ujrzał ogród olbrzymi, gęsty i cudowny. Drzewa, obciążone owocami, rzucały długie cienie na szerokie trawniki. Kwiaty napełniały powietrze wonią upajającą. Śpiew ptaków rozlegał się w gęstwinie.

Sułtan zapuścił się w samą głąb tajemniczego ogrodu. Szedł długo wzdłuż palmowej alei, aż wreszcie natrafił na pałac z białego marmuru z wieżyczkami z kości słoniowej. Drzwi pałacu były otwarte.

— Czy wejść, czy nie wejść? — pomyślał sułtan i po krótkim namyśle wszedł do pałacu.

Pusto było w pałacu. Ani w pierwszej, ani w drugiej, ani w trzeciej komnacie nie spotkał sułtan nikogo. Więc zawołał:

— Hop-hop! Czy jest tu ktokolwiek!

Echo mu tylko odpowiedziało: „hop-hop?”

Sułtan poszedł dalej przez szereg komnat, których złote ściany pokryte były mnóstwem malowanych kwiatów, zwierząt i ptaków. Gdy minął sto komnat i wkroczył do

Tajemnica, Samotność,  
Pożegnanie

Ogród

Cierpienie

sto pierwszej, usłyszał nagle czyjes jęki. Zatrzymał się i zaczął się tym jękom przysłuchiwać.

— O, losie niemiłosierny — mówiły jęki. — Czemuś mnie skazał na tak nieludzkie cierpienia! Wszak byłem niegdyś królem — dziś jestem na wpół tylko człowiekiem! Nie znałem dawniej bólu — dziś co dzień rany moje odnawiają się, aby krwią świeżą ociekać! Któryż to z ludzi znosił takie, jak ja, męczarnie? O jezioro czarno-złote, gdzie są twoje pałace? O ryby białe, czerwone, żółte i niebieskie, gdzie się podział wasz król, którego tak kochałyście za dawnych czasów? Znikąd nadziei, znikąd ratunku, znikąd pomocy!

Jęki nagle ucichły.

Sułtan, wzruszony słowami, które posłyszał, zwrócił się w stronę, skąd go jęki owe doleciały, i trafił do ogromnej komnaty o czarnych ścianach, na których wymalowane były ryby białe, czerwone, żółte i niebieskie.

Po środku komnaty stał czarny tron, a na tronie siedział młodzieniec w płaszczu gronostajowym. Twarz jego była tak blada i tak pełna cierpienia, że sułtan ze współczuciem zbliżył się do niego i rzekł:

— Nie lękaj się, bo jestem człowiekiem dobrym i nic złego ci nie życzę. Jęki twoje wzruszyły mnie do głębi serca, choć nie znam tajemniczego losu, który cię skazał na takie męczarnie. Jestem sułtanem i mam obszerne i bogate państwo. Może potęga moja potrafi złamać czary, które cię opętały.

— Przepraszam cię za to, że nie wstaję z tronu, aby cię powitać — odparł młodzieniec. — Nie mogę wszakże tego uczynić, gdyż tylko na wpół jestem człowiekiem.

I młodzieniec uchylił przed sułtanem gronostajowego płaszcza.

Wówczas sułtan ujrzał, że nieszczęśliwy młodzian do pasa jest tylko człowiekiem, a od pasa — czarnym marmurem.

— O sułtanie! — zawołał młodzieniec. — Po raz pierwszy od lat tyłu widzę człowieka, który przeniknął do wnętrza zakłętego pałacu i którego wzruszyły moje jęki. Nie wiem jednak, czy potrafisz zniszczyć czary, które mnie przykuły do tego tronu i trapią co dzień nieustannym smutkiem i cierpieniem!

— Biedny młodzieńcze! — zawołał sułtan. — Widziałem już cztery wzgórza, cztery lilie i cztery fale na czarno-złotym jeziorze; widziałem cztery gatunki ryb cudownych, a w pałacu moim zjawiała się tajemnicza pani i potworny Murzyn, który spalił na czarny węgiel ryby w chwili, kiedy je sam smażyłem na patelni. Widzę teraz twój pałac i ciebie samego, skamieniałego do połowy i narzekającego na los okrutny. Jestem pewien, że potrafię cię uratować, ale muszę najpierw dowiedzieć się od ciebie, co znaczą te wszystkie cuda i dziwy?

— Sułtanie! — odparł młodzieniec. — Historia mego życia jest tak dziwna, że trudno mi ją opowiedzieć w chwili, kiedy plecy moje pełne są ran, a serce — smutku i rozpacz!

— Nie bardzo to z mojej strony pięknie, że zaciekawił mnie cudzy smutek i rozpacz — odpowiedział sułtan. — Nie mogę jednak powstrzymać się od prośby, abys mi opowiedział historię twego życia. —

— Opowiem ci ją — rzekł młodzieniec. — Ale jest to historia tak długa, że już się nie pomieści w tej bajce, która nosi tytuł: *RYBAK I GENIUSZ*. Musimy więc ją odłożyć do następnej bajki pt. *OPOWIADANIE KRÓLA WYSP HEBANOWYCH*. Tymczasem powiem ci tylko, że ja właśnie jestem królem Wysp Hebanowych.

— Dobrze — zgodził się sułtan. — Odłożymy historię twego życia do następnej bajki; ale pamiętaj, nieszczęśliwy młodzieńcze, abys mi ją opowiedział od początku do końca.

W tym miejscu sułtan zamilkł i czekał cierpliwie, aż się zacznie bajka następna.

Czary, Ciało

Historia

---

Ten utwór nie jest objęty majątkowym prawem autorskim i znajduje się w domenie publicznej, co oznacza że możesz go swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać. Jeśli utwór opatrzony jest dodatkowymi materiałami (przypisy, motywy literackie etc.), które podlegają prawu autorskiemu, to te dodatkowe materiały udostępnione są na licencji Creative Commons Uznanie Autorstwa – Na Tych Samych Warunkach 3.0 PL.

Źródło: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/klechdy-sezamowe>

Tekst opracowany na podstawie: Bolesław Leśmian (1877-1937), Wydaw. J. Mortkowicza, Kraków, Warszawa 1913

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Bibliotekę Narodową z egzemplarza pochodzącego ze zbiorów BN.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Sekuła, Anna Ficek, Dorota Kowalska, Justyna Lech, Justyna Warda, Magdalena Lewkowicz, Magdalena Topolska, Marta Niedziałkowska, Weronika Trzeciak.

Okładka na podstawie: Fulvio's photos@Flickr, CC BY 2.0

ISBN 978-83-288-0496-8

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przekaż 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska, KRS 0000070056.

Pomóż uwolnić konkretną książkę, wspierając **zbiórkę na stronie wolnelektury.pl**.

Przekaż darowiznę na konto: **szczegóły na stronie Fundacji**.